

metrum



7-8
1989

ZBIORY OSOBYNA KARTA

W NUMERZE: Rozmowy z J.J. Lipskim i Januszem Korwinem-Mikke ● Wiersze Tomasa Venclovy i Gwidona Zlatkesa ● Eseje Bertolda Brechta i Aleksandra Wata ● Proza Jerzego Kosińskiego i Jarosława Haśka ● Słuchowisko radiowe Jacka Fedorowicza ● Węgry, Rumunia, Izrael ● Stałe działy ●

S p i s t r e ś c i :

Rozmowy "Metrum"

- 5 "Być socjalistą..." - Rozmowa z Janem Józefem Lipskim
7 "Być liberałem..." - Rozmowa z Januszem Korwin-Mikke

Poezja

- Tomas Venclova 11 Wiersze
Gwido Zlatkes 14 Wiersze
Allan B. Perry 16 Refleksja wielkanocna

Lektury obowiązkowe

- Bertold Brecht 17 Pięć trudności przy pisaniu prawdy
Aleksander Wat 24 Rapsodie Polityczne

Węgry - Rumunia

- Piotr Gazda 38 Siedmiogród i dookoła Siedmiogrodu
Ion Pacepa 56 Sceny z życia codziennego na dworze Ceauseacu I
61 Ceauseacu - chore ciało i dusza

Izrael

- Cezary Kaźmierczak 62 Izrael - recepta na istnienie

Proza

- Jerzy Kosiński 72 Kroki /fragmenty/
Jarosław Hašek 75 Adiutant komendanta miasta Bugulma
Aileen Ireland 77 Msza perkusyjna

Teoria i praktyka surrealizmu socjalistycznego

- Jacek Fedorowicz 79 Perspektywy kolegi Kierownika
Cezary Kaźmierczak 83 Mysia story

Fółka "Metrum"

- Agata Zalewska 88 Diagnostyka
Marcel Krukowski 91 AAAmeryka
Marian Zubek 94 Podkopywanie palmy pierwszeństwa

96 Wieża Babel
102 Wiadomości Powiatowe
106 Poczta Metrum

Pismo jest kontynuacją gazetki o tej samej nazwie, która ukazywała się w latach 1983-86.
Wydano 63 numery.

Redaguje zespół. Numer zamknięto w kwietniu 1989 r.

Copyright by "Metrum"

BYĆ SOCJALISTĄ . . .

Rozmowa z Janem Józefem Lipskim, przewodniczącym PPS.

Metrum: - Od kiedy zaczął Pan się uważać za socjalistę?

Jan Józef Lipski: Wyboru dokonałem dość wcześnie, jeszcze podczas okupacji. Miałem wówczas mniej więcej siedemnaście lat. Zaczęło się od fascynacji historią PPS-u sprzed I wojny światowej. Przeczytałem całą masę książek na ten temat. Potem już nic się nie zmieniło. Dzięki temu m.in. po wojnie nie wstąpiłem do koncesjonowanej PPS i byłem w ogóle temu przeciwny. Sprzeciwiałem się także wstępowaniu do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, chociaż zdarzało mi się bywać na zebraniach dyskusyjnych tej organizacji. Po prostu widząc jaki jest los niektórych przywódców PPS, a także szeregowych członków, obawiałem się zdominowania przez komunistów. Wielu moich kolegów, pomimo tego typu lęków, weszło do ZNMS, a potem przeszli przez ZMP, dotarli do partii komunistycznej... Zresztą prawnie nikt w niej potem nie został, ale jednak... Uniknąłem ich losu z dwóch powodów. Po pierwsze - bardzo wyraźnie określałem się jako socjalista, socjaldemokrata. Po drugie - miałem swoje upodobania filozoficzne związane z kołem wiedeńskim. Strasznie mnie śmieszyło to, co do powiedzenia mieli w sprawach filozoficznych komuniści. Te dwie sprawy spowodowały, że nie wszedłem na złą drogę, z czego się bardzo cieszę.

Metrum: - Co według Pana znaczy "być socjalistą"?

J.J.L.: Bycie socjalistą w znacznym stopniu oznacza dla mnie przyjęcie czegoś, co staje się w większej mierze mentalnością człowieka niż programem. To jest tak jak się żartobliwie mówiło w dwudziestoleciu: endecja to nie program, to mentalność. Podobnie można powiedzieć o niektórych innych kierunkach. Socjalizm to jest oczywiście również program, ale - moim zdaniem - jeszcze w większej mierze to mentalność. A więc umieszczanie na pierwszym planie spraw sprawiedliwości społecznej i w związku z tym projektowanie zarządzania wszelkiego typu niesprawiedliwościom. Uważanie, że bez względu na okoliczności nie do przyjęcia jest zgoda na czyjąś krzywdę. To sprawy, które mogą bardzo różnie się programowo wyrażać, ale kto nie posiada tego typu mentalności to trudno mi sobie wyobrazić, żeby mógł być socjalistą. Druga rzecz to przeświadczenie, że współdziałanie zbiorowe jest nie tylko skuteczne i jako racjonalne do przyjęcia, ale że ono samo w sobie zawiera elementy społeczno-moralne powodujące, iż jest to nie tylko jeden ze środków działania, ale również cel socjalizmu w szerokim tego słowa rozumieniu. Jest to sprawa fundamentalna. Problemem jest jak to przełożyć na konkretny program, ale to sprawa oceny warunków, realności takich czy innych posunięć. Ja się boję nadmiernego pragmatyzmu w tej dziedzinie, który powoduje, że zasady są zdradzane na rzecz doraźnych kroków taktycznych. Dlatego tak akcentuję sprawę podstawowych wartości, które uzewnętrzniają się w człowieku poprzez przyjęcie pewnej mentalności.

Metrum: - Od kilku lat w kołach polskiej opozycji toczy się dyskusja nad przyszłym modelem gospodarczym. Jaki - Pana zdaniem - PPS powinna propagować system gospodarczy?

J.J.L.: Przede wszystkim PPS powinna popierać programy, które głoszą nie tylko

socjaliści, ale które socjaliści mogą również głosić, tzn. program gospodarki wolnorynkowej. Program ten stwarza wiele zagrożeń społecznych i rola PFS-u, czy w ogóle socjalistów musi polegać na tym, że przyjmując program gospodarki wolnorynkowej musimy jednocześnie stworzyć system zabezpieczeń społecznych. Gospodarka wolnorynkowa ma - jak każda rzecz wymyślona przez ludzi - różne swoje wady i niebezpieczeństwa, którym trzeba nauczyć się możliwie najskuteczniej zapobiegać. Nie ma wątpliwości co do tego, że jeżeli w dziedzinie gospodarczej coś komuś wyszło to właśnie w oparciu o wolny rynek. Wtedy oczywiście należy postawić sobie pytanie o podmioty gospodarki wolnorynkowej. Tutaj jest em zwolennikiem koncepcji prof. Edwarda Lipińskiego dotyczącej podstawowej roli przedsiębiorstwa jako niezależnego podmiotu gospodarczego. Jakże to mają być przedsiębiorstwa? Przyjęcie jednej sztywnej zasady byłoby niebezpieczne. W przybliżeniu wyobrażam sobie to w ten sposób, że w pewnym zakresie własność państwowa powinna być zachowana - na przykład koleje, poczta itd. Uważam, iż znaczna część środków produkcji powinna znajdować się w rękach społeczeństwa, tj. stanowić własność zbiorową ludzi, którzy pracują w danym przedsiębiorstwie. Czy to będzie akcjonariat pracowniczy, czy też organizacja oparta o wzory spółdzielczości pracowniczej - to jest sprawa do dyskusji. Są to zresztą modele dość do siebie zbliżone, choć nie tożsame. Konieczne jest istnienie własności komunalnej. Samorząd powinien mieć swoją osobowość gospodarczą i móc swobodnie działać. Tu nie chodzi tylko o wodociągi, kanalizację czy też zakład oczyszczania miasta, ale również o normalną działalność gospodarczą. Uważam, że ze względów zasadniczych i pragmatycznych byłoby niebezpieczne ograniczanie własności prywatnej, czy to poszczególne przedsiębiorstwa czy też ludzi grupujących się w spółki. Z dwóch względów: po pierwsze - ze względu na pewne zasady wolnościowe, które powinny obejmować również wolność inicjatywy gospodarczej, a - po drugie - ze względów pragmatycznych, mianowicie skuteczność funkcjonowania tego rodzaju podmiotów gospodarczych jest znaczna, choć według mnie nieco wycelbrzyżona przez ortodoksyjnych zwolenników własności prywatnej. Niemniej są to ogromne potencjały, które się wyzwalają per saldo dla społeczeństwa. Uważam, że powinny to być cztery podstawowe formy własności, a który jest pierwszy, który zaś czwarty, to tymczasem mniejsza z tym. Oczywiście własność prywatna powinna znajdować się pod kontrolą społeczną chociażby ze względu na stosunki pracy, bhp, etc. Najskuteczniejszym narzędziem dokonywania tej kontroli są niezależne i samorządne związki zawodowe. Wyobrażam sobie sytuację, w której liberalizm mógłby się posunąć aż do likwidacji instytucji planowania polityki państwowej. Ograniczyłbym wszelką nakazowość podstawowymi instrumentami państwa w tej dziedzinie czyniąc politykę podatkową i kredytową.

Metrum: - Na ile aktualna jest idea federacji Europy Środkowej, która była w przeszłości forsowana przez ludzi lewicy?

J.J.L.: Uważam, że idea federacyjna jest programem z przyszłością, nad którym warto pracować. Jednocześnie spostrzegam, że jej zwolennicy nie dostrzegają kłopotów związanych z jej głoszeniem. Pierwszy, mniej ważny, to kłopot taktyczny - demonstrowanie i deklarowanie zamiaru dokonania rozbitcia politycznego Imperium Radzieckiego może mieć kłopotliwe następstwa. Jest sprawą do dyskusji, w jakim wypadku taktyka ma prawo dominować nad zasadami. Drugim kłopotem jest fakt, że część narodów słysząc słowo "federacja" obawia się dominacji Polski, która ograniczałaby ich samodzielność, perspektywy własnego rozwoju narodowego. Federacja może być dziełem tylko samodzielnych podmiotów politycznych. W sytuacji, gdy jesteśmy od takiego stanu bardzo daleko, nie zawsze jestem pewny, czy głosząc tego typu poglądy przybliżamy porozumienie między naszymi narodami czy też przeciwnie.

Metrum: - Co z niemal stuletniej historii PFS jest warte kontynuowania dzisiaj?

J.J.L.: Przede wszystkim dwie podstawowe idee PFS-u: nie ma socjalizmu bez demokracji i realizacja socjalizmu w Polsce jest niemożliwa bez niepodległości. Niepodległość jest wartością samą w sobie. Wyobrażam sobie w przyszłości sytuację, w której suwerenność realizowana byłaby na zasadzie dobrowolnej umowy niepodległego państwa ograniczonego poprzez udział w jakichś wspólnych strukturach ponadpaństwowych, ale jest to muzyka przyszłości. Aktualnie przed nami stoi

zadanie uzyskania podmiotowości państwo-narodowej. Te dwie idee były zawsze obecne w dawnym PPS-ie i powinny być nadal. Ponadto, jak już wspomniałem, jedną z głównych wartości PPS-u powinna być idea sprawiedliwości społecznej.

Metrum: - Dziękujemy za rozmowę.

BYC LIBERAŁEM... x/

Rozmowa z Januszem Korwinem - Mikke

Metrum: Co to znaczy być liberałem?

- Anarchiści - to ludzie wierzący, że społeczeństwo samo, bez żadnych praw, ustawi się możliwie najlepiej. Liberał - demokrata wierzy, że większość wypracuje i narzuci reszcie zdrowe prawa. Konserwatysta wierzy w prawa naturalne, które rozwijają się w społeczeństwie. Ja jestem konserwatywnym liberałem: wierzę w pewne prawa, naturalne lub narzucane /lecz podlegające weryfikacji przez praktykę/ i pomagające ludziom rozwiązywać ich problemy. Np. kodeks drogowy niewątpliwie ogranicza swobodę wyboru kierowców - w sumie jednak ich wolność jest większa /proszę spróbować jeździć po placu, bez linii, znaków, świateł i reguł kodeksu!/.

Naczelną wartością dla liberała jest wolność. Jedynym ograniczeniem jest wolność innych. Dla konserwatywnego liberała: również wolność naszych potomków...

Metrum: Czy liberalizm ma w Polsce szanse powodzenia?

- W sferze społecznej - tylko konserwatywny. Demo-liberalizm i liberalizm lewicowy nie sprawdzają się w katolickim społeczeństwie /a i w innych nie zawsze dobrze funkcjonują/. W dziedzinie gospodarczej liberalizm jest absolutną koniecznością, jeśli nie chcemy zostać skansenem /być może wraz z całą Europą, też przeżartą przez socjalizm/.

Metrum: A czy program liberalny może odpowiadać Polakom?

- Jest to bez znaczenia. W państwie liberalnym nie jest potrzebny ani jeden liberał! Wszyscy mogą być chadekami, endekami, socjalistami, komunistami, faszystami itp. - a mimo to będą kupowali chleb najsmaczniejszy, najzdrowszy i najtańszy, a nie chleb faszystowski, narodowy lub socjalistyczny. KAŻDY niemal reaguje jak liberał - pod warunkiem, że państwo nie narzuci mu innych posunięć. Przy wprowadzaniu liberalizmu nie ma potrzeby pytać kogokolwiek o zdanie, gdyż jest to wyłączenie usuwanie ograniczeń. Jeśli ktoś chce żyć z ograniczeniami, to w państwie liberalnym buduje sobie ze swoimi towarzyszami komunę i tam żyje według swoich praw.

Pewien kłopot w tym, że w każdym społeczeństwie jest pewna proporcja ludzi lubiących ryzyko i przedsiębiorczość - a pewna część /zwłaszcza kobiety/ lubią opiekunczość, bezpieczeństwo itp. - i chce tym pierwszym uwiesić się u "szczy". Z Polski od ponad stu lat ci najbardziej przedsiębiorczy uciekają, zabierając

x/ Copyright by Janusz Korwin-Mikke

ze sobą swoje geny, dziedzictwo kulturowe itp. Stąd entuzjazm dla liberalizmu może być mniejszy niż np. w USA, gdzie p. Ronald Reagan miał zawsze stałą i wyraźną większość. Dlatego wcale nie jestem przywiązany do idei wprowadzania liberalizmu w sposób demokratyczny.

Metrum: A co Pan sądzi o programie gospodarczym Rządu?

- Rząd w ogóle nie powinien mieć żadnego programu gospodarczego! Program gospodarczy oznacza, że Rząd może podejmować działania dla osiągnięcia celów tam wytyczonych - inaczej nie jest to program, lecz prognoza /też zresztą zbędna/. Skoro zaś rządowi wolno realizować program A - to jutro będzie mu wolno realizować program B - być może przeciwny. Producent, handlarz i konsument nie mają pojęcia, co będzie jutro; wszelkie długofalowe poczynania tracą sens. Wydałem masę pieniędzy, by dowiedzieć się, że najprawdopodobniej za rok ludzie będą chcieli kupować więcej samochodów, zlikwidowałem wytwórnię hulajnog, zainwestowałem - a tu za rok rząd udziela 10%-owej zniżki dla producentów hulajnog i całą kalkulację diabli biorą. A rząd potrafi udzielić zniżek /lub obciążyć dodatkowo/ na sumy rządu 50% lub 100%... Rynek, na który ma prawo wpływać rząd, to anarchia i bezplanowość. Wygrują cwaniacy i eksperci od psychopatologii rządzących - a nie eksperci od badania potrzeb ludności.

Rząd ma obecnie dwie funkcje do spełniania: gospodarza własności państwowej i regulatora gospodarki. Z tej drugiej powinien się wycofywać - a właściwie powinien go z niej usunąć Sejm. Jest paradoksem - jak najlepiej świadczymy o niektórych członkach rządu - że to rząd sam się ogranicza i narzuca to Sejmowi w postaci projektów ustaw. To rząd chce zmniejszyć budżet MSW - a bronią go komisje sejmowe /sytuacja nie znana na świecie.../. Rząd posuwa się powoli i po ciernistej drodze - ale we właściwym kierunku.

Inaczej jest z drugą funkcją. Tu rząd powinien dążyć do jak najszybszego rozprzedania "własności państwowej" w ręce prywatne, wszystko jedno czyje - starając się, by rozsprzedawane firmy były możliwie małe i trafiały raczej w ręce pojedynczych właścicieli, a nie spółek akcyjnych lub /broń Boże/ holdingów. Niestety, tu rząd stara się /w najlepszej wierze/ poprawiać, co się da, czyli... ingeruje w gospodarkę. Dopóki jasno i otwarcie nie zostanie ogłoszony program reprivatyzacji, dopóty rząd będzie musiał tak postępować, gdyż p. Wilczek JEST super-dyrektorem wszystkich firm państwowych i ma OBOWIĄZEK wymieniać dyrektorów na jak najlepszych, według swego mniemania. To, czy p. min. Wilczek ma mniemania uzasadnione - to inna sprawa. Dopóki nie ma wolnego rynku, wszystkie decyzje podejmowane są na nosa i trzeba tylko mieć nadzieję, że p. Wilczek ma lepszy nos niż inni. Tak więc: jedyny rozsądny program rządu to reprivatyzacja i ogłoszenie, że rząd NIGDY nie będzie miał żadnego programu gospodarczego. Od gospodarki są kapitaliści, a nie urzędnicy.

Metrum: A co z programem "Solidarności"?

- Jeszcze śmieszniej. Pod względem kierunku jest on bardziej spóźniony, niż rządowy. Trzeba jednak odróżnić dwie sprawy:

a/ Działalność "S" jako związku zawodowego. O ile rząd szkodzi gospodarce poniekąd nieumyślnie, o tyle gospodarcza działalność ZZów jest szkodliwa zawsze i bezpośrednio. Istnieje związek zawodowy w Fabryce Obcążków - a nie istnieje w Fabryce Komputerów, bo tej jeszcze nie ma. ZZ zawsze będą więc bronić zacofania i ciągnąć kraj do ruiny.

b/ Czym innym jest działalność "S" jako siły politycznej. Niestety, w "S" najsilniejsze są wpływy socjal-demokratyczne, syndykalistyczne /oby anarcho-.../ trockistowskie itp. - i właśnie dlatego program "S" jest gorszy niż rządu.

Okragły Stoł - to z naszego punktu widzenia rozpaczliwa próba sojuszu socjal-liberałów z rządu z socjal-demokratami z "S". Według badań p. p. Kwiatkowskiego obecnie już tylko 35% ludności opowiada się za rozwiązaniami socjalistycznymi /następuje systematyczny spadek od niemal 60%/ - i te lewicowe formacje usiłują zatrzymać osuwający się grunt w najdalszym możliwym punkcie. Przy Okragłym Stołe zasiada właściwie sama lewica lub osoby deklarujące się jako lewica. awet Yercin Król zapytany: "czy chcecie kapitalizmu" - udzielił niejasnej wykrętnej odpowiedzi. Tak nie wygrają się wojny ideologicznej. Jedynie p.

Siła-Nowicki reprezentuje centro-prawicową chadecję - i charakterystyczne, że właśnie jego wypowiedzi zostały przez TV i prasę ocenzone. Zresztą chadecja też nie jest jednoznacznie pro-kapitalistyczna.

Metrum: A jaki jest Pana stosunek do PPS?

- Pełen rozowawienia. To prawda, że może i większość ludzi ma ukryte ciągoty do socjalizmu - ale mało kto się do tego przyzna, nawet przed samym sobą. Oczywiście, nadziei powinna być za socjalizmem - ale żeby stare byki traktowały socjalizm serio?!? Na to trzeba być albo naiwniakiem, albo oszustem. P. Lipski jest, oczywiście, naiwnym humanistą, wierzącym w to, że Postęp, Szczęście Ogólne itp. osiąga się przez konstruowanie przez państwo Postępu, Szczęścia ogólnego itp. Niestety, są w tym ruchu ludzie bynajmniej nie naiwni, i Bóg nas broń, przed dojdaniem ich do władzy. Robespierre i Lenin też byli /przed, a nawet i po dojdaniu do władzy - przez czas pewien, oczywiście/ przeciwnikami kary śmierci i zwolennikami samorządności!! Gdy jednak Rzeczywistość nie chce pasować do Idei, należy albo porzucić Ideę, albo siłą zmienić Rzeczywistość. Im wspanialsza Idea, tym większa pokusa, by wybrać drugie rozwiązanie. Socjalizm jest ideą najwspanialszą ze wszystkich...

Dlatego stanowczo wołę rządu p. gen. Jaruzelskiego, za których nastąpiło znaczne /choć niewystarczające/ zliberalizowanie polityki - od rządów pp. Lipskiego z Ikonowiczem. Na szczęście ich pomysły Nowego Lepszego Socjalizmu działają na publikę odpychająco. Socjalizm jest ideą wymierającą - i już nam nie grozi. Jeśli w krajach romańskich u władzy są obecnie socjaliści, to tylko dlatego, że wszędzie zrezygnowali z socjalizmu: reprzywatyżują wszystko, przemysł, banki, koleje - a Vietnam reprzywatyżował ostatnio nawet służbę zdrowia.

Być może nazwa "socjalizm" się utrzyma za względów historycznych /np. p. Thatcher wszystko zmienia, a stoi na czele Partii Konserwatywnej.../ - ale idea socjalizmu jest na pół wieku skompromitowana. Być może nasze wnuki będą karmione legendą, jak to wspaniale żyło się za Stalina /za Neronem tęskniono i 100 lat po jego śmierci/ i wrócą do idei socjalizmu. Dopóki jednak nie wymrą ci, którzy pamiętają Stalina, Gomułkę, Mitteranda, Palmego, Hitlera, Brandta i innych socjalistów - dopóty socjalizm jako nazwa jest bez szans.

Metrum: Czy nie sądzi Pan, że współcześni polscy liberalowie popełniają dawny błąd marksistów, którzy uważali, że wystarczy wszystko zrobić na odwrót i będzie raj?

- Nie. Jeśli marxiści postawili wszystko do góry nogami, to należy postawić to z powrotem na nogi - i tyle.

Jednakże Polska roku 1918 była wysoko zsocjalizowana; gdy zaczęła na krótko zdrowieć /rządy Witosza - Korfanteo - Dmowskiego/ socjalista Piłsudski zrobił przewrót i wprowadził socjal-etatyzm. Gdyby nie okupacja narodowo-socjalistyczna i stalinowsko-socjalistyczna, to I TAK w 1950 r. mielibyśmy ten sam stopień zsocjalizowania gospodarki - oczywiście .ez azjatyckich okrucieństw i być może bez formalnego odbierania własności: w narodowym socjalizmie Krupp nadal był "właścicielem" swoich fabryk - tyle, że musiał w nich robić to, co mu kazano. Nie był więc żadnym kapitalistą - ale państwu było wygodnie mieć doświadczanego dyrektora i... piorunochron dla niezadowolonych robotników. Zawsze można było zwalić wszystko na "kapitalistę".

Nie ma więc powrotu - tu popieram p. Generała - do roku 1975. ani do roku 1958, ani do 1950, ani do 1935, ani do 1925 - ale może jest powrót do modelu a la Francja 1880 lub 1863? A nawet: Królestwo Polskie 1911? Pomysły libertarian, neo-liberałów i neokonserwatystów idą zresztą znacznie dalej niż powrót do "państwa - nocnego stróża" z końca ub. wieku. Chcemy rolę państwa ograniczyć JESZCZE bardziej. Ostatecznie: jakiś postęp musi być!

Metrum: Czy zachowałby Pan jakieś elementy z obecnego systemu politycznego i gospodarczego w PRL. Jeżeli tak, to jakie?

- Pytanie trudne metodycznie. System liberalny jest tak całkowicie odmienny od etatystycznego, że taka sama instytucja, w tym samym budynku, z tymi samymi ludźmi //! działałaby zupełnie inaczej. Czy to byłaby "ta sama instytucja"?

Oto pytanie?

Natomiast jako konserwatywa zachowałbym całą masę obecnych instytucji - przynajmniej na okres przejściowy. Np. Sejm, z tym, że winien on być wybierany i mieć głos jedynie doradczy poza uchwalaniem podatków. Także Radę Państwa, mianowaną w całości przez PZPR, ZSL i SD. Oprócz tego Senat i Prezydenta - po to, by uchwalano JAK NAJMNIEJ ustaw. Każde z tych ciał winno być mianowane lub wybierane przez inny elektorat. Można by np. pomyśleć o Viceprezydencie - kobiecie wybieranej wyłącznie przez kobiety, mającej prawo weta. Im mniej ustaw wydaje Parlament - tym lepiej, powtarzam.

Cechy - ale dobrowolne - też pozostałyby. Nawet związki zawodowe - ale odebrałbym im wszelkie uprawnienia quasi-ustawodawcze i quasi-władcze: prawo do opiniowania zwolnień z pracy, immunitet dla działaczy, prawo do konsultacji, rozdziału cebuli /tj. bezpłatnego korzystania z transportu zakładowego w godzinach pracy/ itd. Ciekawe, czy ktoś zapisałby się do ZZ, gdyby nie przywileje udzielane ZZ na koszt konsumenta przez państwo?

Byłby też i rząd: premier /pełniący dodatkowo funkcję ministra finansów/, ministrowie: spraw zagranicznych, zasobów środowiska, wojny, policji i, być może, komunikacji. Roboty miałyby niewiele - ale za to ważne: pilnować porządku i być gotowym na wypadek zakłóceń tego porządku, z wojną na czele. Ultra-liberałowie myślą zresztą również o reprivatyzacji /przynajmniej częściowej/ wojska i policji. Pozostałyby też sądy - ale całkowicie niezależne od rządu i od parlamentu. Parlament miałby jedynie prawo do wydawania zaleceń, które moc wiążącą miałyby po pewnym czasie /również w sprawach cywilnych parlament nie mógłby z dnia na dzień zmieniać kodeksu!/.

Sądy miałyby też prawo wstrzymywania ze skutkiem natychmiastowym każdej działalności sprzecznej z prawem /co, nawiąsałem pisząc, dodatkowo powściągnęłoby "radosną twórczość" ustawodawców, bo dziś właściciel wszystko jest sprzeczne z prawami PRL/. Judykatura stałaby się więc władzą ważniejszą od legislatury i egzekutywy. Czy to byłoby "to samo" sądownictwo?

Czy parlament, wydający /poza budżetowymi/ ustawę raz na trzy lata - to byłby ten sam parlament?

Czy rząd, uwolniony od handlu pietruszką, wykonujący tylko postanowienia parlamentu i przestrzegający nakazów prawa - byłby tym samym rządem? Czy minister zasobów środowiska, wydający zgodę na budowę prywatnej kopalni pod warunkiem, że uzyska z tego dość pieniędzy, by naprawić więcej szkód w środowisku niż wyrządzi ich kopalnia - byłby tym samym ministrem? Przecież on miałby tyleż interesu w otwarciu prywatnej kopalni, co obecnie naczelnik działalniczy w otwarciu zakładu krawieckiego - czyli żaden. Jak widać: tylko reprivatyzacja może uchronić środowisko naturalne, bo ciężiej reprezentantowi państwa bronić go przed kolegą z rządu, ministrem przemysłu niż przed prywatniarzem /którą to uwagę dedykuję rozmaitym Zielonym, wszędzie na Zachodzie wspomagającym, w swej głupocie, ruchy lewicowe/.

Polska Rzeczpospolita Liberalna byłaby zupełnie innym państwem. Skończyłby się: korupcja, leserka i kwękanie. Tempo wzrostu byłoby niewątpliwie wyższe niż w ubiegłowiecznych Stanach Zjednoczonych - po 8-9 latach byłoby to więc czołowe państwo w Europie /o co niestrudno, wobec szalejącego tu socjalizmu/ i zaczęłoby doganiać Taiwan. Byłaby do Polski liczna imigracja ludzi przedsiębiorczych zza granic - a emigrowaliby leserzy, chcący mieć zasiłki w socjalistycznej RFN, socjalistycznych USA i innych krajach. Odrobilibyśmy tym samym straty genetyczne ubiegłych stuleci.

Wielu twierdzi, że jest to program nierealny, bo Polacy są już tak zdemoralizowani i rozleniwieni przez socjalizm, że nie zgodzą się na to. Ten sam argument używany jest w stosunku do Indii. Jak jednak zauważył p.prof. Friedman przed stu z hakiem laty dokładnie to samo mówiono o Japończykach. Rozleniwieni pańszczyzną chłopci, rozbiurmanieni samuraje... Zmieniono parę przepisów gospodarczych, zaczęto promiować pracę i myślenie - i oto Japończycy stali się najpracowijszymi ludźmi świata. Do czasu, gdy wprowadzono /niedemokratycznie.../ elementy liberalizmu - skromne elementy - w Korei Południowej...

Uratowanie Polski jest naprawdę bardzo łatwe. Wystarczy trochę charakteru, trochę wiedzy, trochę siły - i dużo wyobraźni: skrepowanej etyką, ale nieskrepowanej XX-wiecznymi przesadami społecznymi.

I pora byłaby zacząć już teraz.

etrum: Dziękujemy za rozmowę.

Poezja

Tomas Venclova

W I E R S Z E

WIERSZ O PAMIĘCI

Czekasz tych, którzy odeszli? Dotkliwie
Oni odeszli. Trwają opuszczeni,
Bez ścian, ołówków, dusz, zegarów, cieni,
Deszczu i śniegu, nagrody i ziemi,
Nieśmiertelności, leśnego igliwia.

Kto z nich ma słuszność - dociec już nie sposób,
I gdy podliczasz sumę wszystkich rozstań,
Zanika twoja jednolitość prosta
I sam się dzielisz na zgiełk sprzecznych głosów.

Zostaje rysa po nożu i odcisk
Palców na szklance i kurz na regałach:
Tyle metafor, zmyśleń, dowolności,
A prawdziwego losu - tak w tym mało.

Zostają tylko dwa głosy. W objęciu
Obojętnego miasta czas ich mija.
Dawniej zwilżała je kropla pamięci.
Pamięć jest teraz twoja. I niczyja.

Skrzydłata, ślepa, miota się i krzyczy
Jak odpychana przez gniazdo jaskółka.
I cóż wart tutaj, czego tutaj szuka
Twój uroczyste klarowny klasycyzm?

Moment, skazany wyrokiem pamięci,
Odległy od nas już, jak szal pomięty
Spada na izby, korytarze, schody,
Na lukę, która trwa ciągle pomiędzy
Czasem minionym a tym, co nadchodzi.

x x x

Nie rozstajałym dotąd czołem
Łodowiec pcha gromadę moren
Tam, gdzie na oślepie huczy kolej
Wgłębnym w rozpadlinę torem,
Podwójną rzeką. Z urwisk jeszcze
Brzmi ten huk w echa utrwaleniu
I, za zakrętem szyn, przedmieście
Majaczy w mroku i milczeniu.

Przystanie i kryjówki biedy,
Druły, ogrodu suche osty...
O wszystkich pięciu zmysłów brzegi
Uderza nagle napór wiosny
I już czymś innym są niż sobą
Ulica, park, żywopiót, okno -
Granica, gdzie się kończy młodość,
Przestrzeń, gdzie zmienia się samotność.

Zwolna wtaczają się wagony
W pustkowie węgla i asfaltu,
Los z innym losem zawężony
Wraca do odrębnego kształtu;
Swoim nieważkim żłitym mieczem
Wskazuje drogę strażnik raju,
Chroniąc przed nami czysty kwiecień -
Królestwo odtajających kałuż

Pod kulą słońca. A gdy wieczór,
Rzędy aut suną w stronę centrum
I dymy ze zgaszonej świecy
Przeciąg rązwiewa nad koncertem.
Przy zgiełku świata - chóry wieczne,
Przy brudzie bram cuchnących moczem -
Fale powietrza drżą bezgrzesznie
Jak tego chcieli Bach i Mozart.

Zmówili się, by na nas nasić
Tę dziwną śmierć. Bo co zostaje
Z muzyki, co z naszego miasta?
Mniej niż nic - na ceglanej ścianie
Bryzg farby, kamień, strzęp afisza,
Wszystko niklejsze niż ta próżnia,
Czarnego firmamentu cisza,
Bez dna, bezludna i bezduszna.

Oto obola przyjął Charon
I płyną w dół ruchome schody
Jak łódź, kryjąca się pod skałą,
Gdzie Leta toczy ciemne wody.
Latarnia nocy. Martwy promień.
Przez mrok naszego odrętwienia
Błysk się przedziiera, z tamtej strony
Czasu, pamięci i istnienia.

x x x

Za drzwiami - koniec ziemi. Z dała
Mnie na spotkanie ciemna fala.
Odległy blask - szczelina biała
Pomiędzy głazem a wiatrem.
Tu się rodziłem, wieczność temu,
Choć później od tych skał i tlenu
/Pas żwiru lśni w głębokim cieniu,
Jeszcze przed świtem i światłem/.

W płyt asfaltowych gładkim szkliwie
Pęknięcia żłobią się cierpliwie;
Nad dachówkami - drzew igliwie
Chciwie wysysa powietrze.
Będą się węgle żarzyć w kącie,
Przyszłość się zacznie i wnet skończy,
I dziecko będzie bać się nocy,
We śnie znajdując ucieczkę.

Woły nie będą stać u progu,
Nie będzie królów trzech u żłobu,
Ale przestrzeni starczy Bogu,
Jeśli się w okno choć jedna
Przywieje sosna schyli nisko -

Jak oś, podtrzymująca Wszystko -
By ujrzeć święty kąt z kołyską
I obok płonące drewna.

W dal, gdzie powietrza kresy mgliste,
Wspinam się z dzieckiem nad urwiskiem
Na zadyszane i spadziaste
Wydmny własnego mozołu,
Wsluchuję się, wybężam pamięć,
Niepewny, z kim rozmawiam, Panie -
Czy z Tobą, który nie znasz granic,
Czy z kręgiem światła dokoła.

GETTO

Wrócimy tutaj. U nas tak spokojnie.
I tyle domów. Węgiel, prosto gada
O tym, co policzone i zważone.
Ten czas jest czasem ostatecznym.

Zdrada

Ścieka z nagłówków w codziennej gazecie,
Wlewa się w żółtą szparę drzewi, farbuje
Opaskę, wsadza jad w atrament, umie
Rozrywać związki i przegryzać sieci.

Och, myśli dziecka, kruche domów mury,
Wyschnięte wody, przewidziane góry!

Nie, nie ma śmierci i na Sąd nie czas.
Płomień i piasek liżą rany okien.
Nie Izraela, nie Rzymu wyrokiem,
Lecz ostatecznym prawem - każdy z nas
Jest tylko znakiem, szkicem, protokołem.
Jesteśmy białym papierem. Popiołem.

X X X

Otwarcie oczu ogąłaca pokój
Z niepotrzebnego nocnego balastu -
Z warstw realności, które już od zmroku
Lgnęły do klatki piersiowej jak plastry.
Wraca na miejsce obrus, książka, wrzesień,
Deszcz, samolotu warkot jedności.
W otworze wyrąbanym we wszechświecie
/W ośnieniu?/ na moment zastygają lipy.

Dreńczy je, tak jak nas, zmora niemocy:
Jak takielunek jachtu w wicherze rejsu,
Rwą się, chcą rozpaść - ale przebieg nocy
Twardo osadza je w czasie i w miejscu.
W zgodzie z ich mrocznym i przejrzystym światem
Popatrz przez szybę. Obręczą gwiaździstą
Tykając lasów, niby nieba atom
Jarzy się w dole pobliskie lotnisko.

Samolot zniża się w gniazdo, rozwiane
Pod nim jak jasny dysk. Na płaskim gruncie
Schodzą się górne szlaki. Rozwiązanie.

Wszystko się zbiega w tym jedynym punkcie:
Przewidywania; odległości; śmierć,
Która wybierze nas /stwarza, być może/
I białość kartki. I pamięć, co świeci
W górze nad nami, jak gwiazda nad morzem.

W pustce, u celu wszystkich sennych tras,
Z twarzą ukrytą w dioniach, mów, człowieku,
Mów sam do siebie - który to już raz -
Słyszac w przestrzeniach niewyraźne echo,
Brzmiące pod stropem nieba /tak jak fale
Brzmią w głębi muszli/: "Nie chcę sądzić, ale
Nie jestem w stanie pomóc. Tutaj nie ma
Nagrody, leku, wyroku, zbawienia".

Tomas Venclova
przekład przy współpracy Autora:
Stanisław Barańczak

Gwido Zlatkes

W I E R S Z E

PETRONIUSZ

Naprawdę zdziwił mnie falern i pawie języki
na nieskończonych ucztach nagość krew barwiczka
oliwa ciała zapaśników biusty wędnących kobiet
twarze dwunastoletnich kurew woń róż
i pachnideł wieńce na spoconych łysinach
Na lewym boku mam odleżyny ręka mi zdrętwiała
słuchać już nie mogę wytwornych paradoksów
Więc zamiast pióra flaminga wepchniętego do gardła

zstąpiłem między lud bosi nabrałem gustu
do ich potraw bigosu schaboszczką do niezrównanego
zapachu ciepłej bułki z mazia pieczarkowo-cebulową
a zamiast białej togi niebieskie kalessony
zamiast retoryki mówienie prawdy ciężka praca
by pozostać człowiekiem tutaj piękne
może być to tylko co jest dobre

Naprawdę zdziwił mnie falern wolę wódkę
tu także można estetyką tłumaczyć odmowę

PRZYWRACACZ PROPORCJI

gdzie sprawiedliwi wystawieni na widok publiczny
a niezłomni ze słupów świadczą niewinność

Wszystko się zbiega w tym jedynym punkcie:
Przewidywania; odległości; śmierć,
Która wybierze nas /stwarza, być może/
I białość kartki. I pamięć, co świeci
W górze nad nami, jak gwiazda nad morzem.

W pustce, u celu wszystkich sennych tras,
Z twarzą ukrytą w dioniach, mów, człowieku,
Mów sam do siebie - który to już raz -
Słyszając w przestrzeniach niewyraźne echo,
Brzmiące pod stropem nieba /tak jak fale
Brzmią w głębi muszli/: "Nie chcę sądzić, ale
Nie jestem w stanie pomóc. Tutaj nie ma
Nagrody, leku, wyroku, zbawienia".

Tomas Venclova
przekład przy współpracy Autora:
Stanisław Barańczak

Gwido Zlatkes

W I E R S Z E

PETRONIUSZ

Naprawdę zdziwił mnie falern i pawie języki
na nieskończonych ucztach nagość krew barwiczka
oliwa ciała zapasników biusty wędnących kobiet
twarze dwunastoletnich kurew woń róż
i pachnideł wieńce na spoconych łysinach
Na lewym boku mam odleżyny ręka mi zdrętwiała
słuchać już nie mogę wytwornych paradoksów
Więc zamiast pióra flaminga wepchniętego do gardła

zstąpiłem między lud bosi nabrałem gustu
do ich potraw bigosu schaboszczką do niezrównanego
zapachu ciepłej bułki z mazia pieczarkowo-cebulową
a zamiast białej togi niebieskie kalessony
zamiast retoryki mówienie prawdy ciężka praca
by pozostać człowiekiem tutaj piękne
może być to tylko co jest dobre

Naprawdę zdziwił mnie falern wolę wódkę
tu także można estetyką tłumaczyć odmowę

PRZYWRACACZ PROPORCJI

gdzie sprawiedliwi wystawieni na widok publiczny
a niezłomni ze słupów świadczą niewinność

Wszystko się zbiega w tym jedynym punkcie:
Przewidywania; odległości; śmierć,
Która wybierze nas /stwarza, być może/
I białość kartki. I pamięć, co świeci
W górze nad nami, jak gwiazda nad morzem.

W pustce, u celu wszystkich sennych tras,
Z twarzą ukrytą w dioniach, mów, człowieku,
Mów sam do siebie - który to już raz -
Słyszając w przestrzeniach niewyraźne echo,
Brzmiące pod stropem nieba /tak jak fale
Brzmią w głębi muszli/: "Nie chcę sądzić, ale
Nie jestem w stanie pomóc. Tutaj nie ma
Nagrody, leku, wyroku, zbawienia".

Tomas Venclova
przekład przy współpracy Autora:
Stanisław Barańczak

Gwido Zlatkes

W I E R S Z E

PETRONIUSZ

Naprawdę zdziwił mnie falern i pawie języki
na nieskończonych ucztach nagość krew barwiczka
oliwa ciała zapaśników biusty wędnących kobiet
twarze dwunastoletnich kurew woń róż
i pachnideł wieńce na spoconych łysinach
Na lewym boku mam odleżyny ręka mi zdrętwiała
słuchać już nie mogę wytwornych paradoksów
Więc zamiast pióra flaminga wepchniętego do gardła

zstąpiłem między lud bosi nabrałem gustu
do ich potraw bigosu schaboszczką do niezrównanego
zapachu ciepłej bułki z mazia pieczarkowo-cebulową
a zamiast białej togi niebieskie kalessony
zamiast retoryki mówienie prawdy ciężka praca
by pozostać człowiekiem tutaj piękne
może być to tylko co jest dobre

Naprawdę zdziwił mnie falern wolę wódkę
tu także można estetyką tłumaczyć odmowę

PRZYWRACACZ PROPORCJI

gdzie sprawiedliwi wystawieni na widok publiczny
a niezłomni ze słupów świadczą niewinność

pod okiem żandarmów patrzących czujnie przez palce
by oddzielone było prawe i nieprawe

najbardziej potrzebni są przywracacze proporcji
a miejsce poety jest w domu miejsce wiersza w szufladzie
między rzeczami zapomnianymi ziamanym ołówkiem
zdjęciem uschniętym liściem pamiątką umarłej miłości

to dobrowolne wygnanie nie przynosi zaszczytu
jego racją nadzieja na łagodniejsze czasy
i wierność sobie samemu rzeczom niepotrzebnym
uschniętym liściom pamiątkom umarłych miłości

potrzebni są przywracacze proporcji

MUZYKA

tak mało grają
a tyle muzyki

pojedynczy wibrujący dźwięk
stygnię w powietrzu
w nieskończoność

cisza
rośnie

pojedynczy wibrujący dźwięk
ostre szarpnięcie nerw gitary ból
serca w tle w skroni suchy puls bębienka
i fletu szklisty sztylet
który łagodnie ciemnieje
i miękko wschodzi ocean nieba
przeraźliwie daleki chłodny
i gwiazda
spada
jak słońa kropła
gdzieś
poza światem

ludzie biegną nie biegną uciekają ludzie dużo ludzi
za nimi psy wielkie bezgłośnie biyskają żółto ślepią
kwaśny smród potu strachu szczyń krew rozchlapana
na ziemi pyski wbite w niebo wycie wystrzały warkot
komend warkot samochodów werbel
nerw gitary
lepka i ciężka czułość
spocona słodycz nieruchoma i coraz bardziej
bezwstydną zdyszana zatopiona
w sobie nawzajem tylko w sobie

prościutka melodyjka krótki szczęśliwy śmiech
tak mało

grają
igła strzykawki z morfiną igła gramofonu
trzech mężczyzn w elektrycznej ciemności
gitara bębenek flet

a tyle muzyki

KLASYCYZM

przede wszystkim
świadomość proporcji
to znaczy własnego miejsca
a także rangi otoczenia
w hierarchii ludzkich nieszczęść
z tym wiąże się dystans i nieuleganie emocjom
także tym wspólnym
pewien chłód i poczucie obcości

po wtóre
skłonność do jasności
do tego co zrozumiałe
a więc do uproszczeń
/z lektur publicystyka dalej wiersze bo krótkie/
ten niejako nadmiar rozumu
przy niedostatku wiary
zmusza czasami
do szukania w tym co oczywiste
przemilczanych założeń albo niedomyśleń

poza tym niewiele
jakieś okruchy z Aurelego
przysypane piaskiem niepamięci
jakaś scena dionizyjska w marmurze wyobraźni

iskierka buntu

Gwido Zlatkes
/z tomu "Tożsamość"/

Allan B. Perry

REFLEKSJA WIELKANOCNA

Tak stoimy: widzowie i aktorzy -
czyści, młodzi, mili, wykształceni
i - nie mogąc ruchu uczynić -
o miłości po cichu szepczemy
w kolejeczce po chleb nasz powszedni.

Oby przynieść go do domu w pokoju!
Niech nas żywi - jak słowa Twoje!

/tłum. A. Z./

Lektury obowiązkowe

Bertolt Brecht

PIĘC TRUDNOŚCI PRZY PISANIU PRAWDY

Od redakcji:

"Pięć trudności przy pisaniu prawdy" zostało napisane w roku 1934 dla rozpowszechnienia w Niemczech hitlerowskich. Szkic Brechta opublikowano w antyfaszysowskim czasopiśmie "Unsere Zeit", wydawanym przez "Schutzverband Deutscher Schriftsteller" w Paryżu.

Kto pragnie dziś zwalczać kłamstwo i niewiedzę, kto chce pisać prawdę, ma co najmniej pięć trudności do pokonania. Potrzebna mu odwaga pisania prawdy, gdyż wszędzie jest gnębiona, mądrość poznania jej, gdyż wszędzie jest ukrywana, sztuka czynienia jej poręczną jak oręż, wybór ludzi, w rękach których stanie się skuteczna, przebiegłość dla jej rozpowszechnienia.

Trudności te, poważne dla ludzi piszących w warunkach faszyzmu, powstają również przed tymi, którzy zostali wypędzeni lub uciekli, ba, nawet przed tymi, którzy piszą w krajach mieszczańskiej wolności.

1. ODWAGA PISANIA PRAWDY

Wydaje nam się samo przez się zrozumiałe, że piszący winien pisać prawdę, w tym sensie, że nie powinien jej zawęzać lub przemilczać i że nie powinien pisać niczego nieprawdziwego. Nie powinien się korzyć przed możnymi. Nie powinien okłamywać słabych. Oczywiście jest bardzo trudno nie korzyć się przed możnymi, bardzo zaś dogodnie oszukiwać słabych. Popaść w nielaskę posiadaczy, znaczy zrzec się posiadania. Zrezygnować z zapłaty za wykonaną pracę, znaczy być może zrezygnować z pracy. A odrzucić sławę u możnych znaczy często w ogóle sławę odrzucić. Do tego jest potrzebna odwaga. Czasy skrajnego ucisku to zazwyczaj czasy, w których często jest mowa o sprawach wielkich i wzniosłych. Potrzebna jest odwaga, aby w takich czasach mówić o sprawach przyziemnych i powszednich, o takich jak jedzenie i mieszkanie dla ludzi pracy, a to wśród potężnego wrzasku, że ofiarność jest sprawą najważniejszą. Kiedy chłopci obesypani są zaszczytami, odwaga jest mówić o maszynach i tanich paszach, które ich zaszczytną pracę mogłyby ułatwić. Kiedy krzyczy się przez wszystkie rozgłośnie, że człowiek lepszy - dla kogo? Kiedy jest mowa o rasach doskonałych i niedoskonałych, odwaga jest zapytać, czy głód, ciemnota i wojna nie są przyczyną najgorszych ułomności. Podobnie potrzebna jest odwaga, aby mówić prawdę o sobie samym, o sobie zwyciężonym. Wielu prześladowanych traci zdolność dostrzegania swych błędów. Prześladowanie wydaje się im najwięcej niesprawiedliwością. Prześladowcy, jako że prześladowają, są źli, tamci zaś prześladowani są za swą dobroć. Ale dobro to zostało pobite, zwyciężone i pokonane, było więc dobrem słabym, złym, nietrwałym, niepewnym dobrem: nie wolno bowiem godzić się ze słabością dobroci jak z wilgotnością deszczu. By powiedzieć, że dobrzy zostali zwyciężeni, nie dlatego, że byli dobrzy, lecz dlatego, że byli słabi, potrzebna jest odwaga. Oczywiście prawda musi być pisana w walce z nieprawdą, nie może być czymś ogólnikowym, wzniosłym i wieloznacznym. Z tego ogólnikowego, wzniosłego i wieloznacznego sposobu pisania powstaje przecież nieprawda. Jeśli powiada się o kimś, że powiedział prawdę, to tym samym mówi się o nim, że niektórzy, jeden lub wielu, mówili kłamstwa lub ogólniki, on zaś powiedział prawdę, coś praktycznego, rzeczywistego, coś, o co chodziło.

Niewiele trzeba odwagi, by narzekać na zło tego świata i triumf brutalności w sposób ogólnikowy, grozić triumfem ducha w tej części świata, gdzie jest to jeszcze dozwolone. Wielu zachowuje się tak, jak gdyby był w rich wycelowane armaty, podczas gdy są to tylko lornetki operowe. Wykrzykuje swe ogólnikowe żądania w przyjaznym świecie ludzi beztróskich. Domagają się powszechnie sprawied-

liwości i powszechnej wolności, dla której nigdy niczego nie uczynili oraz prawa do części łupu, którym od dawna się z nimi dzielono. Przyjmują za prawdę tylko to co pięknie brzmi. Jeżeli prawda jest czymś wymiernym, suchym, realnym, czymś, dla znalezienia czego potrzebny jest wysiłek i studia, wówczas nie jest to dla nich prawda, gdyż nie wprowadza ich to w upojenie. Mają tylko pozór ludzi mówiących prawdę. Ich niestety polega na tym: nie znają prawdy.

2. MADROSC ROZPOZNANIA PRAWDY

Ponieważ trudno jest pisać prawdę, bowiem wszędzie jest ona gnębiona, w daje się wielu ludziom jedynie kwestię przekonania, czy prawda zostanie napisana czy też nie. Uważają, że do tego potrzebna jest tylko odwaga. Zapominają o drugiej trudności - trudności rozpoznania prawdy. Że łatwo jest prawdę odnaleźć nie może być nawet mowy. Nie łatwo nawet odkryć, jakie prawdy warto powiedzieć. Tak np. obecnie pogrzeza się w skrajne barbarzyństwo na oczach całego świata jedno wielkie państwo cywilizowane za drugim. Przy tym każdy wie, że wojna wewnętrzna, prowadzona najokropniejszymi środkami, może się łąda dzień przekształcić w wojnę zewnętrzną, która być może pozostawi z naszej części świata tylko kupę gruzu, jest to prawda niewątpliwa, ale istnieje oczywiście więcej prawd. Tak np. nie jest nieprawdą, że krzesła posiadają siedzenia i że deszcz pada z góry na dół. Wielu poetów pisze prawdy tego rodzaju. Przypominają oni malarzy, pokrywających ściany tonących okrętów martwymi naturami. Nasza pierwsza trudność dla nich nie istnieje, a jednak mają spokojne sumienia. Nie zwiedzeni przez możnych, ale także nie zbici z tropu jękami ofiar, pacykują swoje obrazy. Bezsens ich postępowania wykształca w nich samych głęboki pesymizm, który sprzedają po dobrych cenach i który właściwie, biorąc pod uwagę tych właśnie mistrzów i ten sposób sprzedaży, byłby uzasadniony raczej w innych okolicznościach. Przy tym niełatwo jest nawet rozpoznać, że prawdy ich - to prawdy o krzesłach i deszczu, brzmią one bowiem zazwyczaj zupełnie inaczej. Artystyczne kształtowanie bowiem polega właśnie na tym, aby użyć rzeczom własności.

Dopiero przy dokładnym rozpatrzeniu okazuje się, że powiadają tylko: "krzesło jest "krzesłem" i "nikt nie może nic przeciwko temu uczynić, że deszcz pada z góry na dół".

Ludzie ci nie odnajdują prawd, o których warto pisać. Inni natomiast zajmują się rzeczami nie najpilniejszymi zadaniami, nie lękają się władców, ani ubóstwa, lecz mimo to jednak nie są w stanie odnaleźć prawdy. Nie dostaje im wiedzy. Pełni są starzych zabobonów oraz starych i w dawnych czasach pięknie sformułowanych przesądów. Świat jest dla nich zbyt skomplikowany, nie znają faktów i nie dostrzegają wzajemnych związków. Prócz przekonania, potrzebne są nabyte wiadomości i wyuczone metody. Potrzebna jest wszystkim piszącym w tych czasach, gnępowani i wielkich przemian znajomość materialistycznej dialektyki, ekonomii i historii. Można ją zdobyć z książek i poprzez praktyczną naukę, jeśli tylko dopisze niezbędna pilność. Można w prosty sposób odkryć wiele prawd, części prawdy, lub sformułować wiadomości do odkrycia prawdy. Jeśli się chce szukać, dobrze jest mieć metodę, można też znaleźć bez metody, ba, nawet nie szukając. Ale w tak przypadkowy sposób nie zdobywa się takiego wyobrażenia prawdy, ażeby na jego podstawie ludzie wiedzieli jak postępować. Ludzie, którzy tylko spisują drobne fakty, nie są w stanie uczynić spraw naszego świata uchwytymi. A prawda ma ten typka sens i żadnego innego. Ci ludzie nie dorosli do wymogów pisania prawdy.

Jeśli ktoś gotów jest pisać prawdę i zdolny jest do jej rozpoznania, pozostaje mu trzy jeszcze trudności.

3. SZTUKA UCZYNINIENIA PRAWDY PORĘCZNA JAK ORĘŻ

Prawda musi być wyrażona w imię wynikających z niej wniosków praktycznych. Jako przykład prawdy, z której nie wyciąga się żadnych wniosków, lub wniosków fałszywych, niechaj posłuży nam szeroko rozpowszechnione przekonanie, że w pewnych krajach panują złe stosunki, wynikające z barbarzyństwa. Według tego poglądu fałszywym jest fala barbarzyństwa, która zadając gwałt naturze, wdania się do pewnych krajów.

Według tego poglądu jest faszyzm nową trzecią siłą obok /lub ponad/ kapitalizmem i socjalizmem: nie tylko ruch socjalistyczny, lecz także kapitalizm mógłby według tego poglądu istnieć nadal bez faszyzmu itd. Jest to oczywiście pogląd faszystowski, jest to kapitulacja przed faszyzmem. Faszyzm jest fazą historyczną, w którą wkroczył kapitalizm, w pewnym sensie coś nowego a zarazem starego.

Kapitalizm istnieje w krajach faszystowskich tylko i jedynie jako faszyzm, a faszyzm może być zwalczany jako kapitalizm najbardziej jawny, beczelny, najbardziej gnębiący i zakłamywany kapitalizm.

Jak ma więc mówić prawdę o faszyzmie ktoś, kto nie jest mu przeciwny, jeśli nie chce powiedzieć niczego przeciw kapitalizmowi, który ten faszyzm sprowadził? Jak na praktycznie wyglądać ta prawda?

Ci, którzy są przeciw faszyzmowi nie będąc przeciwko kapitalizmowi, ci, którzy ubolewają nad barbarzyństwem rodzącym się z barbarzyństwa, przypominają ludzi, którzy chcą otrzymać swą część cielca, tak jednak, aby cielę nie było ubite. Chcą jeść cielęcinę, ale nie chcą widzieć krwi. Są uspokojeni, gdy rzeźnik umyje ręce zanim poda mięso. Nie są przeciwko stosunkom własności, które rodzą barbarzyństwo, lecz tylko przeciwko samemu barbarzyństwu. Podnoszą swój głos przeciwko barbarzyństwu, a czynią to w krajach, gdzie panują te same stosunki własności, choć jeszcze rzeźnicy myją zawsze ręce zanim podadzą mięso.

Głośne skargi przeciw barbarzyńskiemu postępowaniu mogą działać przez krótki czas, jak długo słuchacze wierzą, że w ich krajach tego rodzaju metody nie mogą wchodzić w rachubę. Pewne kraje są w stanie zachować na razie stosunki własności przy pomocy mniej drastycznych środków. Tam demokracja spełnia jeszcze te usługi, dla których inne kraje stosować muszą przemoc, a mianowicie zagwarantowanie własności środków produkcji. Monopol na fabryki, kopalnie, dobra ziemskie stwarza wszędzie barbarzyńską sytuację, jest ona jednak mniej widoczna. Barbarzyństwo ujawnia się wtedy, kiedy monopol ten może zostać utrzymany jedynie przy użyciu jawnej przemocy.

W niektórych krajach, które nie muszą jeszcze w imię barbarzyńskich monopolii rezygnować z formalnych gwarancji praworządnego państwa, jak również z takich umiłów jak sztuka, filozofia, literatura, wysłuchuje się szczególnie chętnie tych przybyszów, którzy oskarżają swą ojczyznę o rezygnację z owych umiłów, ponieważ oskarżenia te mogą przynieść tym krajom korzyści w spodziewanych wojnach. Czy można powiedzieć, że poznał prawdę ci, którzy np. domagają się gromko nieubieganej walki przeciwko Niemcom, "bowiem jest to prawdziwie ojczyzna złego w naszych czasach, odnoga piekła, siedziba antychrysta"? Należy raczej powiedzieć, że są to głupcy, ludzie bezradni i szkodliwi. Wniosek bowiem z takiej gadaniny jest tylko ten, że kraj powinien zostać zniszczony. Cały kraj z wszystkimi jego mieszkańcami, ponieważ gazy trujące, gdy zabijają, nie szukają winnych.

Człowiek lekkomyślny, który nie zna prawdy, wyraża się ogólnikowo, górnolotnie i niedokładnie. Bajdurzy o "tych" Niemcach, narzeka na "to" zło, a słuchacz w najlepszym wypadku nie wie co robić. Czy ma zdecydować się nie być Niemcem? Czy zniknie piekło, gdy on stanie się dobry? Gadanina o barbarzyństwie, które rodzi się z barbarzyństwa jest także gadaniną tego rodzaju. Według niej barbarzyństwo pochodzi z barbarzyństwa i przestaje istnieć przez umoralnienie rodzące się z oświaty. Jest to wszystko wyrażone zupełnie ogólnikowo, bez wniosków dla działania i właściwie do nikogo nie skierowane.

Takie wyobrażenia wskazują tylko na nieliczne ogniwa w łańcuchu przyczyn, przy czym przedstawiają określone siły napędowe jako siły niepokonane. Takie wyobrażenia zawierają wiele ciemności, ukrywającej te siły, które gotują katastrofę. Nieco światła, a oto pojawia się na widowni właściwi sprawcy katastrof - ludzie! Żyjemy bowiem w czasach, kiedy człowiek stanowi o losie człowieka.

Faszyzm nie jest kłęką żywiołową, która przez naturę ludzką nie może zostać pojęta. Ale istnieją sposoby przedstawienia kłęsk żywiołowych godne człowieka, gdyż apelują do jego męstwa.

W wielu amerykańskich czasopiśmiech można było po wielkim trzęsieniu ziemi, które zburzyło Jokohamę, zobaczyć fotografię ukazującą pola ruin. Pod tym było napisane: "Steel stood" /stal przetrwała/ i rzeczywiście, kto na pierwszy rzut oka widział tylko ruiny, dojrzał teraz, że pojedyncze wysokie budynki pozostały nienaruszone. Spośród wyobrażeń, jakie dać można o trzęsieniu ziemi, najważniejsze są te, które powstają w umysłach inżynierów budowlanych, biorących pod uwagę przesunięcia gruntu, siłę uderzenia, powstającą temperaturę itp. i dążących do stworzenia konstrukcji, zdolnej oprzeć się katastrofie. Kto pragnie opisać faszyzm i wojnę, owe wielkie katastrofy, nie będące bynajmniej kłękami żywiołowymi, musi tworzyć prawdy praktyczne. Musi ukazać, że są to katastrofy, które posiadacze tych środków gotują olbrzymim masom ludzkim pracującym bez własnych środków produkcji. Jeśli chce się skutecznie pisać prawdę o złej sytuacji, trzeba pisać tak, aby zostały ujawnione ukrywane przyczyny tej sytuacji. Kiedy

przemilczane przyczyny zostaną rozpoznane, będzie można zwalczać zło.

4. KRYTERIA WYBORU LUDZI, W RĘKACH KTÓRYCH PRAWDA JEST SKUTECZNA

Za sprawą odwiecznego zwyczaju handlowania, zapisanym na rynku poglądów i wyobrażeń poprzez to, że piszącemu odebrano troskę o napisane, odnosi piszący społeczeństwu. Myśli on: piszę, ci zaś, którzy chcą słuchać, słuchają mnie. W rzeczywistości mówi, a słuchają go ci, którzy mogą płacić. Jego słów nie słyszą wszyscy, a ci którzy słuchają, nie chcą słuchać wszystkiego. Mówiono o tym już wiele, choć jeszcze za mało; chciałbym tu tylko przypomnieć, że "pisać dla kogoś" przemieniło się w samo tylko "pisać". Prawdy nie można przecież jedynie pisać, trzeba ją koniecznie pisać dla kogoś, kto wie, co z tym począć. Poznanie prawdy jest wspólnym dorobkiem piszącego i czytelników. Aby coś dobrego powiedzieć, trzeba słyszeć dobrze i słyszeć rzecz dobrą. Prawda musi być powiedziana z wyrachowaniem i słuchana z wyrachowaniem. A dla nas piszących ważne jest, komu ją mówimy i kto ją nam mówi.

Musimy mówić prawdę o złej sytuacji tym, dla których sytuacja ta jest najgorsza i musimy się od nich o niej dowiadywać. Nie tylko do ludzi o określonych przekonaniach trzeba się zwracać, lecz do ludzi, u których te przekonania powstały na gruncie ich sytuacji. A przecież nasi słuchacze przeobrażają się nieustannie! Nawet z katami można się porozumieć, jeśli przestaną im płacić za wieszanie, lub jeśli niebezpieczeństwo zaczyna stawać się poważne. Chłopi bawarscy byli przeciwko wszelkiemu przewrotowi, gdy jednak wojna trwała zbyt długo i synowie powrócili do domów, nie znajdując dla siebie miejsca w zagrodach, można było ich pozyskać dla przewrotu.

Dla piszących jest ważne, aby utrafiliby we właściwy ton prawdy. Zazwyczaj słyszy się bardzo łagodny, boleścinny ton ludzi nie potrafiących skrzywdzić muchy. Kto słyszy ten ton i jest w biedzie, pograża się jeszcze bardziej. Tak mówią ludzie, którzy zapewne nie są wrogami, ale nie są na pewno też i współczujnikami. Prawda jest czymś wojującym, zwalcza ona nie tylko nieprawdę, lecz określonych ludzi, którzy ją głoszą.

5. PRZEBIEGŁOŚĆ W SZERZENIU PRAWDY

Wielu ludzi chlubiących się odwagą prawdy, szczęśliwych, że udało im się ją odnaleźć, strudzonych zapewne wysiłkiem, jaki ich kosztowało nadanie jej uchwytniej postaci, czekając niecierpliwie aż uchwycą ją ci, których interesów bronią - nie uważa za potrzebne stosować szczególną przebiegłość przy rozpowszechnianiu prawd. W ten sposób marnują często całą skuteczność swaj pracy. We wszystkich czasach; kiedy prawda była uciśkana i ukrywana, stosowano przebiegłość w jej szerzeniu. Konfucjusz sfalszował stary patriotyczny kalendarz historyczny. Zmienił jedynie pewne wyrazy. Gdy była mowa o tym, że "władca Kun kazał usmiercić filozofa Wan, bo ten powiedział to i to" wstawił Konfucjusz zamiast słowa "usmiercić" - "zamordować". Gdy była mowa, że tyran Tekiowski zginął w wyniku zamachu, napisał: "został stracony". W ten sposób torował Konfucjusz drogę nowej interpretacji dziejów.

Kto w naszych czasach powiada zamiast lud - ludność, zamiast ziemia - własność ziemaka, już nie popiera wielu kłamstw. Pozbawia on słowa ich zgłębionej mistyki. Słowo lud zakłada pewną jednolitość i podkreśla wspólne interesy, powinno być zatem używane tylko wtedy, gdy mowa jest o wielu warstwach społeczeństwa, bo jedynie wówczas wyobrazić sobie można wspólnotę interesów jednej warstwy - ludu. Ludność każdej polaci ziemi posiada rozmaite, a również przeciwstawne sobie interesy i jest to jedna z owych prawd, które są gnębione. Tak samo popiera kłamstwa panujących również ten, kto mówi ziemia i przedstawia nosom i oczom rolę, mówiąc o zapachu ziemi i jej barwie, bo nie o urodzajność gleby chodzi, nie o miłość człowieka do roli, ani o pilność uprawy, lecz przede wszystkim o cenę zboża, a zapach gleby jest nieznanym na giełdach. Węszą tam za czymś innym. Natomiast własność ziemska jest właściwym słowem: tym słowem trudniej kopoc oszukać. Zamiast słowa dyscyplina powinno się, gdzie panuje ucisk, wybrać słowo posłuszeństwo, bowiem dyscyplina możliwa jest również bez władców. A lepsze od słowa honor są słowa: godność ludzka. Wówczas nie traci się tak łatwo jednostki z pola widzenia. Wiadomo przecież, jak to wszelaka hołota pcha się, by bronić honoru narodu! I jak szczerze rozdziałają syci honory wśród tych,

którzy ich karmią sami głodując. Przebiegłość Konfucjusza warta jest jeezce dziś stosowania. Konfucjusz zastąpił nieuzasadnione oceny narodowej przeszłości - uzasadnionymi. Anglik Thomas Morus opisywał w swej "Utopii" kraj, w którym panowały sprawiedliwe stosunki. Był to kraj bardzo różny od tego, w którym żył, lecz równocześnie bardzo doń podobny, aż do stosunków w nich panujących włącznie!

Lenin, zagrożony przez policję carską, chciał przedstawić ucisk i eksploatację Sachalina przez rosyjską burżuazję. Zastąpił Róję Japonią a Sachalin Koreą. Metody japońskiej burżuazji przypominały czytelnikom o rosyjskich na Sachalinie, ale praca nie została skonfiskowana, bowiem Japonia była we wrogich stosunkach z Rosją. Niejedno z tego, co może być powiedziane w Niemczech o Niemczech, może być powiedziane o Austrii. Istnieje wiele rodzajów przebiegłości, przy pomocy której można uśpić podejrzliwość państwa.

Voltaire zwalczał kościelną wiarę w cuda, napisawszy wykwintry poemat o Dziewicy Orleańskiej. Opisał cuda, które niewątpliwie musiały się dokonać, aby Joanna pośród wojska, na dworze i pomiędzy mnichami pozostała dziewicą. Poprzez elegancję stylu i przedstawienia erotycznych przygód, bliskich rozpustnemu życiu panujących, skłonił ich do zapomnienia o religii, stwarzającej im warunki dla rozwiązania życia. Ba, doprowadził do tego, że jego dzieła w sposób nieoficjalny dotarły do tych, dla których były przeznaczone. Możni jego czytelnicy popierali lub tolerowali rozpowszechnianie tych prac. A wielki Lukrecjusz wspomina wyraźnie, że obiecuje sobie wiele po piękności swego wiersza przy szerzeniu ateizmu epikurejskiego.

Istotnie, wysoki poziom literacki osłaniać może ostrość wypowiedzi. Budzi też wprawdzie często podejrzenia, może też zdarzyć się wypadek, że poziom ten zostaje z premedytacją obniżony. Ma to miejsce np. gdy w pogardzanej formie powieści kryminalnej przemycone zostają w miejscach niepozornych obrazy złych stosunków. Takie obrazy usprawiedliwić mogą powieść kryminalną. Wielki Szekspir, kierując się bardziej błahymi względami, obniżył poziom artystyczny, kiedy przemówienie matki Koriolanu, idącej na spotkanie ciągnącego przeciw miastu rodzinnemu syna - rozmyślnie pozbawia siły, chcąc, aby Koriolan nie powstrzymał od wykonania planu żadne prawdziwe motywy lub głębokie wzruszenie, lecz tylko gnuśność. Również u Szekspira znajdujemy przykład przebiegłej przemyconej prawdy w mowie Antoniusza nad ciałem Cezara. Wspomina on ustawicznie, że zabójca Cezara, Brutus, jest człowiekiem godnym szacunku, ale przedstawia również działalność zabitego i opis tych czynów wywiera większe wrażenie niż czyn sprawy. Mówca daje się tak oto pokonać przez fakty: czyni je bardziej przekonywającymi niż "on sam". Poeta episki, który żył przed czterema tysiącami lat, używa podobnej metody. Był to czas wielkiej walki klas. Panująca dotąd klasa z trudem broni się przed największym przeciwnikiem - ludnością poddańczą. W poemacie występuje na dworze monarchy mędrzec i zachęca do walki przeciwko wewnętrznemu wrogowi. Rysuje długo i wnikliwie nieporządku wywołane rewoltą dolnych warstw. Obraz ten wygląda następująco:

"Jest przecież tak: możni pełni są lamentu, a mali pełni radości. Każde miasto powiada: wypędźmy silnych spomiędzy nas.

Jest przecież tak: kancelarie zostały otwarte a spisy porwane. Niewolnicy stali się panami.

Jest przecież tak: syna znakomitego rodu niesposób jest rozpoznać: dziecię pani staje się synem niewolnicy.

Jest przecież tak: mieszczan posadzono za młyńskim kamieniem. Którzy dnia nie widzieli, wyszli na światło.

Jest przecież tak: skrzynie ofiarne z drzewa hebanu zostały rozbite: cudowne drzewo sandańce zrąbane na kóża.

Patrzcie, stolica upadła w ciągu godziny.

Patrzcie, ubodzy tego kraju stali się bogaczami. Patrzcie, kto nie miał chleba na atodoże. To czym spichlerz jego jest napełniony, jest dobrem innego.

Patrzcie, wychodzi człowiekowi na dobre, jeśli nie nadał strawy.

Patrzcie, kto nie miał ziarna, posiada stodoły. Kto zbierał jałmużnę, kaže dziś sam ją rozdzielać.

Patrzcie, kto nie miał wołu, ma stada: kogo nie stać było na bydłę robocze, posiada teraz stada bydła.

Patrzcie, kto nie mógł sobie zbudować izby, posiada cztery mury.

Patrzcie, radcy szukają noclegu w spichrzu: kto na kamieniach ledwie

...mógł spocząć, ma dziś własne łożo.

Patrzcie, kto nie ściosał łoża nawet, posiada statki; spogląda na nie ich posiadacz, a nie są już jego.

Patrzcie, ci którzy mieli suknie, są w łachmanach, kto nie tkął dla siebie, posiada cienkie płótna.

Bogacz zasypia spragniony, kto błagał go o przychyłość ma mocne piwo.

Patrzcie, kto nie znał gry na harfie, ma dziś harfę: ten, o którym nie śpiewano, chwali sobie muzykę.

Patrzcie, kto spał bezżennie z ubóstwa, znajduje dziś wytwornisze, który twarz swą w wodzie przegładał, posiada dziś zwierciadła.

Patrzcie, możni tego kraju błakają się bezczynnie. Możliwym nie donosi nikt więcej, kto był posłańcem, posyła dziś innego.

Patrzcie, oto pięciu posłańców swego pana. Powiadają: pójdz sam w drogę, myśmy ją już przebyli."

Jasne jest, że takie odmalowanie nieładu musi się wydać uściśnionym stanem nadszczaj pożądany. A jednak poetę niełatwo zrozumieć.

Potępia wyraźnie tę sytuację, choć czyni to niedobrze.

Jonathan Swift zaproponował w pewnej broszurze, aby dla zapewnienia dobrobytu kraju - dzieci biedaków peklować i sprzedawać jako mięso. Przytaczał dokładne obliczenia, z których wynika, że wiele można zyskać, jeśli się przed niczym nie cofa.

Swift udawał głupca. Bronił określonego, zniechęconego przez siebie sposobu myślenia z zapałem i gruntownością w kwestii takiej, gdzie podłość stawała się dla każdego bez trudu oczywista. Każdy mógł być mądrzejszy od Swifta, lub przynajmniej bardziej ludzki, szczególnie ten, kto dotąd nie badał pewnych zapratrywał pod kątem wniosków z nich wynikających.

"Propaganda na rzecz myślenia, w jakiegokolwiek dziedzinie występuje, jest dla sprawy uciskanych nader pożyteczna". Propaganda taka jest bardzo potrzebna. Pod rządami służącymi eksploatacji myślenie uchodzi za podłość.

Za podłość uchodzi to, co jest pożyteczne dla poniżanych. Podła jest ustawiczna troska o sytość, gardzenie honorami, obietnicami obrońcom kraju, w którym głodują; zwątpienie w wodza, jeśli wiedzie do nieszczęścia; niechęć do pracy, która człowieka nie karmi; oburzenie się przeciwko przymusowi hezjensownego postępowania; obojętność wobec rodziny, kiedy troska o nią nic już nie pomoże. Głodujący są lżeni jako żarłoki, ci, którzy nie mają czego bronić - jako tchórze, ci, którzy wątpią w swych ciemniźcicieli - jako wątpiący we własne siły; ci, którzy żądają płacy za swą pracę - jako lenie itd.

Pod takimi rządami myślenie uchodzi powszechnie za podłość i zostaje okryte niesławą. Nigdzie nie uczy się już myślenia, a tam gdzie się pojawia - jest prześladowane. Jednakże istnieją nadal dziedziny, gdzie można wskazać na sukcesy myślenia; są to te dziedziny, w których myślenie jest dyktatorom potrzebne. Tak można np. wskazać na sukcesy myślenia w dziedzinie nauki wojennej i techniki. Również powiększenie zasobów wężny przez organizację i wyanalizowanie materiałów zastępczych wymaga myślenia. Pogarszanie jakości środków spożywczych, wychowywanie młodzieży dla wojny - wszystko to wymaga myślenia; można więc to opisać. Głoszenia chwały wojny, nieświadomego celu owego myślenia, można chytrze uniknąć. Rozmyślanie nad kwestią, jak najlepiej toczyć wojnę, może zaprowadzić do problemu, czy wojna jest sensowna i użyte do rozstrząsania tego, jak najlepiej tej bezsensownej wojny uniknąć.

Taki problem oczywiście nie łatwo może zostać postawiony otwarcie. Czy zatem zalecany sposób myślenia może być stosowany praktycznie, tzn. obrócony na użytek? Tak, może.

Aby w takich czasach jak nasze niemożliwy był ucisk w imię wyzyku jednej, większej części ludności, przez drugą /mniejszą/, konieczna jest określona postawa ludności, która obejmować musi wszystkie dziedziny. Odkrycie z dziedziny zoologii w rodzaju odkrycia Darwina stało się nagle niebezpieczne dla spraw wyzyku. Jednakże, przez pewien czas niepokoił się nim tylko kościół, podczas gdy policja niczego jeszcze nie zauważyła. Badania fizyków doprowadziły w ostatnich latach do wniosków z dziedziny logiki, które również mogą stać się niebezpieczne dla szeregu pojęć edukacyjnych sprawie wyzyku. Filozof państwa pruskiego Hegel, zajęty żmudnymi badaniami z dziedziny logiki, dostarczył Marksowi i Leninowi, klasykom rewolucji proletariackiej, bezcennej metody. Rozwój nauk

następuje we wzajemnym związku, ale nie równomiernie i państwo nie jest w stanie ogarnąć całości. Pionierzy prawdy mogą sobie wybierać stanowiska bojowe, które są stosunkowo najłatwiej obserwowane. Rzecz w tym, aby uczyć właściwego myślenia, myślenia, które rozpatruje rzeczy i zjawiska od strony ich przemijania i przemian. Panujących cechuje ostra niechęć do znacznych zmian. Chcieliby, aby wszystko trwało tak jak jest, możliwie tysiąc lat. Najlepiej, aby księżyc stanął w miejscu i słońce nie poruszało się więcej! Wtedy nikt nie byłby głodny i nie żądałby pod wieczór jedzenia. Jeśli strzelają, przeciwnik nie powinien już strzelać, ich strzał ma być zawsze ostatni.

Sposób myślenia szczególnie podnoszący przemian. rzecz jest dobrym środkiem dźwignia na duchu uciskanych. Również i to, że w każdej rzeczy i w każdej sytuacji pojawiają się i rozwijają przeciwieństwa, jest czymś, co musi się przeciwstawić zwycięzcom. Metoda interpretacji /jak np. dialektyka, nauka o płynności rzeczy/ może być zastosowana do przedmiotów, które przez pewien czas uchodzą uwagi panujących. Można ją zastosować w biologii lub chemii. Ale może być również stosowana przy przedstawianiu losów rodziny, nie budząc większych podejrzeń. Zależność rzeczy od wielu innych, stale się zmieniających, jest myślą niebezpieczną dla dyktatury i może się ona pojawiać w wielu wypadkach bez dawania policji okazji do wkroczenia. Pełny obraz wszystkich warunków i procesów, jakie rozgrywają się wokół człowieka, otwierającego kiosk tytoniowy, może być silnym ciosem dla dyktatury. Każdy kto trochę pomyśli, zrozumie dlaczego. Rządy, które wtrącają masę ludzką w nędzę, muszą unikać, aby w nędzę myślano o rządzie. Rozprawia się wiele o losie. To on, nie oni jest sprawcą niedostatku. Kto doszukuje się przyczyn niedostatku, zostaje ujęty, zanim wskaże na rząd. Można jednak, ogólnie rzecz biorąc, sprzeciwić się gadaniu o losie: można wykazać, że człowiekowi los gotują ludzie.

Można osiągnąć to w wieloraki sposób. Może to być np. opowieść o chłopskiej zagrodzie, dajmy na to islandzkiej cniłpskiej zagrodzie. Cała wieś twierdzi, że na domu tym spoczywa przekleństwo. Chłopka rzuciła się do studni, chłop się powiesił. Pewnego dnia odbywa się wesele, chłopski syn żeni się z dziewczyną, która wnosi trochę gruntu do małżeństwa. Przekleństwo opuszcza zagrodę. Wieś nie jest zgodna co do oceny tej szczęśliwej przemiany. Jedni przypisują to sionecznej naturze młodego chłopca, inni ziemi, którą wniosła młoda chłopka w wianie i która przywróciła zagrodzie życie. Nawet w wierszu opiewającym kraj-obraz można coś osiągnąć, wtedy mianowicie, gdy rzeczy stworzone przez człowieka wcielone zostaną w naturę.

Aby szerzyć prawdę potrzebna jest przebiegłość.

STRESZCZENIE

Wielką prawdą naszego czasu /poznanie której nie może zadowolić, bez zrozumienia której jednak niesposób odnaleźć żadnej ważnej prawdy/ jest to, że nasza część świata grzęźnie w barbarzyństwie, bowiem własność prywatna środków produkcji utrzymywana jest przemocą. Na cóż zda się napisać coś odważnego, z czego wynika, że sytuacja, w którą grzęźniemy, jest barbarzyństwem /co jest prawdą/, jeśli nie jest jasne, dlaczego wpadliśmy w ten stan? Musimy mówić, że torturuje się po to, aby zachować stosunki własności. Oczywiście, kiedy to powiemy, utracimy wielu przyjaciół, którzy są przeciwni torturom, ponieważ sądzą, że stosunki własności można utrzymać również bez tortur /co jest nieprawdą/.

Musimy mówić prawdę o barbarzyńskich stosunkach w naszym kraju, o tym co można uczynić, co prowadzi do unicestwienia barbarzyństwa: mianowicie - w jaki sposób mogłyby zostać zmienione stosunki własności.

Dalej, musimy mówić prawdę tym, którzy wskutek istniejących stosunków własności cierpią najbardziej i są zainteresowani w ich zmianie - robotnikom oraz tym, którzy możemy przyciągnąć jako sojuszników, ponieważ właściwie nie posiadają własności środków produkcji, choćby nawet uczestniczyli w podziale zysków.

I po piąte - musimy działać przebiegle.

A wszystkie pięć trudności musimy pokonywać jednocześnie, niesposób bowiem badać prawdy o barbarzyńskich stosunkach, nie myśląc o tych, którzy z ich przyczyny cierpią, a gdy przezwyciężamy każdy przypływ tchórzostwa i szukamy prawdziwych związków, myśląc o tych, co gotowi są użyć swych umiejętności w praktyce, musimy pamiętać jeszcze o tym, aby tę prawdę podać im tak, iżby stała się w ich rękach orężem, a zarazem tak przebiegle, aby tego nie odkrył wróg i nie przeszkodził.

Tego należy żądać, gdy się wymaga, by pisarz pisał prawdę.

Bertold Brecht /przełożył Jerzy Segol/

Aleksander Wat

R A P S O D I E P O L I T Y C Z N E

Uwagi starego czytelnika gazet o geometrii polityki

Słowo wstępne

AUTOR NIE JEST POLITYKIEM, to znaczy tym, który historię czyni. Ani historykiem, tzn. tym, który opisuje czyny historyczne. Jest poetą, a mówiąc to nie ma na myśli obojętnego zapewne faktu pisania wierszy, ale że w pewien specyficzny sposób przeżywa wszelkie przeżycia, więc także dzianie się Historii, i że w pewien specyficzny sposób wiąże zjawiska, fakty i rzeczy oraz wyraża je specyficznie.

co więcej, jako poeta ma poczucie, które nie opuszcza go nigdy, że między rzeczą a jej wyrazem słownym, a także między słowem a słowem zaciągnięte są i wciąż zaciągają się "błony" /czy "struktury", żeby być bliższym dzisiejszemu słownictwu/ pojmowania i niepojmowania.

A mówiąc "pojmowanie", myśli nie tylko o świadomości przytomnej, ale także o pół, o ćwierć i o zgoła podświadomości, bo i one bądź co bądź ujawniają się w takich czy innych przebraniach.

A mówiąc "niepojmowanie", nie ma na myśli tajemnic transcendentu /np. Sw. Trójcy/ ani obszaru nieznanego, z którego wynurzamy się stopniowo jak lodowiec, coraz wyżej i coraz rozleglej, a tak boleśnie mało wobec oceanu i tak trywialnie nisko wobec przestworzy nad nim. Po prostu ma na myśli niepojmowanie, jakie dzieje struktury czy stany umysłowe odmiennych postaw cywilizacji: np. zachodniego postępowca od bolszewika czy Europejczyka od Melanezyjczyka.

Ale chociaż autor nie uprawia polityki, ona była jego losem. "Polityka jest Przeznaczeniem" - powiedział z góra 150 lat temu, jeszcze u progu nowej ery, Napoleon, zapewne patrząc z balkonu na małą rokokową wartownię, która dotąd w Erfurcie przypomina poddanym Ulbrichta czasy, kiedy świat ich władców był sceną zabawek, złośliwych bądź przyjaznych. Powiedział to strofując Goethemu, kiedy ten prawil mu coś tam o "tragediach Przeznaczenia" Woltera.

Polityka jest naszym Przeznaczeniem, cyklonem, w którego sercu tkwimy ciągle, choćbyśmy się chronili w łupinkach poezji. W niniejszym wypadku była ona "la Dame sans Merci", usidlającą, ujarzmiającą, nienawistną i znienawidzoną. Cyfrowo wyraża się to tak ładnie: jedenaście więzień i siedemnaście pobytów w szpitalach. Niedługo ten plon opłacał życie łazika i podróże na Cyterę, ba, ale gdzie są niedysięższe śniegi?

Toteż nie trzeba się dziwić, jeśli stary poeta ten czas, który pozostał mu - kto wie? - do napisania swego, lewo przeczuwalnego arcydzieła, poświęca rapsodiom na tematy polityczne. Rapsodiom, to znaczy temu, co potrafi, wstrętny mu bowiem jest język polityków, a obca ścisła, spoista, ważka mowa uczonych. Za to przez bardziej rodzime obcowanie ze słowem by może wrażliwszy jest na bezpośrednie pojmowanie tego, od czego słowo próbuje nas odgradzać.

1. W okresie dziejowym, kiedy sternicy mocarstw a/ uwikłani są w sytuację sprzecznościowe; b/ kiedy stają oni wobec antynomii, którym sami dali początek; c/ kiedy działania ich, najbardziej trafne, wzbudzają lawinę ujemnych następstw, jak to się dzieje obecnie w sposób oczywisty na naszych oczach, na naszych

prostych czy prostackich^x oczach, i to zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie^{xx} - w takim okresie jest rzeczą słuszną i użyteczną. by głos zabrakł uważny czytelnik gazet, tzw. polityk kawiarniany.

2. Jego widzenie rzeczy politycznej jest, u samej podstawy, podwójnie ograniczone: a/ formalnie; b/ merytorycznie.

Formalnie: nie ma on możliwości dostąpienia owych światła, odkryć i pouczeń, jakie sa darem czynnej uprawy, praktyki. Tu trzeba zasugerować, co mam na myśli, mówiąc o kawiarnianym polityku. Upodobniłbym go do voyeur'a: przeżywa on swój dramat biernie i pośrednio, przez osoby podstawione i w sytuacjach wyreżyserowanych. Ale właśnie dlatego, że nie uczestniczy w akcie bezpośrednio, postrzega go w pełni. Co więcej, właśnie przez pośredniość i ponadosobistość przeżywanie, przez sam akt podstawienia oraz swojego biernego uczestnictwa w reżyserii, może on - voyeur - algebraizować niejako swój prywatny dramat polityczny, wywyższając go na poziom Dramatu Seksualnego w ogóle.

Zestawienie moje - jak wszelkie - ma sens wyłącznie w granicach "od-do". Ignoruję tu zarówno popolite napięcie fizjologiczne /stres/ voyeur'a jak i możliwe do osiągnięcia oczyszczenie /katharsis/ moralne. Bowiem nie będąc stroną, mówi sobie voyeur: "Nie grzesząc sam, za to tym ryzykowniej zagłębiając się w odczuwaniu grzechu nieczystości poprzez moje odpłatne i biernie uczestnictwo, a także przez wciąganie innych w moją nieczystość, przez przerzut na innych, pozbywam się jej tym skuteczniej i wyższego dostępuję oczyszczenia". Pozbywając się nieczystości czy choroby przez zakażenie innych - stary to impuls człowieka. Odpłatność zaś jest dwójako ambiwalentna: "pieniądz cuchnie", ale zarazem jest jakimś rzetelnym sposobem skwitowania winy; odpłatność zachowała pradawny swój charakter sakralny, ale zarazem - w poczuciu współczesnego człowieka - przeproczona jest na wskroś hipokryzją, to znaczy: kwitując winę określoną, jednostkową, materialną, spycha się ją na spód najogólniejszego poczucia winy ogólnej, nieczystości egzystencjalnej - duchowo-somatycznej.

3. Ambiwalencje te grają szczególnie jaskrawo w świadomości judeo-chrześcijańskiej /filantropia, dobre uczynki/. W początkach Reformacji we Francji głośno było o książeczce wydanej w 1514 roku, rzekomo przez kancelarię Leona X, /pt./ Regulae, Constitutiones, Reservationes - dokładny cennik rozgrzeszania z różnych występków, np.: kazirodztwo z matką - 1 dukat i 5 karlingów. Agrippa d Aubigné^{1/} oburza się na tanioczę - zachęcała ona klientelę. Inny hugenota ze zgrozą wynotował passus: "Et nota diligenter quod huius modi gratiae et dispensationes non conceduntur pauperibus, qui non sunt, ideo non possunt consolari". Pauper nie może dostąpić pocieszenia - w tym więzionym zdaniu spłótni się sprzeczny charakter odpłaty: sakralny i laicko-kapitalistyczny, jak przystało na okres przełomu średniowiecza i nowożytności. Doktryna Kościoła dawno już odsakralizowała pieniądze, dziś Kościół usiłuje wracać do dzieła św. Hieronima, ale wierny - co tam wiele gadać - który rzuca na tacę grosik, odczuwa niejasno, jak szala jego grzechów poszła w górę, troszeczkę, czut', czut'.

Można by tu wskazać na bardziej archaiczne źródła sakralności pieniądza /odpłata jako ofiara zastępcza/, gdyby cała ta dygresja nie odbiegała aż tak daleko od tematu. Ale taka jest podstawowa skaza mojego pisania i nie obiecuję poprawy na przyszłość. Kogo jest biłkiania nużą i nudzą, niech czyta - jeśli łaska - wyłącznie tekst garmondowy.

4. W wypadku voyeur'a zachodzi przy tym najdalej chyba posunięta feifikacja: partnerzy są dla niego bezdusznym instrumentem rozkoszy, absolutnie niczym więcej, kupił ten instrument i przyswoił go sobie wewnętrznie jak się przyswaja zbiór monet, obraz mistrza, zazdrośnie strzeżony dla swojej przyjemności przed obcymi. I nawzajem - on sam jest dla partnerów wyłącznie instrumentem, okiem, którym widzą siebie w miłosnej grze, albo po prostu nabywcą, któremu sprzedali swoją rozkosz i bezwstydy.

x W gruncie rzeczy oczy zawsze są prostackie, "ces yeux tard venus", jak słusznie mówi monsieur Edmond Teste.

xx Na Zachodzie problem kubański, pęknięcie bloku atlantyckiego; na Wschodzie - bezładne funkcjonowanie /rozregulowanie/ mechanizmu skurczów i rozkurczów: destalinizacji-restalinizacji; decentralizacji-recentralizacji; ugodowości-agresywności; antagonizmu Rosji i Chin.

Gwoli ścisłości trzeba stwierdzić, że moja analogia polityka kawiarnianego z voyeur'em idzie dalej niż mogłem zrazu przypuszczać: /polityk kawiarniany/ również przeżywa stres fizjologiczny w związku z polityką, drażni go nieustająco, że nie ma wpływu na działania polityczne, chociaż czuje się do nich powołany. I on również ma poczucie alienacji, reifikacji i frustracji, żeby wyrazić się mównie a bombastycznie. I on również wreszcie w jałowej przyjemności politykowania osiąga katharsis, najpierw intelektualne: "ja hym to lepiej rozegrał", a często i moralne: "ślusznosc, porządek moralny wymaga, by rozegrać nie tek, a tak". Rzecz jasna, mowa tu zarówno o Voyeur'ze Doskonałym, jak i o Polityku Kawiarnianym Doskonałym.

b/ Gorzej, że polityk kawiarniany jest ograniczony merytorycznie. Wie on tylko to, co mu podano do wiedzy, dostaje informacje spreparowane. Spreparowane w najogólniejszym znaczeniu, w tym sensie ogólnym, w jakim każda informacja ma postać syntaktycznego co najmniej preparatu. Taką postać musi przybrać wszelkie komunikowanie, ale nadto informacje te - luźniej czy ściślej, świadomie czy bezświadomie - przepuszczone są przez jakąś całość bądź spójną i logicznie uporządkowaną, bądź intuicyjną i sumaryczną: uwarunkowane przez ogólny zespół poglądów i przekonaf organizowanych przez "sprzeczne grupy interesów" powołane do kształtowania opinii ludzi.

Co więcej, nawet nie to jest decydujące, co czytelnik gazet dostaje do wiadomości, ale wciąż ogromniejsza masa wiadomości i wiedzy, która jest przed nim ukrywana. W świecie dzisiejszym przy, wbrew pozorom, wciąż postępującej jego polaryzacji w dwóch bezwzględnie wrogich obozach, ochronna suma sekretu staje się coraz bardziej istotna i nieunikniona. Jednocześnie w warunkach superwyanalizowości technicznej, w miarę jak coraz trudniej ukrywać fakty, zatem w miarę jak praktyczne znaczenie pospolitego wywiadu i kamuflażu maleje, Sekret tym zachłanniej rozciąga swoje panowanie nad "sercem i nerkami". **M a t e c z n i k i e m S e k r e t u** staje się obraz całej sytuacji i totalnego stosunku sił. Odbija się on w mózgach, właśnie w mózgach, najwyższych sterników i steruje ich intencjami. W następstwie, ilość szczebli Sekretu oraz szczebli cząstkowych wtajemniczeń, a także rozmiary psychicznego, uwewnętrznzonego zasięgu każdego z nich są coraz bardziej urozmaicone. W końcu ci, którzy zagospodarowali się na szczeblach nie szczytowych, na poziomie - dajmy na to - parlamentarzystów, nawet zwyczajnych ministrów oraz "dobrze poinformowanych" dziennikarzy, są w sytuacji gorzej od polityka kawiarnianego. Bo poczucie dopuszczenia do 10 czy 100 sekretów skłania do wyolbrzymiania ich wagi, do lekceważenia tej masy rzeczy przed nimi utajonych. W dodatku - rzecz to ludzka - rzezbra wtajemniczonych z krytycyzmu w stosunku do tego, co stało się im wiadome, ze **s c e p t y - z m u g e n e r a l n e g o**, który jest naturalną postawą każdego polityka kawiarnianego, prawdziwie godnego tej nazwy.

Można tu powołać się na szachistów. Im wyższa jest ich klasa i równowartość, tym mniejsze znaczenie mają obiektywne walory figur i układów, a tym większe znajomość stylu gry przeciwnika, odgadywanie jego sposobów kamuflażu i umiejętności kamuflowania własnych intencji - słowem dezorientacja. Przy względnej równowadze sił decydujący staje się czynnik psychologiczny.

5. Należy sobie powiedzieć od razu: komuniści mają ogromną przewagę w manipulowaniu czynnikami psychologicznym nad światem nisujarzmionym. Paradoks to pozorny, jak wszystkie paradoksy komunizmu.

Od kilku wieków empiryczny, pragmatyczny i racjonalistyczny Zachód nachyla się z pilną uwagą nad psychologią indywidualną i masową, rozwija całkowicie swobodnie analizy irracjonalizmu psychiki. Ale w zachodniej cywilizacji, od chrześcijaństwa, umysłowość europejską determinuje **dwoistość widzenia świata** /nie utożsamiać z dwudzielnością wartościowania/, która jest trwale wyznawana, bo żywiołowo cywilizacji zachodniej odpowiada: dwudzielność tego, co psychiczne i tego, co fizyczne. W teorii ta dwoistość jest już dawno pogrzebana, ale wyśl i życie Zachodu to dwie różne sprawy - Zachód postępuje jak gdyby teoria paralelizmu duszy i ciała wciąż jeszcze była oczywistością. Marks i Engels zaplatali się ostatecznie w tę dwoistość z jakąś ciężkością i prostactwem amatorów. Tak więc w świecie ekonomiki decydują liczby i miary. Ekonometrie co prawda uwzględnia czynnik psychiczny, ale jako jeden z parametrów, tak żeby maszyna elektronową mogła dokonać rozstrzygnięcia. Podobnie dzieje

się w sprawach wojny. Gdy zatem, w duchowej sublimacji, Zachód jest spirytualistyczny w tym znaczeniu, że w skali jego wartości duch jest ponad materiałą - w życiu praktycznym to co materialne poddaje wyłącznie materii i może nieprawdziwym, ale za to obliczalnym prawom, formułom i rachunkom. Cywilizacja Zachodu zawdzięcza przecież swoje bogactwo konsekwentnemu, choć ostrożnemu racjonalizmowi, ale ma naturalną i bardzo niebezpieczną skłonność do utożsamiania racjonalności i rozumności po prostu z logiką. To fałszywe utożsamienie jest jedną z przyczyn nieusuwalnej aporii Zachodu wobec zjawiska komunizmu. Zatrzymajmy się, dla ilustracji, na pewnym epizodzie: wytopieniu w latach trzydziestych sowieckiej elity wojskowej przez Stalina.

6. Czystka wśród dowódców wojskowych w warunkach ówczesnych była bezrozumna, co więcej - wyglądała na czysty obłąd, ale z punktu widzenia systemu stalinowskiego była konsekwentna i żelaznie logiczna. Właśnie w warunkach zapoczątkowania wojennego trzeba w zarodku ukreślić możliwości powstania ośrodka władzy postronnej, zdolnej do usamodzielnienia, wymykającej się kontroli. Stalin był świadom, że większa wojna oznacza koniec jego Systemu, okazało się, że z trudnością radzi sobie nawet z małą wojenką /sowiecko-fińska/, obnaża swoją słabość jaszczura, więc za wszelką cenę chciał uniknąć wojny.

Manewr był rozegrany z wirtuozerią. Przez dekapitację szersu rozbroił obawy Hitlera i zapobiegł wojnie prewencyjnej. Stalin miał w najlepszym razie do wygrania to, co wygrał: rozbiór Polski i państwa bałtyckie. W najgorszym razie podejmował ryzyko nowego traktatu brzeskiego - ryzyko tymczasowych ustępstw, które bolszewicy zawsze podejmowali z wielkopańskim gestem.

Tego Zachód zrozumieć nie potrafi. Maszyny elektroniczne obliczają siły, ale psychologicznego obrazu bolszewizmu obliczyć nie potrafią. Nie można wyliczyć, że komuniści mieli zawsze respekt dla faszystów, a pogardę i nienawiść dla socjaldemokratów i demoliberałów. Furia, z jaką komuniści tępilli "socjalfaszystów": PPS, "Bund" itd., nie wynikała tylko z instrukcji - to była przyrodzona cecha mentalności totalitarnej karmionej u źródła nienawiścią do szabeuszów, sceptyków. Do komunizmów i faszystów lgną dusze religijne i proste, którym cywilizacja zachodnia odebrała wiarę - tak religijność mści się za utratę wiary ateizmem fanatycznym i wojującym. Na ziemiach okupowanych przez Armię Czerwoną komuniści na ogół machali ręką na empeków i oenerowców, pozostawiając ich "żelaznej miotle" NKWD. Natomiast Ehrlich, z którym razem odbyłem wędrowkę z łubianki [do Saratowa] /pędzono nas ze stacji kilka kilometrów, zrobiło mu się słabo, obaj z Broniewskim musieliśmy go podtrzymywać pod rękę/, opowiadał nam, że we Lwowie, za każdym razem gdy wychodził z domu, łapał go jakiś młodzianek - komsomolec i ciągnął do sowieckiego komisaristu, mówiąc: "Oto Ehrlich - socjalfaszysta". Dwa razy komendant wojskowy machnął tylko ręką, ale za trzecim razem czekało już NKWD. Rzadki to wypadek, kiedy pogarda nie stępiła nienawiści, co świadczyłoby o głębiach duszy, w której oba te uczucia się zawiązały.

7. Cała terminologia zachodnia odnosząca się do komunizmu jest bałamutna. Nie tylko jest przez komunistów i mitlauffer'ów podszeptwana, ale też wyspekulowana przez antykomunistów i sowietologów.

Na przykład słowa: "odprężenie - naprężenie" poddają konotacje psychofizjologiczne, w umysłach zachodnich łączą się bezwiednie z powszechną dążnością do zlikwidowania zmęczenia wywołanego stanem długotrwałego napięcia i skłaniają do wiary, że oni, komuniści, też takim stanem są zmęczeni, a więc dążą do odręzenia stałego. Tymczasem jest to stara polityka Lenina /dwa kroki w tył, krok naprzód/, różnie wyrażająca się w różnym kontekście. Jest to polityka rozwartej pięści; kiedy można coś otrzymać, i zamkniętej - kiedy już ma się to, co chce.

Pojęcie takie jak "imperializm komunistyczny", samo przez się niefałszywe, jest o tyle niesłuszne, że moc przymiotnika "komunistyczny" góruje nad rzeczownikiem i skłania do utożsamienia nowej w dziejach jakości ze zjawiskami starymi jak świat i prowadzi do fałszywych analogii i szkodliwych wniosków.

"Kolektywizm", społeczny model stalinizmu, był przeciwstawny kolektywizmowi w zachodnim sensie, stąd fałszywe wizje mrowiska, stąd wyobrażenia buntu mas. Nastąpiło tu pomieszczenie kolektywu jako przedmiotu rządzenia z kolektywem jako tego rządzenia podmiotem. Kiedy tyran zapępuje nad kolektywem, ów

kolektyw nie ma nic wspólnego z podmiotowością, tyran jest po to, aby kolektyw rzeźbić, divide et impera, zdesolidaryzować społeczeństwo od wewnętrznie. Wszelkie pojęcie kolektywu zakłada jakieś minimum solidarności wewnątrzgrupowej. Model socjologiczny Stalina opierał się na jak najdalej idącej atomizacji: nie tylko przełożony szpiegował podwładnego, ale i vice versa, mąż żonę, a żona męża.

"Klasa biurokrata" - jedno z zatrutych określeń eks-komunistów. Stalinizm funkcjonował, a więc biurokratyzował istotnie wszystko: gospodarkę i ludzi, słowa i emocje, idee i obrazy. Ale biurokracja jako proces nie oznacza biurokracji jako klasy. Wręcz przeciwnie, biurokratyzując wszytko Stalin w samym zarodku zabijał możliwość powstania klasy biurokratów poprzez demoniczne przyspieszenie krażenia elit: nikt nigdy nie był pewny, czy nazajutrz rano znajdzie się na swoim stołku, czy w katowni NKWD. Dopiero wojna utrwaliła stabilność biurokracji jako klasy, przerażonych aparatczyków /Chruszczow tańczący triepaka przed Stalinem/ przeistoczyła w szamerowanych marszałków.

Taki był istotny sens cystek. W ogóle cokolwiek się myśli o wypaczeniu przez Stalina marksizmu /choć tak naprawdę realizował on to, co w marksizmie było do zrealizowania/, był w praktyce dialektykiem konsekwentnym absolutnie: nie stwarzał faktów, ale procesy - a faktami umiał dysponować procesualnie.

Nawet termin "totalizm", niewątpliwie cenny, ma wielką wadę kojarzenia zjawisk, ruchów społeczno-politycznych, które mimo powinowactw różniły się podstawowo. Widać to wyraźnie na przykładzie analizy łagrów niemieckich i sowieckich. Nawet stalinowcy i komuniści francuscy przyznają, że łagry hitlerowskie, pierwotnie przeznaczone dla komunistów i Żydów niemieckich, których traktowano jako wrogów, w późniejszym swoim rozmachu służyły wyniszczaniu podbitych narodów. Natomiast starsze łagry sowieckie były zakładami wychowawczymi, instytucjami paidei stalinowskiej: wychowywały nie samych łagierników, ale całą ludzkość, która jest jeszcze nie siedziała. W podstawowej motywacji nie było sadyzmu - obsługę rekrutowano spośród Komsomołu i raczej społecznie sentymentalnych bossów partyjnych. Nie było szowinizmu grupowego, etnocentryzmu - słowem łagierniczy system był zjawiskiem nowym w historii, gdy niemiecki powtarzał - na skalę dotychczas niespotykaną - stare wzory wybijania w pień ludności podbitej, uśmiercania "obcych" /angielskie obozy koncentracyjne w czasie I wojny światowej, japońskie "piece" dla internowanych itd./.

Hitlerizm był nawrotem czasów barbarzyńskich w wiek XX. Stalinizm powoodyjący co prawda w skutkach i implikacjach retrogradację w obyczajach, myśleniu i technologii społecznej do starych wzorów i sytuacji, był stworem najbardziej awangardowym, nowoczesnym.

8. O wiele jednak szkodliwsze są aforyzmy o komunizmie, pozornie rozumne, które służą potem jako przesłanki do politycznej decyzji. Na przykład: "lepiej /czy bezpieczniej/ mieć do czynienia z sytymi niż głodnymi komunistami". Aforyzm jasny, przekonujący - ładnie racjonalizuje politykę pomagania gulaszowemu komunistowi Chruszczowowi. Stare złudzenie usypiaczy, że komunizm syty - zmieszczanie.

Ale kto widział - w państwach komunistycznych - głodnego komunistę /aparatchyka, administratora wszystkich szczebli, stachanowca itd./? I znów jest tu ziarno prawdy. Głodne masy i całe głodujące narody idą na lep propagandy komunistycznej, ale gdy władza komunistów nad nimi umocni się, nie mają już nic do powiedzenia. Głód, niedostatek, czystość [są] tylko cyframi na manometrze, które wskazują, jak regulować siłę ucisku. Stalin nie rzadził po prostu głodem ale starym, dobrze w próbowanym sposobem despotów: dobierał spośród apatycznych mas tych, których ~~nie~~ nasycić.

W roku 1942 przez kilka miesięcy należałem do urzędników w Delegaturze polskiej w Alma-Atie, korzystających z praw konsularnych. W Uniwersumie był osobny sklep: dostawali tam masło, kiełbasy, mięso, sery, cukier, a nawet wino i kawior w takiej obfitości, że mogliśmy się dzielić i starczyć z naddatkiem dla nas i dla reszty nieuprzywilejowanych. Wchodziło się do sklepu od podwórza, ale na zewnątrz patrzyły na nas setki wygłodzonych oczu, czekających w kolejkach od północy do rana na furt przegniłych pomidorów. Co prawda w kiosku na rogu stopki wółki nigdy nie brakowało.

W rok później w III pracownicy promkombinatu dopiero co wypuszczeni z kolonii i łagrów leżeli na ulicy, nie mając siły dowiec się do stołówki, gdzie odżywiano nas wrzawkami z burakami cukrowymi, na którym można było policzyc okła tłuszczu ciału słonecznikowego. Obok, bez skrepowania, stół dyrekcji był obsługiwany

posiłkami z trzech mizernych, ale zawsze def. Tłumaczono, że ponieważ nie starczy dla wszystkich, to trzeba żeby przynajmniej syci byli zwierzchnicy odpowiedzialni za wykonanie planu.

Ale nie o to chodzi. - nie o głód, który można wytłumaczyć, ale o system, o ostentację. Apatię głodnych mas, ułatwiającą rządzenie terrorem kompensował system premii za zasługi: intensywną pracę, donosicielstwo, oddanie sprawie partii. Głód mas i sytość elity były środkiem dopingu. Ostentacja, wybrilantowani generałowie, brzuchaci i uperfumowani kacykowie administracji i literatury pokazywali się na wsi pośród głodujących Matron. W ten sposób z apatycznej masy wyławiano jednostki najbardziej bezwzględne, najenergiczniejsza w inicjatywie, najbardziej wynalazcze. Nie skrupowane żadnymi skrupułami, /.../ do nikogo i niczego nie przywiązane poza jedyną chęcią, żeby wydobyć się, wyciągnąć z dna nędzy i uprzedmiotowienia. Chruszczow jest typem idealnym, doskonałym przykładem działania tej selekcji naturalnej. Jest typem sowieckiego człowieka, prawdziwym - nie papierowym - pozytywnym bohaterem socrealizmu i stąd wzięły się jego sukcesy osiągnięte nad sprytniejszymi, popularniejszymi, a nawet potężniejszymi rywalami.

Ponadto wszelkie chwilowe polepszenie doli wzbudza i nadzieje, i wdzięczność, i posłuszeństwo: jak dodatkowa miska zupy, która godzi - tamtego szczęśliwego dnia - zasypiającego Iwana Denisowicza z jego losem.

Głód czy niedostatek nie waży wiele w determinowaniu polityki wewnętrznej i międzynarodowej komunistycznego państwa. Elementem nieodzownym rządzenia jest natomiast zasada priorytetów. Dla osiągnięcia konkretnego celu poświęca się wszystkie inne. W ekonomii priorytet zbrojeniowy góruje nad pozostałymi. Program to jasny, dostępny dla każdego szefa półanalfabety - wszystkie interesy gospodarce podporządkowane są interesom politycznym.

Dłatego rachuby mężów stanu Zachodu na wymuszanie ustępstw politycznych głodem są fałszywe. Wszelkie spekulacje, że Chruszczow, aby uczynić zadość obietnicy dobrobytu ludności, będzie musiał zatrzymać zbrojenia, zostały przez [niego] zdementowane nie w słowach, lecz w czynach. W kilka miesięcy po XXIII Zjeździe, na którym proklamował bliską już poprawę zaopatrzenia i nieograniczonego dobrobytu w niedalekiej przyszłości, podwyższył demonstracyjnie ceny artykułów pierwszej potrzeby i zniósł różne ulgi podatkowe. Mógł sobie na to pozwolić, bo wiedział, że jego ludność, której Stalin na progu każdej pięcioletki obiecywał, że "dogonimy i prześcigniemy...", nie bierze już tych obietnic na serio, szczęśliwa, że ma w szafie rezerwową parę trzewików. Jego program sytego komunizmu był przeznaczony dla obcych.

Żadne względy ekonomiczne ani żaden głód ludności nie przymusi elity rządzącej komunistycznego państwa do kompromisów politycznych. Nie przecieki w blokadzie Kuby, ale to żelazne prawo komunizmu, które każe traktować głód jako konieczny środek rządzenia sprawia, że wygłodzeniem Kuby nie spowoduje się kapitulacji komunistycznego reżimu, a rosnące niezadowolenie mas zostanie zrekomensowane ich głodową apatią, wzmocnieniem terroru i selekcją bezwzględnych elit - czyli, w konsekwencji, nastąpi dodatkowe jego wzmocnienie.

9. W samym określeniu "geometria polityki" sprzeczność rzuca się w oczy. Chociaż polityka na ogół jest rachunkiem sił, przeciw siły te w decydujących momentach historii objawiają się jako ciemne, nieobliczalne i niewymierne, nieprzewidywalne obroty psychologii mas i narodów, zbiorowe demoniczne opętania - historia naszych czasów znosiła nam te dary na nieładnym, ale przeogromnym talerzu.

Co prawda, również matematyka od dawna nauczyła się manipulować wielkościami irracjonalnymi oraz niewymiernymi, a polityka bywa prowadzona metodami teorii gry, nawet w tym szczególnym wypadku, który tu nas najbardziej interesuje - gry szachowej. Celują w niej bolszewicy, nałogowi szachiści.

Zatem, chociaż z góry zapieram się wszelkiej pretensji do całej, pół- i świerc-naukowości, przeciw próba pojmwania polityki sowieckiej modo geometrico może okazać się grosso modo wcale owocna. Przy czym właśnie ze względu na użyteczność poniechać tu trzeba subtelnych metod dzisiejszej matematyki i rachunku logicznego wobec jego filozoficznie słusznej, ale tu niebezpiecznej skłonności do sprowadzania wszelkich zdań do tautologii. Raczej poprzestać mi trzeba na poczciwej, szkolnej, wypróbowanej geometrii z jej pewnikami i twierdzeniami, z jej dedukcjami i demonstracjami, które będą stosować do najgrubszych, choć wymagających najcieńszych rozróżnień, stosunków ludzkiego świata.

Moje uwagi są raczej luźnymi propozycjami i surowym materiałem, wymagającym logicznego uporządkowania; nie jestem ani politykiem, ani matematykiem.

10. Nie ulega wątpliwości, w obecnej sytuacji technologii militarnej, że jedynym rządem, który nie tylko chce, ale jest w stanie nie dopuścić do wojny nuklearnej, jest rząd sowiecki.

Jeżeli już dziś w sprawach wewnętrznych musi się zacząć liczyć z pierwociną własnej protoopinią społeczną, to w swojej polityce zagranicznej długo jeszcze będzie mógł ją kompletnie ignorować. W tej dziedzinie ubezwłasnowolnienie i ubezwłasnowymienie jego poddanych zachowało w pełni cechy misteryjne, które wyrobił wielki Stalin.

Przekonać się o tym można po zachowaniu zbuntowanych sowieckich poddanych zagranicą /np. starego Erenburga/: zbuntowani u siebie i rozwalający tam rozliczne kraty, za granicą Imperium występują właściwie jako jego propagandiści, a prasa zachodnia, która tak się w tym źle orientuje, skłonna jest widzieć w Jewtuszenko po prostu agenta dyplomatycznego Chruszczowa. I nie działa tu zupełnie niemądry odruch patriotyczny, który nakazuje nie kłaść własnego gniazda, ale jak powiedziałem - długotrwałe oddziaływanie stalinowskiego Terroru Doskonałego.

Rząd tego mocarstwa nie liczy się z żadnymi zobowiązaniami - jest w tym zakresie doskonale pragmatyczny. Ani wobec swoich feudałów, wasałów, ani wobec przegodnych czy stałych sprzymierzeńców, ani swoich agentur. Byłoby rzeczą zbyt zbyteczną i żmudną wystawiać tu listę krzywoprzysięstwa i wiarokomności. W dniach ostatnich, gdy zbiry w Iraku polowały na komunistów³ na ulicach, rząd ZSSR pospieszył przed innymi z uznaniem nowego rządu irackiego.

Nie może więc wchodzić w rachubę wzgląd utraty twarzy. Sowietci celują w przedstawianiu każdej swej porażki jako zwycięstwa politycznego, w najgorszym razie - moralnego. A więc celują w przymuszaniu zwyciężonych do gry, agonalnego travesti, jak to okazało się ostatnio w sprawie kubańskiej.

Zachód wojny nuklearnej nie chce aż do paroksyzmu - tyle mając do stracenia. Ale nie czuje się dość silny, aby we wszelkich okolicznościach móc oprzec się presji wypadków, imponderabilności bezinteresownych i interesownych.

Natomiast rząd sowiecki, ze swej istoty, jest rządem maksymalnego skupienia decyzji: w jednym ręku lub, w najgorszym przypadku, w rękach kilku ludzi. Ta bękarcia, ale jedynie możliwa odmiana marksizmu sprowadza obroty rzeczy i sytuacji polityczne do swego heglowskiego źródła, do sytuacji walki /po grecku: agonii/ między Panem a Niewolnikiem. Do tej podstawowej relacji rząd sowiecki sprawnie prowadzi świat i wszystko co jest. Ale ta najprostsza sytuacja walki, ciągłej walki, zakłada obecność obu walczących stron. Śmierć Zachodu jest śmiercią ZSSR. Dlatego właśnie, w konkluzji, ZSSR chce nie dopuścić do wojny nuklearnej.

/Naturalnie, jak we wszystkich sprawach ludzkich pewniki są aproksymatywne, jakieś ryzyko, które wywołuje zresztą sam fakt istnienia takiej broni masowej zagłady, zawsze jest możliwe. Innego rządu, ale praktycznie podobnego do tego, jakie przedstawia np. nagły wybuch paraliżu postępowego albo szal Herosteatesa./

11. "Polityka na krawędzi wojny", która była przechwałką w ustach Dullesa⁴, jest najzupełniej możliwa i realizowana przez władców ZSSR. Można tu chociażby przypomnieć słowa wielkiego Stalina do Churchilla, wypowiedziane w chwili cynicznej przeloty: "Ja nie jestem Hitler, ja potrafię się zatrzymać - mać w ostatniej chwili". Imię Hitlera nie zostało tu przywołane nadaremnie. On bowiem był największym błędem i nieprzewidzianym rozczarowaniem w rachunkach Stalina, w które przecież były wkalkulowane a priori masy błędów, niedociągnięć, pomyłek i niedokładności, bo sama ta rasa pomyłek dobrze służyła Stalinowi przez swój ogrom, jak np. w systemie represji masowych, gdzie właśnie obfitość pomyłek chcianych i niechcianych nadała Systemowi w oczach ogółu poddanych niezbędną mu Tajemnicę, Grozę i Majestat, a w dodatku doprowadzała konsystencję świadomości jednostek do maksymalnej plastyczności. Hitler był rozczarowaniem i pomyłką Stalina dlatego, że sam będąc superspecjalistą i wirtuozem w manipulowaniu błędem i nadawaniu swemu dziełu pozorów logiki demencjalnej, przypisywał te cechy również Hitlerowi, tzn. nie potrafił sobie wyobrazić, że wielką maszynę potęgi państwowej potrafił zmontować prawdziwy, a nie udany wariat. Tymczasem Hitler był rzeczywiście marlikiem. Stalin przypłacił swa pomyłkę nie tylko unicestwieniami wojennymi i widmem śmierci - odbił to sobie później sowicie na

naiwności politycznej Churchillów i Rooseveltów /a raczej/, by nie obciążać winą tych szanowanych osób: na naiwności zachodniego świata/ - ale także początkiem erozji dekompozycji demurgicznego świata stalinizmu. Siły puszczane w ruch zaczęły już działać: zamiast synergetycznie - kontradycyjnje.

Zatem Stalin mógł kalkulować, że w najgorszym razie, gdy będzie trzeba, zdaży [ofiarować] Hitlerowi takie dary, które go zadowolą i wojnę zażegnają.

12. Wolą przypadku, który małych ludzi wplątuje w sprawy największe, autor tych uwag był szczególnie dobrze uplasowany, żeby te rzeczy zaobserwować z bliska: w roku 1941 /maj/, prowadzony na dopros przez niekończące się korytarze Łubianki, zawsze dotąd martwo puste, zastał tam miotających się dosłownie w panice oficerów NKWD. Sledczy Łałaszewi, człowiek wielkiej dobroci i delikatności, powiedział na wstępie: "Wasza sprawa pogorszyła się." - "Dlaczego?" - "Niemcy wkroczyły do Jugosławii. Międzynarodowe położenie uchodziło." - "Ale co ja mam wspólnego z Jugosławią i Niemcami?" - "Nic. Ale kiedy sytuacja międzynarodowa pogarsza się, pogarsza się też sytuacja wszystkich więźniów." Ta logika jest przekonywująca, bez ironii. W ten sposób dowiedziałem się, że Łubianka była już w maju zaniepokojona zamiarami Hitlera.

Zaś w drugim miesiącu wojny dowiedziałem się o ostrzeżeniach Anglii: siedziałem wtedy z paru urkami w Saratowie i jeden z nich śpiewał na obrzydliwą melodię czastuszki błatną piosenkę: "Wot prziszoł angijskijsi posoł, ch... morżowa, dikij, głupoj kak osjoł..." Dotąd nie pojmuję, skąd nędzni urkowie przybyli wprost z łagrów wiedzieli o démarchu ambasadora angielskiego, skoro prasa sowiecka o tym milczała? Jeden z sekretów świata zagłuszonej informacji, gdzie [wiadomości] przenoszą się z szybkością dźwięków tam-tamów z afrykańskiej puszczy.

A z drugiej strony i to jest ważne: w końcu czerwca czy w połowie lipca ewakuowano nas z Łubianki. Wszyscy schodziliśmy kupą z różnych pięter, ludzie z tej samej sprawy odnajdywali się na schodach /np. ja z Peiperem i Broniewskim/, chociaż świętą zasadą była klauzula "puszki sardynek": niespotkania się z więźniami z innej celi, miesiącami, latami, latami. Oczekiwał mnie widok, który mną wstrząsnął aż do granic obłąkania: lejtnanci, generałowie z rombami, piękne, szykowne i pachnące sekretarki - zjawisko dla mnie, po dwóch latach sowieckiego życia, tak czarowne - wszyscy pele-mele znosili, znosili olbrzymie sterty akt i pele-mele wrzucali je ns ciężarówki - te akta, na których napis głośli, że są niezniszczalne, a które niewątpliwie stanowiły stalowe rusztowanie stalinowskiej budowli. Wtedy popełniłem błąd w rozumowaniu: uwierzyłem z miejsca w klęskę i nieuchronny upadek państwa nowoczesnego Sardanapala i dopiero długo potem sto naocznych dowodów pouczyło mnie, że genialność polityczno-policyjnego systemu polega na tym, że potrafi udźwignąć się z chwilowej paniki i na powrót przywrócić porządek.

Niepokój i podejrzliwość w stosunku do zamiarów Hitlera zgodziła się z pełnym zaskoczeniem, musiało być ono zresztą najpełniejsze, skoro doprowadziło do takiego zbałamucenia i kartotek, i centrali NKWD. /Jedno zastrzeżenie: być może w jakimś utajonym schronie było archiwum duplikatów./ Potwierdza to domniemanie, że Stalin był przeświadczony o możliwości wykupienia się Hitlerowi odpowiednimi ustępstwami. Zródeł tej taktyki łatwo doszukać się w perypetiach pokoju brzeskiego, kiedy Lenin bez większego bólu odstąpił Niemcom Ukrainę. Na pocieszenie mogli sobie wtedy powiedzieć: i tak Niemcy będą nasze. Stereotyp ten powtórzył się, kiedy Stalin ofiarował zdobyczne Wilno Litwie.

Kuba byłaby potwierdzeniem widomym tej taktyki zaborów i ustępstw terytorialnych. Wbrew temu, co twierdzą eksperci zachodni, nie zagraża tu strategiczna sytuacja lokalna, która w naszych czasach ma dla Sowietów znaczenie mało istotne. To samo powtórzyłyby się na granicach Imperium, np. w Berlinie, gdyby Rosjanie mieli dość siły wojskowej i odwagi politycznej wobec własnej opinii i gapiów z Trzeciego Świata, aby zburzyć mur berliński i okupować siłą korytarz. Dobrze, że tak się w końcu nie stało, bo byłibyśmy świadkami kolejnej klęski zachodniej poławiczości jak w wypadku Suezu i Zatoki Świń.

Naturalnie, gdyby Chruszczow i jego następcy zdobyli broń absolutną, bezpieczną przed odwetem nuklearnym, nie zawahaliby się rzucić atomówki na Akropol, dla wzbudzenia Grozy, by pokazać straszną twarz Meduzy. Podobnie Budapeszt poskrawiali ze zbyteczną, spektakularną dzikością.

13. Cała szumicha dookoła wojernego Mao i pokojowego Chruszczowa należy do teatru, a zwierzenia, prawdziwe czy zmyślone, Mao wobec Tito, że Chiny mogą

sobie pozwolić na unicestwienie trzystu milionów obywateli, są propagandową brednią, która daje miarę kolosalnej łatwowierności i upupienia Zachodu w sprawach imperialno-komunistycznych. Nie mówiąc już o tym, że straszenie należy do mitologii chińskiej, o czym przekonał się może każdy zwiedzający muzeum Guimet. Te rzekome zapały wojenne Mao stały się zapewne niezamierzoną, ale wygodną ideą dla Chruszczowa, który prezentuje się zachodniemu przeciwnikowi jako dobry komunistą.

Nic nie potwierdza większej wojowniczości i szczególnej chciwości Chin na zdobycze terytorialne. Korea była, jak mówiono sobie ówczesnie we wtajemniczonych kołach polskich, próbą albo zaskoczenia Amerykanów, albo wciągnięcia Chin w wyczerpującą, długoletnią guerillę, a może nawet pobudzenia Ameryki do rzucenia bomb atomowych na Chiny, co nie tylko wywołałoby ruchawkę w świecie, lecz przede wszystkim załamałoby moralnie naród amerykański. I nie Stalin powiedział tej wojnie: "dość", ale Mao, który domyślił się, że wyciąga kasztany z pieca nie dla siebie. Awantury z wyspami przybrzeżnymi były też po części podwójną grą sowiecką. Rzecz inna, że zgadzały się ze stereotypem postępowania Chińczyków: te nagłe wypadki i niepojęte odwroty przypominają grę aktorów chińskich z maskami demonów.

Tybet? Co znaczy wobec obszarów powojennych aneksji sowieckich! Nigdy nie wolno zapominać, że w kosmosie komunizmu rzeczywiste cele i ich ujawniane motywacje należą do dwóch zupełnie odrębnych porządków i kod wzajemnych ich stosunków, różnoraki i zmienny, znany jest i ustalany na samej wierchuszce, a słowa, którymi oznaczane są rzeczywiste konflikty, są symbolami. Mają one odmienny sens na różnych szczeblach wtajemniczenia.

14. Z powyższych propozycji bynajmniej nie wynika, że ZSSR chce rozbrojenia. Nie może chcieć. W dobie atomowej rozbrojenie uczyniłoby z Rosji mocarstwo lokalne, które nie może nawet marzyć o wtrącaniu się do Wysp Karaibskich, Gwinei, Iranu. Ale ważniejsza jest okoliczność, że wtedy rzeczywiście, bez osłony sputników i potęgi wojskowej, Rosja byłaby wystawiona na konkurencję pokojową, na konfrontację nagą, w której modelem jest wschodni i zachodni Berlin. I nie o to idzie, że odpadłaby pewna ilość komunizujących intelektualistów francuskich czy włoskich /a może by i nie odpadła, po tylu ogniowych próbach/ lub Trzeci Świat zniechęciłby się do Sowieców /elitom Trzeciego Świata imponować będzie zawsze technika maksymalnie skoncentrowanej władzy/. Najważniejsze, że masie poddanych w ZSSR po rzeczywistym rozbrojeniu utworzyłyby się oczy na śmiertelną opresyjność systemu komunistycznego, padłaby najskuteczniejsza grobla powstrzymująca bunt robotnicze w Nowoczerkasku, Rostowie, Odessie i Bóg wie gdzie jeszcze, [które] rozlałyby się w ogólną, niepowstrzymaną pługaczowszczyznę.

Ta uporczywa propaganda pokoju, odmienianie tego słowa na wszystkie sposoby i we wszystkich językach, ma znaczenie nowe i realnie głębsze. Jak większość haseł Chruszczowa /"komunizm nie eksportuje się", "prześcigniemy", "wojna między kapitalizmem i komunizmem nie jest nieunikniona", "komunizm może być instaurowany także bez krwawego przewrotu, drogą nawet parlamentarną"/, pochodzi ono wprost z arsenału pism i mów Stalina - każdy archiwista znajdzie setki na to cytatów. Jeżeli Zachód widzi w tym kwiat nowości - wynika to z krótkiej pamięci, a pamięć - z wishful thinking. Co nie znaczy, że nic się nie zmieniło: zmieniło się wiele, postąpiła erozja. Francuskie przysłówie "plus ça change, plus ça reste la meme chose" |"im więcej wszystko się zmienia, tym więcej pozostaje tym samym"| oddaje to dobrze, o ile pamiętamy o poważnym akcencie [na] słowie change.

Rzecz inna, że obsesja słowa: "pokój", "mir", "paix" itd. działa na psychologie Rosjan. Parę lat temu pewien wybitny fizyk zwierzył się zachodniemu koledze: "Nie lubię spotykać się z naszymi kolegami z humanistyki. Zawsze dochodzi do niedyskretnego wydziwienia: "Jak ci nie wstyd pracować dla bomby atomowej?" Może i wstyd, ale ta oficjalna robota daje mi możliwość zajmowania się poza tym teoretyczną problematyką, która mnie pasjonuje, a także korzystania z kosztownej aparatury, o jakiej wam trudno marzyć. W końcu ja tam żyję - reszta mnie nie dotyczy".

Wyznanie to, którego wiarygodności nie mogą niestety udowodnić, powinno skłonić do refleksji tych, którzy wierzą w panowanie w Komunistycznej Rosji klasy technokratów. Warstwa ta jest liczna i szanowana przez rząd /w granicach jej kompetencji/, ale na ogół zadowolona z losu: polityka i ideologia jej nie dotyczą. Młodych technokratów obchodzi natomiast władza polityczna, to znaczy technika jej sprawowania.

15. Nikt w Imperium nie wierzy w możliwość konkurowania z Zachodem - na poparcie tego mógłbym przytoczyć mnóstwo faktów. Nikt, z wyjątkiem ekonomistów, mężów stanu i progresywnych intelektualistów zachodnich, nigdy nie brał tego na serio. I mimo że poziom życia w ZSSR bardzo się podniósł, bo Chruszczow - w odróżnieniu od Stalina, który rządził nędzą - rządził już tylko niedostatkami - w uszach poddanego sowieckiego świszczy natrętne "dognat" i pieręgnat" z czasów pierwszej pięciolatki. Psychologicznym błędem Chruszczowa jest powtarzanie dosłowne hasła Stalina - skuteczne to dla oczu i uszu zachodnich, które pragną być oszukane, ale u poddanego sowieckiego budzi natrętne i przykre reminiscencje. Cóż, przy całym sprycie Chruszczow nie jest geniuszem.

Rzecz w tym, że gospodarka w ustroju komunistycznym zawodzi kompletnie. Jest bankrutem oczywistym nawet w oczach idioty przez swoją mastodontowość, nierównomierność rozwoju, biologiczne prawo: "wszystko albo nic", przez brzydotę w znaczeniu matematycznym, nieoszczędność, niewydajność, zahamowanie postępu sił produkcyjnych, sprzeczność między tymi siłami a społecznymi stosunkami pracy, sprzeczność między konieczną samodzielnością, spontanicznością, a centralistycznym skrupowaniem, przez swoją pauperyzację ludności postępującą konwulsyjnie. Słowem przez te wszystkie biedy, które Marks genialnie, ale paradoksalnie w skutkach przewidział dla kapitalizmu. Paradoksalnie tylko na pozór: bo primo, właśnie w świecie komunizmu działa hegemonia polityki nad ekonomią, co drogą postępującej w dół spirali sprowadza komunizm do czysto heglowskiej relacji Pana i Niewolnika; secundo, w komunizmie praktyka podporządkowana jest teorii zamiast z niej wynikać. Proceder ten rozpoczęła garstka inteligentów-doktrynerów po katastrofalnej dla ludzkości rewolucji w październiku 1917 i zaczęła działać tak zwany paradoks Szigalewa: "Wyszędłem z założeń absolutnej wolności i doszedłem do absolutnego zniewolenia".

16. Od dawna już nużą mnie gazety, Boże, jak one mnie nużą. Tak samo zresztą jak powieści. A przecież dawniej byłem nałogowym pożeraczem i jednych i drugich. Dziś okazuje się, że łatwiej mi było machnąć znużoną ręką na gatunek powieściowy niż na dzienniki. Czytałem zresztą powieści z tych samych /utajonych/ względów co prasę i z tej samej /utajonej/ potrzeby, dla tej samej satysfakcji. Zachłystywałem się zarazem z ledwo świadomym absmakiem, który tak skutecznie podnieca zblazowany apetyt. Dodajmy, że [nowo]czesna powieść, np. Klub Pickwicka, Hrabia Monte Christo, Tajemnice Paryża - prototyp fabularny Dostojewskiego - W pustyni i w puszczy, Trylogia, narodziła się z gatunków gazetowych.

Należę zatem do rodzaju - stwierdzam to ze smutkiem - politycznego zwierzęcia, optycznego żarłoka, jak nazwał gapiów O'Henry⁶⁷, myśląc zapewne i o czytelnikach gazet znajdujących w lekturze namiastkę widowiska. Czy mam za stare, aby to widowiako zastąpić telewizją, która jest niczym innym jak gazetą i powieścią - wydobyciem na wierzch widowiskowej natury dzienników. Wydaje się nam, że łakniemy informacji, chcemy wiedzieć, jak jest na świecie naprawdę, ale jednocześnie - czytając, oglądając - pragniemy ucieczki od tego świata do krainy fantazji, schlaffenlandu naszej wyobraźni, anielskiej lub diabolicznej, zależnie od tego, jaka ona jest. Jedno i drugie chcemy przeżywać jednocześnie, zjeść ciastko i zachować je. Powieść czytamy najchętniej, i z aprobatą najwyższą właśnie wtedy, gdy pod pozorami skrajnej fikcji pozwala nam uwierzyć, że jest figurą /w znaczeniu Auerbacha / / prawdy o życiu, świecie, o naszej naturze, kondycji i egzystencji. W ten sposób odczytujemy dziś, zblazowani, Kafkę i Becketta, kiedy dawniej w czasach realizmu naiwnego i pragmatycznego wymagaliśmy iluzji rzeczywistości: Dickans, Tołstoj, Flaubert, aż po Prousta - żęby wymienić najwięk-szych. I na odwrót: nasza namiętność do prasy wzbudzana jest monstrualnym głodem iluzji, złudzeń, ułud, że świat nasz, jeżeli nawet nie jest jeszcze dziś najlepszym ze światów, to nieprzeparcie idzie ku lepszemu wbrew przeszłości, a może właśnie dzięki nim. Albo przeciwnie: by podświadomie napawać się widowiskiem jego korupcji i zadyszanego biegu do zagłady - zależy to od osobistego temperametu, optymistycznego czy sarkastycznie pesymistycznego. Wiemy, że gazety wsączają w nas codzienną porcję perfidnego fałszerstwa, podobnie jak powieść, ale podajemy się mu, bo tego domaga się nasz ucywilizowany dajmonion, który od wieków wraz z nami schodził na psy. Gazety dają nam jednocześnie sokratycznych uczt, spożywa-nych przy śniadaniu wraz z kleikiem czy słoniną, albo do poduszki zamiast zmówie-nia paciorka.

I ja spożywam gazety w ten sposób, o tym samym timingu, wraz z owsianką dietetyczną, ale w istocie jestem XIX-wieczny. Urodziłem się zresztą w pierwszym

roku kalendarzowego stulecia /mówię: kalendarzowego w odróżnieniu do historycznego, bo np. USA - droga moja 'Amica America', którą nauczyłem się admiirować szczerze, mimo że nieraz szlag mnie trafia - weszły w nasze stulecie od niedawna/. Należę do gatunku tych czytelników, którzy jak obrzęd spożywali "gazety zinstytucjonalizowane", na drażkach, nieomal tak jak mojąszowa Tora, w kawiarniach Warszawy, Wiednia, Budapesztu, Paryża itd., w porze, którą dziś uznaje się za najmniej odpowiednią: późnym przedpołudniem, albo wczesnym wieczorem, albo nowoczesną nocą. Należę, ściślej mówiąc, do rasy starych kibiców politycznych, starych Żydów w najczystszym swoim typie, mecenasów, konsyliarzy, radców, scapt - cznie mówiących, co powinien zrobić Bismarck, Chamberlain czy Sazonow. Pamiętam ich jeszcze dobrze, hamletycznych czytelników gazet, starych kibiców politycznych, patrzyli z pobłażliwym lekceważeniem na moje młodzieńcze zaangażowanie spoza okularów, gdy ja wzruszałem ramionami na ich starcze, próżne mędrkowanie. Co prawda moje zaangażowanie wynikało z ostatecznego skonstatowania, że nasz stary Pan Bóg, a także jego Syn, "umarli", z niepohamowanej potrzeby wiary w młodzieńczych moich latach - ale w istocie należą do nich. I pisałem wtedy w prasie, wcale rozsądnie: "Książka jest religią dla jednostek, gazeta religią dla mas" 8/. /Należy tu domyśleć się, że "religia jest opium dla narodu", jak napisał Marks i nie on pierwszy, bo wziął to dosłownie od Novalisa, zresztą ten napisał: "ideologia to opium dla ludu" i Lenin, nic o tym nie wiedząc, przywrócił splagiatowany cytaty do pierwotnej postaci. Marks w ogóle kradł potężnie, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, miał bowiem pamięć prawie absolutną - tak jak się miewa słuch absolutny - ale i lepka. Miałem okazję obserwować taki fenomen pamięci u Brunona Jasieńskiego: ów fantastycznie uzdolniony poeta, wraz ze swoim protektorem umęczony przez NKWD, po jednorazowym przeczytaniu wiersza zapamiętywał go na zawsze. Toteż sam nie napisał ani jednego oryginalnego - może przesadzam - bo cokolwiek podszeptał mu głos jego autentycznego natchnienia, natychmiast przybierało [to] postaci, oblekało się w rytm, obraz, sekwencję słów, zapożyczone od stu poetów, których czytał. Pamięć absolutną miał też Hostowiec, opowiadał mi o tym Stanisław Stempowski, ale na szczęście miał on też pamięć swojej pamięci, co pozwalało mu zachować rzetelność w cytowaniu i oryginalność w tiurniurze posiłkowania się erudycją/.

Cytuję dalej siebie, zmieniam tylko przestankowanie i szyk zdań: "Wiara jest wiecznie ta sama, zmienia się tylko jej przedmiot. Prymitywna prasa drukarska Gutenberga, to stajenka betlejemka czasów nowożytnych. Jak każdy Kościół, określa ona stanowisko jednostki w świecie nowożytnym. I jak każda religia jest opoką, na której opiera się ustrój państwa." W rzeczy samej: kogo naprawdę obchodzą konflikty w dalekich krajach? To prasa zaszczyliła ogółowi ludzkości sztuczne zainteresowanie polityką, cudzą polityką.

Po tylu latach i po tylu ciężkich, rujnujących doświadczeniach przyszło mi na stare lata wrócić do swego młodzieńczego sceptycyzmu, którego ku własnej biedzie wyparłem się w wieku dojrzałym.

17. Nie lekceważny polityków kawiarnianych. Może dlatego, że źle poinformowani nie ulegają ogłupieniu tak charakterystycznemu dla wszystkich czynnych polityków. Ich zrozumienie istoty komunizmu sowieckiego w latach międzywojennych, pamiętam to dobrze, góruje co najmniej o głowę nad wtajemniczeniem dzisiejszych dobrze poinformowanych publicystów i mężów stanu Zachodu. A i po wojnie w warszawskiej kawiarni, gdy poeci wyrzykiwali wiersze z Jankesach rzucających z samolotów zatrute wszy i pająki na wspaniały wówczas, bohaterki i pokój miłujący naród chiński, starzy panowie, niedobitki lepszych czasów, komentowali: "Stalin chce wmanewrować nienawistnego i zbyt samodzielnego Mao Tse-tunga w awanturę wojenną z najpotężniejszym ze swoich nieprzyjaciół: USA, i podnieca tych ostatnich do rzucenia bomby atomowej, co rozpętałoby fatalny dla obu stron łańcuch skutków. Stąd ten huczący tam-tam wszalny. Ale Mao w porę się zorientował i wycofał z heczy koreańskiej." Wiernie to słyszałem na własne uszy w tych czasach nie tak dawnych. Może i teraz synowie tych panów kibiców politycznych identycznie komentują obecne manewry sowieckie w związku z Wietnamem, bo ci prawnicy /przeważnie/ zawsze pamiętają o starej regule rzymskiego prawa: zbrodniarzem jest przypuszczalnie ten, komu popełniona zbrodnia przynosi największą korzyść. Cóż to za bajeczna perspektywa dla uwikłanej w tysiąc trudności polityki sowieckiej, żeby i stary, i nowy wróg ZSSR wzajemnie się latami wykrywali.

Tak więc codziennie muszę czytać swój dziennik raczej z natłogu niż z prawdziwej potrzeby serca czy rozumu. Ba, robię nawet wycinki dorywczo i bezużytecznie,

bo jestem z natury wyjątkowo niesystematyczny, a gdy zbierze się ich stos - wyrzucam je tam, gdzie ich właściwe miejsce: do śmieci, z obrzydzeniem do gazet i polityki w ogóle. Niestety, niestety, polityka jest naszym losem - powiedzian genialnie mądry półinteligent do genialnego Olimpijczyka z niemieckiej prowincji. Działo się to w Erfurcie w roku 1808. Bonaparte rozumiał Los w sensie antycznym, tragedii ajśchylosovej. Aforyzm ten może służyć za motto dla czasów nowożytnych, naszych czasów i czasów naszych synów, a może i wnuków, a może i wnuków naszych wnuków, o ile ci ostatni zobaczą światło dzienne. Jeżeli uzupełnić go późniejszym znacznie zdaniem o moralności nowożytniej Nietzschego: "Do Imperatywu kategorycznego należy Imperator" - streszczają one nieomal g.ówną treść bieżącej historii. W dwóch zdaniach.

Alę żeby oszczędzić moje stare oczy i czas, który skracza moja osobista jaszczurca skórka, ograniczam się w zasadzie do jednej solidnej gazety, obecnie do "Christian Science Monitor" - jest o wiele tańsza niż "New York Times" - oraz tygodniowego wydania solidnego "Le Monde". /Przebywając we Włoszech, czytałem "Corriere della Serra", we Francji "Le Monde", gdy mnie rzuci do Niemiec - [czytam] "Frankfurter Allgemeine Zeitung", w Anglii - "The Guardian". Nigdzie nie znajduję tylu pontyfikalnych, trywialnych głupstw jak u starych, solidnych, oświeconych progresistów. / Tylko z rzadka, przy ostrzejszych przystępach choroby, zaglądam do tygodników i miesięczników. W moim wieku czytanie prasy powinno być zabronione, może później, gdy się niedoźleńniej. Alę widok stosu wycinków natchnął mnie myślą, aby zademonstrować osłą żąkę publicystyki zachodniej /komunistyczna jest beznadziejnie ogłupiająca, diabelnie prymitywna, alę nię głupia/. W ten sposób przynajmniej wyciągam jakąś korzyść z tego brzydkiego nałogu.

18. Być może nigdy dotąd mężowie stanu nie kompromitowali się tak zgubnymi skutkami swoich polityk, jak od roku bodaj 1914.

Przyszły historyk może będzie miał pokusę przedstawić ubiegłą wojnę światową jako konflikt między Anglosasami a Sowietami, który tamci [pierwsi] przegrali bez wystrzału. W tej koncepcji Hitler byłby tylko osobą podstawioną: strzela się do mary i trafia w własne dziełko.

Churchill zaproponował Stalinowi świsstek, na którym w żstwych i dokładnych ułamkach wyliczył podział niemałej połaci Europy, alę wielkiemu Stalinowi, przeciw archiwisście niewybrednemu, hadko było zatrzymać ten papier. Ofiarowanie moskiewskiemu Minotaurovi za darmo bez żadnej konieczności lub potrzeby stu milionów Europejczyków - dziś wydaje się szaleństwem. A przecież komu jak komu, alę Churchillowi nie można odmówić daleko widzącego rozumu, dobrej informacji i niemałej przewrotności. Z czego wynikałoby, że mężów stanu krajów demokratycznych oraz ich fachowych doradców w chwilach przełomowych decyzji ogarnia jakiś rodzaj szału, demencia politica? Czy nie jest to deformacja zawodowa będących u steru władzy? Czy cena demokracji?

Podkreślam: bez żadnej potrzeby. Stalin był raczej usposobienia tchórzliwego, odważał się na wszystko, gdy to "wszystko" było już dostatecznie przygotowane, aby wpaść mu w ręce. Potężnie trząsał gruszką, alę gruszek nie zrywał póki nie dojrzał do upadku. Umiał się wycofywać z dyscypliną. Odbywałem swoją podróż repatriacyjną z Azji, gdy zabierał on swoje wojska z Iranu. Radio sowieckie od rana do nocy grzytało zębami, przez wiele dni, alę anabasis odbyło się bez incydentu. Pamięć hańby z 1939 i wyczerpującego, zażartego oporu Finów powstrzymała go od zwasalizowania Finlandii. Z Grecji chciał się wycofać wcześniej, to "demokracje ludowe", przede wszystkim Jugosławia, upierały się przy pozostaniu.

Wiadomo - Iran to nafta i wrota do Indii /i tak spełnia się dziś włoskie marzenie Mikołaja I/, Grecja to klucz do Morza Śródziemnego, a kraiki na wschód od Niemiec i na północ od Włoch zawsze sprawiały wszystkim wiele kłopotów i zamętu, oddać je lepiej Rosji i będzie spokój, Niemcy zaś podzielić, by już nigdy nie zagrażały. Kalkulacja logiczna, alę jak opiakane są i jak długo jeszcze będą tej logiki skutki.

Przypominam te rzeczy, stokrotnie znane, a nie bez starczej zgryźliwości, by ulegitymizować głos polityka kawiarnianego, czytelnika gazet, kibios tout court. Tym zasadniej, że poczynania mężów stanu odbywają się naszym, kibiców, osztem.

Kibic nie obciążony odpowiedzialnością za decyzję, wolny zatem od wzmiankowanej deformacji zawodowej, od aporii wobec nadmiaru przeciwstawnych informacji, może w rozmowaniu powodować się wyłącznie zdrowym rozsądkiem i pragmatyzmem,

a gdy w dodatku świadom jest zasadniczej nieracjonalności dziania się historycznego, może też dać upust wyobraźni, bez której nawet polityka utyka. Parafrazując Kanta można powiedzieć, że polityka bez fantazji jest ślepa, a fantazja bez polityki - pusta. Pod warunkiem, że sam [kibic] nie aspiruje do najskromniejszego udziału w decyzjach, a jeżeli chce być wysłuchany, nie życzy sobie na nie wpływać, tj. po prostu nie jest nawet dziennikarzem.

19. O ile przewrót bolszewicki wyniesiony na fali rewolucji lutowej był przewrotem garstki uzurpatorów władzy nad Rosją, rewolucjonistów-blankistów, kosmopolitów bez rodu, i chociaż musiał przybrać fizjonomikę i charakter rosyjski, nigdy - z wyjątkiem okresu stalingradzkiego - nie był narodowy, zawsze uył uzurpacją. I może za sto lat bolszewizm, który wszystkim zepsuł życie, będzie przez historyków traktowany jak najazd Tatarów albo krwawy epizod w rodzaju Smuty z Polakami na Kremlu itd.

W Chinach komunizm był ruchem plebejskim od początku buntów chłopskich, powstania bokserów i komunizmu konfucjańskiego, rozdziałem w historii, mimo doktrynerstwa marksizmu i straszego dla nas widma mrowiska.

Co więcej, przy dyscyplinie, zmyśle organizacji i nieindywidualistycznej kulturze duchowej, komunizm, straszny w traktowaniu ludności jako plasteliny, mógł się obejść bez systematycznego terroru, więc używać techniki perawazji zamiast techniki unicestwiania, nie musiał - aby przetrwać - tworzyć kręgu ciągłej cyrkulacji elity: powoływania jej i szybkiego niszczenia /tym się tłumaczy wysłanie wysoko kwalifikowanych uczonych do wiejskich robót, absurdałne gospodarstwo, ale politycznie i społecznie celowe/. Nie petryfikuje przepaści między narodem rządonym a rządzącymi - utrzymuje się, przy całej nieładności kondycji jednostek, jakaś całość w granicach dostatecznie powszechnej sprawiedliwości społecznej - poddawawo to rewindykacja wszelkich szczerze komunistycznych tęsknot.

Światem, w przeciwieństwie do ZSSR, komunizm w Chinach jest narodowy i od wewnątrz nic nie zagraża jego trwałości. Jeżeli obyczajowo, duchowo sytuacja mas była za Kuomintangu lepsza, bo utrzymywał się w starych formach obyczaju, o tyle ekonomicznie sprawa jest sporna: czy łapie się żyje pod względem cywilizacyjnym - oświaty, higieny itd. - kontrolowanym, niedojadającym Chłirczykom, czy też milionom bezdomnych i umierających z głodu Hindusów?

Mamy do czynienia z mijaniem się pociągów: gdy dla Chin komunizm jest drogą /trudną/ dojścia do potęgi państwowej i cywilizacyjnej, dla Rosji jest on już teraz przeszkodą pod [każdym] względem, z wyjątkiem bogacenia arsenału wojskowego, pasożytniczego, bo nie będzie on użyty, a każdy postęp cywilizacji i kultury daje się tam uzyskać za cenę wyrzucania balastów komunizmu jednego za drugim.

Mac musiał zdystansować się od ZSSR i od Stalina, aby nie ulec zszatelizowaniu i stąd jego polityka rozluźniania bloku sowieckiego, doktryna kwiatowa, która miała liberalizować, s więc osłabić hegemonię sowiecką, aż do poparcia schizmy polskiej.

Kategorycznym imperatywem krajów głodujących jest potrzeba sprawiedliwości społecznej - ona góruje nad wszystkimi innymi w sferze uczuć i aspiracji. Jednocześnie wynosi do władzy elity rewindykacyjne. W miarę jak te elity się korumpują, utożsamiają się z sprawą ludu, który je wyniośł, nabierają manii wielkości, poczucia powołania, libido dominandi - snobizm w skali międzynarodowej pcha je ku formułom nacjonalistycznym, czyli po prostu - w różnym stopniu - faszystowskim. Gdy potęgi bogate dają tym skorumpowanym elitom pomoc i poparcie materialne, wtedy dopiero potrzeba sprawiedliwości degeneruje się w resentment: zawiść, nienawiść, ksenofobię.

20. Kuba jest przykładem straconej wielkiej szansy: niezależnie od nieodpowiedzialnej postawy trybuna, castrym był ruchem ludowym, chłopskim. Od polityki USA zależało, czy rewolucja socjalna i jej romantyczna, ascetyczna i ludowa elita - pomimo wszystkich ekscesów autorytatywnych - stanie się bazą, wojskową i polityczną agenturą ZSSR, czy też nie. Natomiast politycy USA popierali po wojnie elity od początku już skorumpowane i faszystowskie, które od razu dawały gwarancję dostatecznego trzymania za mordę swoich głodnych mas. Polityka ta była konsekwencją świadomej lub bezwiednie egoistycznej doktryny grup interesów, np. wobec Ameryki Południowej. Ale stała się prawdziwą doktryną wobec narodów Azji i Afryki /Korea, Indochiny, ratowanie faszyzmu nasserowskiego/. W niemałym stopniu przyczyniło się do tego naśladowanie ZSSR, Szelepina, który według opinii moskiewskiej jest jedynym inteligentem typu zachodniego, inni tylko

małpują zachodnie normy postępowania i niejeden ambasador, który czaruje londyńskie czy paryskie towarzystwo, pokazuje twarz chama wobec własnych obywateli. Zachodnia polityka zimnej wojny odwzorowywała postępowanie Sowietów tam, gdzie nie powinna tego robić. Nie umiała, nie umie oderwać się od nieprzyjaciela - manewr nieraz konieczny.

21. Przyjrzyjmy się dwóm szachistom w zakazanym bistro: dockoła wrzeszczą głośniki, miodzi trzaskają na automatach, wychodzą i wchodzą prostytutki, alfonsi, turyści, dym, śmiechy, piski, nieraz awantury, piącz, za chrzwiami przeciąga manifestacja polityczna, a ci dwaj świata nie widza poza deską szachową, wciągnięci bez reszty i wzajemnie spleceni w wyśli linearny...i zygzakami.

Obraz to pozorny, bo nie ma tu symetrii: jeden z partnerów wyćwiczył się w pozorach - niby cały zafascynowany deską szachową, a widzi i słyszy, jak pracują jego dziewczyny i maszyny do gry, nic nie ujdzie jego kontroli.

Stawianie na te [całkowicie skorumpowane] elity jest naturalnie, i pragmatyczne punktu widzenia, zdradliwe: zachowanie się wodzów, benefaktorów, jest zmienną zależną wyłącznie od każdorazowej sytuacji obu głównych zapaśników - zawsze będą pomagać i zabiegać o łaskę u tego, który widzi im się zwycięzca; po Laosie i moralnym poniżeniu Indii przez Chiny, to Birma od razu z rczwiniętymi sztandarami wchodzi do "oboazu pokoju".

I znaczu nie ma tu symetrii: gdy Zachód popierając i konkurując o względy skorumpowanych i faszyzujących elit odpycha od siebie głodne i uciskane masy, ZSSR czyniąc to samo wygrywa podwójnie. "Ojczyzna rewolucji światowej i mas pracujących" popiera szybko korumpując się elity jako obrońca tych mas, całą ich sumę niezadowolenia kierując przeciw "imperializmowi świata zachodniego". Nie musi przy tym wcale popierać swoich lokalnych partii [komunistycznych], czasami nawet bez zadowolenia przygląda się ich presji.

Zatem i przez USA, i przez ZSSR w świecie afrykańskim, azjatyckim, a także w Ameryce Południowej, pożądane są na długie lata reżymy faszyzujące, demokracje narodowe, szczególnie że przy rywalizacji chińsko-sowieckiej reżymy bardziej komunistyczne i bardziej plebejskie wejda w chińską sferę wpływów. Chiny są zainteresowane instalowaniem wokół siebie rządów i promocją partii komunistycznych, podczas gdy Moskwa odwrotnie - podtrzymuje w masach ferment i ruch prosowiecki, ale bynajmniej nie prokomunistyczny. I chiński zarzut zdrady pryncypiów i ideałów komunizmu przez ZSSR jest najzupełniej słuszny.

Podwójny charakter ZSSR występuje w jednostkach mocy: jako państwo jest najpotężniejszą cytadelą światowego komunizmu, jako kraj komunistyczny jest najsłabszym jego ogniwem. Słabszym nawet od Węgier i Polski, bo chociaż kraje te odeszły dalek od komunizmu niż Jugosławia, ale dzięki temu zamortyzowały też dynamikę masowego niezadowolenia. Naturalnie, świadomość tej dwoistości ułatwia, ale też utrudnia taktykę Zachodu, wymaga giętkości i [wyczucia] konfiguracji chwili. Może przyjść na przykład taki moment, kiedy komunizm w ZSSR stanie się tylko szcztatkowy i dekoracyjny i trzeba będzie oszczędnąć Rosję jako mocarstwo. Moment taki na pewno jeszcze nie nastąpił; warto może pamiętać tylko, że zwalczając jedną stronę rosyjskiej mocy, zwalcza się też drugą. Trzeba wykorzystać tę dwoistość i wbijać klin coraz głębiej - zwalczając mocarstwo, niszczy się ustrój.

Aleksander Wat

/z tomu "Świat na haku i pod kluczem"/

Przypisy wydawcy:

- 1/ Théodore Agrippa d' Aubigné /1552-1630/, francuski pisarz okresu Reformacji. Autor poematu "Les tragiques" /1616/ oraz dzieła "L'Histoire universelle depuis 1550 jusqu'en 1601" /1616-20/. W 1729 ukazała się jego autobiografia "L'Histoire secreete de Théodore Agrippa d'Aubigné"; "Lettres" oraz "Oeuvres mêlées".
- 2/ Henryk Ehrlich /1882-1942/, adwokat, przywódca Ogólnego Żydowskiego Związku Robotniczego "Bund", zgładzony w Rosji sowieckiej, /Zob.: Aleksander Wat, "Mój wiek", t.2, ss. 172-3; Józef Czapski, "Na nieludzkiej ziemi", s. 156 i n./.
- 3/ Mowa o wydarzeniach w Iraku, które rozegrały się między lutym a listopadem 1963 roku. Bojówkarze z nowoutworzonej partii "Ba'ath" marszałka Abdula Rahmana Arefa "oczyścili" kraj z komunistów, mordując ich lub osadzając w więzieniach. Następnie sami zostali zlikwidowani w wyniku zamachu stanu Arefa /13 listopada

1963/. Wkrótce potem zacieśniły się stosunki dyplomatyczne Iraku zarówno z Wielką Brytanią i USA, jak i z ZSSR i Egiptem.

- 4/ John Forster Dulles /1888-1959/, polityk amerykański, doradca delegacji Stanów Zjednoczonych na konferencji pokojowej w Wersalu /1919/. W latach międzywojennych współautor polityki zagranicznej Partii Republikańskiej. Jako doradca sekretarza stanu Deana Achesona prowadził negocjacje pokojowe z Japonią. Autor programu oporu przeciwko ekspansji komunizmu /1950/, sekretarz stanu w okresie prezydentury Dwighta D. Eisenhowera.
- 5/ Mowa o paryskim muzeum sztuki Dalekiego Wschodu.
- 6/ O'Henry /wł. William Sydney Porter, 1862-1910/, pisarz amerykański. Zaczął pisać w czasie odsiadki wyroku w więzieniu Sing Sing. Opublikował m.in. tomy opowiadań: "Cabbages and Kings" /1905/; "Four Millions" /1906/ i wiele innych utworów. Tłumaczem jego opowiadań na polski był m.in. Aleksander Wat.
- 7/ Erich Auerbach, eseista niemiecki, autor słynnej książki pt. "Mimesis". "Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu" oraz wielu innych rozpraw o literaturze.
- 8/ Jest to fragment opowiadania Aleksandra Wata pt. "Bezrobotny Lucyfer". Por.: Aleksander Wat, "Bezrobotny Lucyfer", Warszawa 1960 ss. 45-6.
- 9/ Tamże.

Węgry - Rumunia

Piotr Gazda

SIEDMIÓGRÓD I DOKOŁA SIEDMIÓGRODU

/Próba egzorcyzmów/

"Tak, Wasza Wysokość, w kraju panuje złodziejstwo, zakłamanie i korupcja. Mamy prawo przeciwstawić się temu i zapytać: jak długo jeszcze?"

/z petycji chłopów rumuńskich do króla w 1931 roku/

1.

Docierające do nas wiadomości o sporze węgiersko-rumuńskim są, tradycyjnie w takich przypadkach, nader "oszczędne i wyważone". Władcy zaprzyjaźnionych baraków dbają o to, by swoim poddanym nie mówić zbyt wiele, bo mogłoby to wyglądać na wtrącanie się w wewnętrzne sprawy suwerennych państw! Delikatność godna podziwu; szkoda, że obserwujemy ją w sytuacjach najmniej odpowiednich - milczy się wtedy, kiedy krzyknąć by należało, poucza i wtrąca, gdy powinno się zachować największą ostrożność. Wygląda na to, że w tym systemie pełnia suwerenności przysługuje każdemu barakowi tylko w głupocie i zbrodni; za to podejrzane i budzące czujność są wszelkie przemiany zgodne z linią społecznych oczekiwań. Dlatego sprawę Siedmiogrodu pozostawia się samym Rumunom i Węgom. To i c h sprawa!

Bez wątplenia: Siedmiogród jest ich problemem, lecz nie tylko ich. Zajęci

swymi własnymi biedami, różnie wyglądającymi, ale przecież w s z ę d z i e biedami, zakrzętań i ksenofobicznych, przeczuleniu na punkcie własnym, a gruboskórni wobec problemów obcych, które tak naprawdę obcy nie są nigd - bezwiednie wspomagamy sieć komunistycznego zakłamania. I podobnie jak nasi władcy, bezwiednie idąc na pasku ich sugestii, więcej mamy w sobie zrozumienia dla spraw Sików czy kaledońskich Kanaków, aniżeli dla problemów nacji mieszkających tuż za niedzą. Kwestie żywotne dla Ukraińców, Słowaków, Czechów czy siedmiogrodzich Węgrów budzą wprawdzie naszą ciekawość, ale pocóżrzewam, że więcej jest w tym sentymentów i resentymentów /tak tych ugruntowanych historycznie, jak i zrodzonych z doświadczeń najwświeższych, tzn. z realnego socjalizmu/, niż poczucia rzeczywistych więzi, kulturowej i społecznego powinowactwa. Przywilejem, a dziś /niestaty/ również i powinnością polityków jest działanie poza uczuciami - wedle interesów, bez skrupowania zasadami moralnymi. /Choć mam wątpliwości, czy nasi nie zachowując się w cnoty przeciwieństwo - jest znakiem zasklepienia, samolubności, nadmierne znacjonalizowanych a nieskromnych ambicji własnych, podszytej pogardą wyniosłości wobec problemów innych narodów. I dopiero w tej perapektywie widać wyraźnie, jak wiele jest jeszcze do zrobienia, by wspaniała idea Europy Środkowej zaczęła naprawdę krążyć, pobudzać i zapładniać w i e l u .

Dzisiaj mamy do czynienia z rozbudzoną ciekawością spraw dziejących się w naszym obozie. To sporo, lecz przecież ciągle za mało. To zaledwie początek, który może, choć wcale nie musi prowadzić do zrozumienia. Gdy słyszemy o sporze węgiersko-rumuńskim; łatwo poddajemy się upraszczającym sprawę schematom, zaczyna w nas działać coś przedustawego. Węgrzy to u nas legenda, to naród w nieco magiczny sposób zjednujący sobie sympatię Polaków. Niezbyt wiele w tym waży częstotliwość wzajemnych kontaktów /w końcu taką Bułgarię nawiedzamy też stadami/, w tym przypadku zdecydowanie bardziej znacząca jest świadomość /czy ledwie przeczuć/ jakiegoś pokrewieństwa historycznego, kulturowego i duchowego. Rzeczywiście, nasze dzieje wyglądały podobnie: kulturę - do czego my lubimy przyznawać się na każdym kroku - czerpaliśmy z tego samego kierunku, z Zachodu; na naszych mentalnościach odcisnęło się to samo - poczucie osamotnienia, bycia przedmurzem, wciśnięcia między Zachód i Rosję. Rumuni posiadają w naszej świadomości status-zgoła odmienny. Ich kraj należy do Wschodu, wabi egzotyka bizantyjsko-grecką, odpycha wschodnim nepotyzmem, odmiennością religii również. /Ekumeniczni to my jesteśmy w deklaracjach, ale w praktyce - ciągle bardzo rzadko./ Zainteresowanie Rumunią fundowane jest dziś w głównej mierze na dziwnym statusie tego państwa - kraj socjalistyczny, ale jakby z obozu się wyłamujący; utrzymujący kontakty np. z Chinami czy Izraelem, gdy sprzymerzeńczy definitywnie je zerwali; odmawiający interwencji w Czechosłowacji; kraj zamknięty, rzec by można - żyjący tyłcem wsobnym, o którego rytmie rzadko coś pewnego do nas dociera, choć i te nieliczne informacje wystarczą, by nas porazić i... przerazić.

Dzisiaj nie ulęga wątpliwości, że w Rumunii dzieją się rzeczy złe. Gdybyż było to tylko kwestia większej niż gdzie indziej biedy, zasługiwałyby na uwagę i rozważ, lecz nie na alarm i dramatyczne wezwania. Ale tam zżykuje się zbrodnia, wielka zbrodnia w sercu Europy, prymitywna zbrodnia u progu XXI wieku. Pomysł przyspieszonego duszenia /zamieszkujących Siedmiogród mniejszości narodowych /głównie węgierskiej/ to zaledwie jeden z "cudownych" pomysłów Geniusza Karpackiego /tak pozwolili sobie nazywać Nicolae Ceausescu/, geniusza oszalełego, rozdającego razy bez opamiętania i bez umiaru. A jak pisał Michaly Babista: "kto milczy pośredro zbrodniarzy, staje się ich współnikiem".

"Bretanie" rządy nabrały wody w usta. Węgrzy protestują i ślą noty, reżym Ceausescu nawet nie raczy na nie odpowiadać. Inni uparcie milczą, udają, że tak im nakazują ich przyrodzona delikatność i nieśmiałość. W 1956 Węgrzy, w 1968 Czechosłowacja poznały tę delikatność na własnej skórze; w 1980-81 wysłali mieli okazję wysłuchać serii groźnych ostrzeżeń. A tu raptem - nic, cisza, zastój. Zaiste, przedziwna to odmiana. I wcale bym się nie zdziwił, gdybym z Berlina czy Pragi usłyszał oficjalną wykładnię: że spokój panuje w Siedmiogrodzie.

Jasne, że milczeć nie należy. Ale nawet najszlachetniejsze emocje nie dają zrozumienia. Zaocuwają mówienia bez zrozumienia. Co również będzie niesłuszne.

Kłębek siedmiogrodzki spleciony został zbyt mocno, a motano go przez wieki całe, byśmy kierując się jedynie osobistymi sympatiami i antypatiami mogli

pojąć sens rozgrywanego się tam dziś sporu. /Przyglądam się ostatniemu zdaniu i widzę, że zalecając przynajmniej chwilowe wyzbycie się emocji i bezstronność, sam bezwiednie już wziąłem stronę - w końcu to Węgry używają nazwy Siedmiogród, Rumuni mówią o Transylwanii./ Ta kraina jest miejscem ostrych konfliktów narodowościowych od blisko dwóch wieków. Wcześniej, mimo etnicznego zróżnicowania jej mieszkańców, było to w miarę spokojnie - wyższość Węgrów oraz nierozbudzone jeszcze poczucie narodowe Rumunów pozwalały utrzymać jasną i stabilną strukturę społeczną. Węgry mówią, że Siedmiogród jest ich, bowiem przez blisko tysiąclecie pozostawał, mniej lub bardziej ściśle, w obrębie Królestwa Węgier. Z kolei Rumuni uważają Transylwanię za właściwą kolebkę swojego narodu, powołują się na stałą przewagę liczebną żywołu rumuńskiego na tych terenach, na najstarsze właśnie stąd pochodzące pisane zabytki swojego języka. Skądś my to już znamy. Ale, podobnie jak w przypadku naszego Dolnego Śląska, krótka /bo od roku 1918/ przynależność Siedmiogrodu do Rumunii okazuje się faktem rozstrzygającym. Dziś trudno myśleć o cofaniu biegu historii. Sądzę, że szacunek dla faktów dokonanych cechuje obydwie strony sporu. Przez pewien czas można było marzyć nawet o tym, że oto teraz dojdzie do upragnionego pojednania - że znosząc ekonomiczne źródła konfliktu, możliwe będzie stworzenie regionu federacyjnego, który prawnie przynależąc do Rumunii, pozwoli zamieszkującym go Węgom pozostać Węgrami, a Niemcom - Niemcami. Takie rzeczy nie są przecież niemożliwe. Wystarczy dohra wola i dużo cierpliwości. Ważne też, by nie wpuszczać tu szaleńców!

Pisząc o dzisiejszym realizmie dwóch głównych uczestniczących w sporze narodowości wiam, że sprawę uprzaszcam. Długotrwały konflikt etniczny to nie jakaś chwilowa choroba, o której szybko się zapomina. Zawsze pozostaje po nim osad, pokłady nienawiści i uprzedzeń, wspomnienia złych doświadczeń i pamięć ofiar. Polacy winni wiadzieć doskonale, o co chodzi. Ale wierzę, że pośród barżo wielu tego typu spraw nie ma takiej, której złe trwanie byłoby nieuchronne, takiej, która wrogością naznaczona byłaby w sposób fatalny. Wierzę w to, choć wokół nie brak dowodów, iż rzeczy mają się inaczej, że dla wielu koleina wrogości wciąż jest tą jedyną i słuszną.

2.

Pamiętam swój pierwszy wyjazd w Alpy Transylwańskie. Było to w połowie lat 70-tych. Rumunia nie była jeszcze w stanie takiej ruiny, jak ma to miejsce dzisiaj. Łatwo wyczuwalne było jej zapóźnienie, ale właśnie ono, paradoksalnie, pociągało mnie w niej najbardziej; było w tym coś nostalgicznego, może wspomnienie lat gomulkowskiego dzieciństwa. Z kolei Madziarzy, którym wówczas wiodło się również dobrze jak nam, tak pochłonięci byli konsumowaniem swojego chwilowego dobrobytu, że nie zwracali uwagi na mieszkającą w Siedmiogrodzie 2-milionową mniejszość węgierską. O konflikcie nikt nie mówił. Ale już w Budapeszcie spotkało mnie coś dziwnego. Chciałem kupić miejscówkę do Cluj - nie było. Poinstruowany przez znajomych po godzinie wróciłem do kasy i poprosiłem o platzkartę do Kolozsvar - dostałem natychmiast. Na czym rzecz polegała, zrozumiałem jeszcze w pociągu. W dwie godziny po minięciu mostu na Cisie byliśmy na granicy węgiersko-rumuńskiej. Wcześniej poznałem już Bukareszt i Mołdawię, ale teraz, po przejechaniu granicznej stacji Episcopia Bihor odkryłem, że... ciągle jadę przez Węgry. Chybałem, rzecz jasna, to, co było najbardziej wewnętrznym odciskiem madziarskości tych terenów - zgoła odmienny od mołdawskiego czy wołoskiego porządek architektoniczny. Jak choćby te urocze wioski tulące się do niewielkich a masywne, wręcz obronnie wyglądających kościółków czy cerkiewek; miasteczka uporządkowane i zadbane, z wyrastającymi ponad niską zabudowę domostw zameczkami i fortyfikacjami.

Na zwiedzanie Cluj /Kolozsvar/ nie było czasu. Odłożyłem to na później. Gdy po 2 tygodniach brudny i wygłodzony zszedłem z gór, doznałem olśnienia: byłem w Europie! Jako że Rumunia nie stanowiła żadnej atrakcji handlowej, miałem więc tyle pieniędzy, by pozwolić sobie na hotelowy luksus /rumuńskie ceny na tego typu usługi są bardzo wysokie/. Budynek hotelu był mocno zaniedbany, ale mimo to zachował ślady swojej szesławieckiej urody. W recepcji przywitał mnie "Poranek" Griega, co przy południowym słońcu na zewnątrz, wobec wspomnienia górskich błot, było czymś rozkosznie ujmującym. Lecz za chwilę musiałem lekko posmutnieć, bowiem okazało się, że poza niemałą dewastacją, nowi zarządcy hotelu pomnożyli jego zasoby o wszechobecny, świdrujący zapach czosnku zmieszany ze smrodem środków odkażających, jak również - co okazało się najbardziej dokuczliwe - o tabuny pluskw. Ale samo Kolozsvar rekompensowało wszystko. Były tu właściwie

dwa miasta. Jedno nowe, pospiesznie rozbudowywane, składające się z ohydnych, głównie 4-piętrowych betonowych hangarów, postawionych byle jak i absolutnie bez smaku /nie narzekajmy na nasze nowe osiedla!/. Drugie stare, klarownie rozplanowane, wąskie uliczki, zarządane a wciąż piękne kamienice - przez chwilę poczułem się jak w starym Wrocławiu. Gdy wszedłem w cudowny chłód usytuowanej w centrum miasta katedry św. Michała, byłem w czymś dziwnie znajomym. Znałem już ten stan, doświadczałem go wielokrotnie. W Krakowie? We Wrocławiu? A może w Pradze lub Budapeszcie? Nie jest ważne gdzie - równie dobrze mogło mi się to przydarzyć w Wiedniu, Paryżu czy Kolonii. Ważne, że było to dokładnie to samo. Może to brzmieć jak nieco sentymentalne związanie ze sztubackiego nawiedzenia, ale wiem, że nikt, kto przynajmniej raz w życiu nie przeżył czegoś podobnego, nie pojmie, czym jest rzeczywiste powinowactwo, czym naprawdę jest idea Europy Środkowej. Że to nie żadna chytrze skalkulowana kombinacja polityczna, ale coś o wiele mocniejszego i trwalszego, choć niematerialnego.

Cluj /Kolozsvar/ jest miastem dwujęzycznym; i nic dziwnego - połowa jego mieszkańców to Węgrzy. To dawna /od końca wieku XVIII/ stolica Siedmiogrodu. Dziś, po serii ustaw ograniczających, węgierski obowiązuje już tylko na uniwersyteckiej hungaryście. Ale szaleńczy pomysł Geniusza Karpackiego dotyczy nie tylko sfery oficjalnej. W planie jest i sfera prywatna.

Wówczas, kilkanaście lat temu trudno było dostrzec symptomy mającego nadejść zaognienia kwestii narodowościowej. Sytuacja wyglądała na uspokojoną, koegzystancja - na trwałą i raczej harmonijną. W rozmowach Węgrów, z którymi przyszedło mi wracać do Budapesztu, było co najwyżej współczucie dla żyjących w o wiele trudniejszych warunkach pobratymców, lecz nic z przerażenia, jakie obserwować możemy obecnie.

Ale w trakcie tej podróży zdarzyło się coś jeszcze. Rumuński kolejarz zażądał od młodego Węgra dopłaty w lejach. Ten ich nie posiadał, a że chodziło o sumę niewielką, byłem w stanie go poratować. Siedzieliśmy na korytarzu wciśnięci między plecaki. Rozmowę zaczęliśmy normalnie - skąd i jak było. W którymś momencie pojawiła się mapa i Węgier mógł dać upust swoim tęsknotom. Zadziałał mit Wielkich Węgier, tych datujących się od czasów św. Stefana, kiedy to madziarski był cały Siedmiogród, Słowacja, Chorwacja, część dzisiejszej Serbii i Austrii, był również dostęp do Adriatyku. W obrębie zamasyście zakreślonego koliska znalazł się nie tylko Kolozsvar, ale także obecna Bratysława i Koszyce, Zagrzeb i Belgrad. Posypały się nazwy, oczywiście w brzmieniu bliższym sercu każdego Węgra: Nagyvarad /Oradea/, Gyulafehervar /Alba Iulia/, Marosvasarhely /Tirgu Mures/, Brassó /Braszów/, Segesvar /Sighisoara/, Nagyszeben /Sibiu/, Balazsfalva /Blai/, Temeşvar /Timisoara/, Nagybanya /Baia Mare/, Szatmar /Satu Mare/ ... Węgier wypowiadał te nazwy z namaszczeniem godnym modlitwy. Bo też nie były to nazwy zwykłe, lecz rodzaj formuł magicznych, których wymówienie miało spowodować cudowną odmianę - przemienić tęskne marzenia w rzeczywistość. Rzecz jasna, ani mogłem, ani chciałem pozostać gorszy. Nie musiałem niczego na poczekaniu wymyślać. Również my mamy swój mit mocarstwowy, mit Wielkiej Polski. I dziś dziękuję Bogu, że mapa się skończyła i nie byłem w stanie pojechać palcem na wschód tak daleko, jak to podpowiadały pobudzone emocje. A więc i granicy śmieszności nie przekroczyłem.

Obydwa mleliśmy nie więcej niż po 20 lat. Z dzisiejszej perspektywy widzę jasno, jak bardzo - dla kogoś patrzącego z boku - taka zabawa w czułe wodzenie palcem po dawnych granicach mogła być odstręczająca; razić mogła tanią sentymentalnością i nieładnym anachronizmem. Ale choć w tym licytowaniu się własną wielkością nie miało nakreślonego, przydając swoim narodom znaczenie, jakiego zapewne nigdy w historii nie posiadały, to przecież nie sposób odmówić nam szczerości i uczciwości. Myliliśmy fakty, ale nie kłamaliśmy sobie. Na pozór taka mocarstwowa zabawa nie była czymś radosnym. Ale tak naprawdę dawaliśmy upust własnym żalom, wylewaliśmy całą właściwą naszym nacjom gorycz. Węgrzy wciąż przeżywają traktat w Trianon, który uczynił z ich wielkiego królestwa mały, zewsząd ciśnięty i nijakomy kraik. My nie potrafimy zapomnieć o Jańcie, po której nie dość że wyszliśmy okaleczeni terytorialnie, to również osiodłani, oddani w pacht obcej i wrogiej nam siły, popchnięci w kierunku najbardziej niechcianym, przesunięci na wschód, podczas gdy dotychczas stale byliśmy jeśli nie na zachodzie, to przynajmniej w środku. To nie brak słów kazał nam nie poruszać problemów obolałej duszy - w takich chwilach słowa same się znajdują. Wybraliśmy miraż, dawno odeszłe, trwale nieaktualne; wybraliśmy pocieszenie,

ziude potrafiąc pohamować gniew i złagodzić dokuczliwość frustracji. Jeśli młodość ma jakiegokolwiek przywileje, to takie wymijające radzenie sobie z niechcianą rzeczywistością nie powinno być niczym nagannym. Co innego wiek dojrzały. W nim każda ziuda okazać się może zbyt kosztowna. Że wśród dorosłych wciąż niemało takich, którzy sami siebie zwodzą i w gruncie rzeczy lubią być zwodzeni przez innych, to jeszcze nie powód, byśmy rezygnowali z wysiłku i wszyscy zasypiali na miękkiej poduszce urojeń.

3.

By nie cofać się zbyt daleko, spójrzmy na sytuację narodowościową Transylwarii w stuleciu XV. Kolonizacja madziarska objęła głównie centralną część Wyżyny Siedmiogrodzkiej /w trójkącie Arad - Cluj - Sibiu/. Poniżej rozlokowali się Sasi, sprowadzeni tu w średniowieczu w ramach popieranego przez węgierskich panujących osadnictwa niemieckiego. Ta madziarsko-germańska społeczność stanowiła rodzaj wyspy oblanej zewsząd tubylczą ludnością wołoską.

Po klęsce pod Mohaczem /1526/, po której przeszło 2/3 terytorium Królestwa Węgierskiego przeszło pod panowanie Turków, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Niewielka część upadłego królestwa związała się unią z Habsburgami, natomiast Siedmiogród, posiadający status niezależnego księstwa, stał się od tej chwili głównym ośrodkiem węgierskiego życia narodowego. Klęska spowodowała dodatkowo napływ Madziarów. Jako nacja pod każdym względem wyżej stojąca, Węgrzy na kilka stuleci zdobyli bezsporną przewagę nad ludnością autochtoniczną, przewagę tak kulturalną, jak i polityczną oraz gospodarczą. W pierwszej połowie XVII stulecia, za panowania Gabora Bethlena i Jerzego Rakoczego I, Księstwo Siedmiogrodzkie przeżyło swój złoty wiek. Tu skupiły się patriotyczne dążności mające na celu zjednoczenie politycznie rozbitego Królestwa, wyzwolenie poszczególnych jego części spod tureckiego i austriackiego panowania. Wprawdzie nadzieje te szybko upadły, bowiem już za panowania Jerzego Rakoczego II obserwujemy dogorywanie księstwa, ale pamięć tego okresu pozostała. Co pozwala zrozumieć dzisiejsze szczególne przywiązanie Węgrów do tych terenów.

Jest faktem, że w XVI-XVII wieku Siedmiogród zdołał wypracować własną formę niepodległości. Tu najbardziej rozwinęło się mieszczaństwo, a cywilizację mieszczańską wzmacniało wolne chłopstwo oraz szlachta zagrodowa - warstwy już nieznanne w innych prowincjach. Nie bez pewnej goryczy pisze Peter Kende w "Rozważaniach o historii Węgier", że "Siedmiogród mógłby zapewne stać się drugą Szwajcarią, gdyby jego losy nie skazywały go na łączność z węgierską macierzą i, co ważniejsze, gdyby trzy mieszkające tam narody - Seklerzy-Węgrzy, Sasi i Rumuni - nie różniły się tak kulturalnie i nie żywiły wskutek tego do siebie wzajem tak zacieklej niechęci". To prawda. Lecz to jeszcze nie wszystko. Bo nie jest tak, że narodowości budujące szwajcarską federację nie różniły się między sobą, nie wchodziły wzajemnie w konflikty i nie ciążyły każda do swoich macierzy. Specyficzna, sprzyjająca federacji geograficzna rzeźba terenu też wyjaśnia niewiele - jak Alpy i Ren Szwajcarii, tak Cisa i Łuk karpacki wspomagać mogły federację siedmiogrodzką. Że nie wspomogły, o tym zadecydowały warunki, rzecz można, systemowe: Szwajcaria była na Zachodzie, należała do systemu europejskiego; Siedmiogród zaliczono do Wschodu, znalazł się więc poza systemem. Co było realne i wykonalne w jednym miejscu, w innym było praktycznie wykluczone, graniczyłoby z cudem.

Rozjaśniając tę myśl, wypada przypomnieć starą, brzemionną w skutki i - jak się zdaje - nie do końca jeszcze zarzuconą, pewną ideę polityczną świata zachodniego. Ideę praktykowaną z dawien dawna, a w określonym momencie historii ujętą w formę prawa. Otóż za panowania Ludwika XIV Francja była państwem szalenie ekspanywnym, poszukiwała nabytków terytorialnych na wszystkich możliwych kierunkach. Również belgijskim i niderlandzkim /co dziś wielu wydawać się może wręcz nieprawdopodobne/. Liczne wojny były i krwawe, i niesłychanie kosztowne. Uniknąć ofiar i nadmiernych kosztów można było tworząc trwały system wzajemnych stosunków, oparty na ogólnie przyjętych zasadach, gwarantujący równowagę sił, a zarazem respektujący interesy poszczególnych organizmów państwowych wchodzących w jego skład. Po rozlicznych sojuszniczych woltach udało się wreszcie zmontować przeciwko Ludwikowi XIV wspólną koalicję, w skład której wchodziły dwie grupy państw, różniących się tak strukturami społecznymi, jak i tradycją: grupa austriacko-hispańska i druga - angielsko-holenderska. Ta ostatnia za swój cel nadrzędny uznawała obronę państw małych i słabych przed imperialnymi zapędami wielkich potęg.

Ale w tym samym czasie Austria, której udział w koalicji uważano za niezbędny, zajęta była właśnie podbojem Węgier, kraju okrojonego i osłabionego - tam prezentowała swoje rzeczywiste intencje.

Kłeska pod Mohaczem podzieliła Madziarów terytorialnie, ale również politycznie. Na długie dziesięciolecie węgierska myśl polityczna rozlażała się na dwie orientacje: proustriacką i proturecką. Turcy byli zachwanniejsi i prymitywniejsi, ale szanowali cudzą wiarę i respektowali przyznaną podbitym autonomię wewnętrzną. Austriacy byli przedsiębiorczy i uporządkowani, sprzyjali rozwojowi, ale byli bezwzględni w swoich zapędach germanizacyjnych, na siłę odciągali protestanckich Węgrów od ich "niesłusznej" wiary. Wybierać można było między "niemieckim kłamstwem" a "turecką trucizną". Wybór miał więc posmak aktu samobójczego. Z chwilą osiabnięcia Księstwa Siedmiogrodzkiego Austriacy weszli doń ze swoimi rządami. Rozpoczął się czas "panowania grozy". Liczne powstania tłumiono wyjątkowo krwawo. Szczyt tyranii i terroru przypadł na okres panowania Leopolda I. Doszło nawet do tego, że większość Węgrów przeszła do obozu protureckiego. Co my nazywamy wiedeńską wiktoria, dla Węgrów oznaczało kolejną klęskę. Teraz Habsburgowie mieli całkowicie wolną rękę. A że z okresu długotrwałych walk wyciągnęli pewne wnioski, uznali, że na rebeliancką i niespokojną naturę Węgrów nie ma sposobu innego, jak tylko przymusowe a całkowite zniemczenie. Poddających się zabiegom należało nagiąć i przykroić; opornych - najzwyczajniej złamać lub zlikwidować.

Chyba nie ma potrzeby kreślenia tu scen mrozących krew w żyłach. A że było ich dużo, o tym przekonuje moralna wątpliwość, jaka zrodziła się i została głośno wyartykułowana na dworze Wilhelma Orańskiego. Napatrzwszy się do syta na scenę prostowania rozwichrzonej duszy madziarskiej, dyplomaci zachodni musieli zadać sobie pytanie: czy tak postępująca z Węgrami Austria może być użyteczną w koalicji powstałej dla obrony państw małych i słabych? Po niejakich kontrowersjach udzielono w końcu odpowiedzi następującej: sprawy węgierskie są wewnętrznymi sprawami monarchii Habsburgów i w niczym nie podważają koalicyjnych pryncypiów. Na tej podstawie ówczesny minister wojny, a późniejszy minister spraw zagranicznych Anglii, lord Henry Bolingbroke sformułował pewną zasadę ogólną, mającą w przyszłości działać na wzór prawa naukowego, a głoszącą, że poszczególne zagadnienia posiadają różną wagę w zależności od tego, czy dotyczą zachodniej, czy wschodniej Europy. Tzw. europejski system polityczny odnosi się jedynie do zachodu i tylko te sprawy, które mogłyby mu w jakikolwiek sposób zagrozić, są rzeczywiście ważne. Stąd bez znaczenia byłaby nawet całkowita eksterminacja Węgrów, a naprawdę istotny - choćby niewielki zatarg o któreś z miast we Flandrii.

Nie ufajmy zbyt wiele wiedzy geograficznej wyniesionej ze szkoły. Bodaj nigdy nie było jednej Europy. Ta pokazywana nam przez nauczycieli jest czystą konwencją. Ta wychwalana przez humanistów, wynosząca pod niebiosa sens i znaczenie kultury zwanej łacińską, to miłe mówienie ludzi prawych acz niezbyt przebiegłych politycznie. W rzeczywistych rachunkach liczy się ta do Łaby, którą Europą zwać można bez żadnych dodatkowych zastrzeżeń, i ta rozciągająca się na wschód od Łaby obejmująca wprawdzie obszar niejednorodny, z czego większość doskonale zdaje sobie sprawę, ale traktowany jako jedność ze względu na odmienną /niższą/ wagę i sposób wykorzystywanie dziejących się w niej spraw. Ileż naiwnej dowolności jest w naszym przeświadczeniu, że to na Bugu coś się kończy, a zaczyna coś zupełnie innego. Przynajmniej siebie nie oszukujemy. Prawo Bolingbroke'a jasno określa rzeczywistą granicę - znajdujące się poza nią obszary i zamieszkujące je nacje mogą być tymi, którymi się gra na rzecz systemu, lecz nigdy nie były i nie są /czy nie będą?/ tymi, które w systemie grają. Bez tego uściślenia zbyt wiele faktów z historii, tej zupełnie nieodległej i tej dawniejszej, wydawać się może niepojętymi, wręcz absurdalnymi. Dlaczego zładą być pomysły federacji siedmiogrodzkiej? Dlaczego nasze rozbiory? Dlaczego tragiczny los Węgrów? A również - Trianon, Locarno, Monachium, Jajta. Wreszcie drobne a ulubione przez mnie zdarzenie: dobrowolne wyjście Sowieców z Wiednia /okupowanego do roku 1955/. A przecież stąd do Budapesztu zaledwie 80 kilometrów, tyle... że na wschód.

Nie chcę być osądzony o fatalizm. Nie twierdzę, że na naszym kontynencie są takie miejsca i takie nacje, które muszą spaść się w bezustannej szarpaninie, jakby nie starczyło im dobrej woli i rozsądku, by sprawy trudne i bolesne zaogrodzić, ułożyć w jakimś ogólnie akceptowanym porządku. Jak ma się to z ludzką inteligencją, która przecież w miarę sprawiedliwie została rozdzielona, podobnie jest z tęsknotą za ładem i spokojem. Kto mawia wybranym narodowościom jakąś szczególną skłonność do agresywności czy anarchii, ten

nie je obraża posadzeniem o głupotę, ale sam brakiem rozsądku się popisuje. Że marzenia niektórych wypaczają się ponad miarę, że dochodzi do erupcji zachowań niechcianych, do mylenia porządku z dominacją własnej nacji, a spokoju z terrorem i uciskiem innych czy też tylko stojących, to najczęściej wynik okoliczności zewnętrznych, a nie przypadłości "charakteru narodowego". Przykładów zbrodni, zbiorowych szaleństw znajdziemy dostateczną ilość w każdym miejscu Europy, bez wyjątków. Ale jednocześnie bez trudu wyodrębnimy w niej taki obszar, na którym te zjawiska nie tylko chciano, ale i potrafiąno wyhamować - to obszar należący do systemu europejskiego. Gdzie indziej się to nie udało. Choć wcale nie brakowało tam /i nie brakowało nadal/ ludzi chcących i, być może, potrafiących. Taki jest koszt bycia poza systemem, bycia ziemią niczyją. To nie przypadek, że Polacy, Ukraińcy, Czesi, Słowacy, Węgrzy, Rumuni, Serbowie czy Chorwaci pod dostatkiem mieli tylko klęsk i upokorzeń, zaś zwycięstw i sukcesów jak na lekarstwo, a i te zazwyczaj zaprawione goryczą czy też takie, z których większość zysków spijali inni, systemowi lub tylko silniejsi. Ten stan nieuchronnie wypacza społeczną mentalność. Zaraża ją rozpaczą, w chwilach stanowczych sprzyja nienaturalnemu pośpiechowi i nierozwadze. Czy tak być musi? W końcu w Europie nie brak narodów mniejszych i słabszych, a jednak wolnych od tego typu doświadczeń i wiązków byc z nimi wynaturzeń. Tylko t a m jest to możliwe? Jestem przekonany, że t u również. Złe wcale być tu nie musi, dobre lub choćby lepsze być tu może, ale - i o to głównie mi chodzi - tu jest to kosztowniejsze i trudniejsze.

4.

Po klęsce Turków pod Wiedniem Habsburgowie szybko przejęli kontrolę nad niemal całym terytorium dawnego Królestwa Węgier. Na wyniszczone wojną tereny potureckie przybywać zaczęli Madziarzy z północy i Siedmiogrodu. Ale nie tylko oni - ruch objął również chłopów słowackich i rumuńskich. Z kolei dwór, pragnąc zrównoważyć naturalną migrację wewnętrzną, popierał zaczął kolonizację zewnętrzną. W ten to sposób na obszarach południowych Węgier, w Baczce i Banacie pojawiła się liczna grupa niemiecka. Utworzono też tzw. Pograniczne Wojskowe, na którym osiedlano głównie napływających spod okupacji tureckiej Serbów. Miało to na celu nie tylko ochronę terenów przygranicznych, ale również przeciwdziałanie ewentualnym węgierskim ruchom niepodległościowym. Te procesy kolonizacyjne spowodowały znaczne zmiany na etnograficznej mapie Węgier.

W Siedmiogrodzie cywilizacyjna wyższość Madziarów dotychczas gwarantowana im pełnią władzy politycznej i ekonomicznej. Przeprowadzony w latach 60-tych XVIII wieku spis wykazał, że w Transylwanii jest 66% Rumunów, 22% Węgrów i blisko z nimi spokrewnionych Seklerów oraz 12% Sasów. Konflikt wisiał więc w powietrzu. Dlatego już od początku wieku zabiegano o zbliżenie trzech nacji mniejszościowych - Węgrów, Seklerów i Sasów. Unia, do której doszło, nie obejmowała Rumunów, którzy pozbawieni praw politycznych byli narodowością zaledwie tolerowaną. Pomisy "argumenty" propagandowe, sugerujące, że Rumuni większości wcale tu nie stanowili, że na dodatek byli tak zapóźnieni kulturowo i cywilizacyjnie, iż ich udział w rządzeniu był praktycznie wykluczony. Te "argumenty" spotkać możemy i dziś jeszcze. Lecz dziś ohyba już tylko w funkcji pocieszającej-rozgrzeszającej. Wielość sfer, których dotykała polityka warstw posiadająco-pańujących, powodowała rozlanie sprzeczności i ich szybkie zaognienie. Obudziła i przyspieszyła dojrzwienie Rumunów. Pojawiły się żądania równouprawnienia politycznego, religijnego i językowego. Już w schyłku wieku XVIII rozpoczęła się walka o te prawa, która wobec nieustępliwości Węgrów przerodzić się musiała w trwały i coraz bardziej zjadły konflikt.

Ten moment jest zbyt ważny, by kwitować go upraszczającymi ocenami. A o te, jak zwykle, najłatwiej. Węgrzy zgrzeszyli ciężko - zaniedbaniami i nieustępliwością; "grzech" Rumunów jest lżejszy - cierpieli z powodu swego zapóźnienia. Tyle od biedy jeszcze można stolerować, ale oceny idące dalej są już klasycznym nadużyciem. W tym sporze nie sposób brać strony, bo to zamiast cokolwiek wyjaśniać, tylko sprawy zaciemnia. Być może gdzie indziej pochwała bezstronności jest łatwą manifestacją opcji na rzecz żadnego i wzniesłego konceptu, u nas - z czego należy zdawać sobie sprawę - jest zalecaniem sporego wysiłku, wysiłku koniecznego, nie tylko dlatego, że doprowadzającego do wyboru żadnego i wzniesłego, ale również pozwalającego przewyciętać własne ograniczenia i umożliwiającego samopoznanie. Nadmiar klęsk i goryczy zrobił swoje. Nie tylko my w Polsce myślimy odruchami, nerwami, resentymentami, a dokładniej - w zbyt wielu przypadkach

powalamy, by coś myślało za nas. I jest rzeźnią wstydlivą, że nasco sprawy
rzetelnie rozważać mogą tylko lmi.

Nie odbiegiam od tematu. Jedynie zaś ai się na amercian, sprawę nakłócić
W końcu spór o Siedmiogród nie jest jakymś w swoim rodzaju. Nie szukając daleko
- choćby w i Ukrainy. Jakis czas temu dotarła do mnie książka Daniela Csarvóczy
"Polacy na Ukrainie 1831-1893" /Paryż 1967/. Książka wspaniała, a jednocześnie
dla Polaka nieco drażniąca. Wszystko, co w niej dotyczy wieku XIX, a więc okresu
w dziejach stosunków polsko-ukraińskich burliw. Co, momentami bolesnego i krumwo-
go, bez większych oporów zyskuje naszą akceptację. W surowości ferowanych ocen
osobiście skłonny byłbym pójść nawet krok dalej. Jeszcze bardziej docinając
polskość. Tylko pozornie wyglądać to może na paradoks. Standardy wieku XIX
nie są aż tak odległe, byśmy ówczesne nasze ewidentne przewiny i zaniedbania
ponylić mogli z czymś mniej wstydlivym i ubierali w klajstrujące eufemizmy.
W pracy francuskiego historyka drażnić mogą opinie dotyczące czasów wcześniejszych
niż XIX stulecie, wprowadzić czasów dla Ukrainy niespokojnych, ale przecież
wolnych od rozbuchanych sporów i walk na tle etnicznym. W tym to okresie autor
doszukuje się przyczyn późniejszego ostrego konfliktu i sugeruje, że dawało
się go unikać, gdyby Polacy potrafili być lepsi, mądrzejsi, bardziej przewidują-
cy, gdyby - krótko mówiąc - na czas zmienili panujące tu stosunki społeczno-
ekonomiczne na takie, jakich... ówczesnie nie było jeszcze w żadnym innym kraju
europejskim /co najwyższej rodziły się dopiero w głowach niepoprawnych marzycieli/.
Nie wątpię, że ten "zarzut" podyktowała sympatia dla Polski i Polaków. I że
mniej w nim przygany, niż pochwały polskiego ducha: bo od ducha wielkiego wymagać
można i należy czynów wielkich. Ale takie wyznaczenie złożeń można w postaci zupełnie
innej, nie mieszając osobistych nastawień z tzw. historyczną rzetelnością,
niekoniecznie mieszając dziś z wczoraj i myśląc standardy.

Kluczowy w dziejach stosunków węgiersko-rumuńskich moment przypaść, podobnie
jak nasz z Ukrainą, na początek wieku XIX. Układ został źle pomysłany. Wykluczając
z udziału w rządzeniu rumuńską większość, trwał mógł tylko w oparciu o siłę
i przemoc. I tak trwał, co wśród dyskryminowanych rodziło i potęgowało buntownicze
odruchy, a te z kolei kazały zagrożonej w swym posiadaniu władzy sięgać po
nowe, rozleglejsze i mocniejsze środki represji. Błędne koło: ucisk rodzi bunt,
większy ucisk zwiększa bunt i tak bez końca. W jakiejś chwili ten wzmagający
się absurd należało przerwać. Czy jednak w sytuacji Siedmiogrodu było to możliwe?

Spójrzmy na monarchię Habsburgów - mała niemiecka głowa i ogromny niegermański
korpus. Złepok nacji, na których utrzymanie w ryzach centrum nie miało wystarczają-
cych zasobów ludzkich. Przy tendencjach absolutystycznych długotrwałe kokietowa-
nie wielu, na dodatek wzajemnie zwaśnionych, nie wchodziło w rachubę. Pozostawała
stara, sprawdzona metoda: divide et impera. Wybierając spośród poddanych sobie
narodowości te lepsze /Węgrów i w mniejszym stopniu Czechów/, za cenę przyznania
im pewnej autonomii i korzystniejszego usytuowania w systemie zobowiązań wobec
monarchii - można było je uczynić strażnikami nacji "gorszych" i gorzej usytu-
nych.

Jednak pamiętać wypada o istnieniu swoistej mentalności, którą nazwać by
można mentalnością kresową. Rodzi się ona na styku, na obrzeżach, w sytuacjach
zmieszania i w przeciwieństwie do mentalności dominującej w dużych, zwartych,
jednorodnych skupiskach danej nacji, nieskora jest do zachowań i działań radykal-
nych, jest bardziej realistyczna, powściągliwa i ostrożniejsza. I trudno ją
przerobić na modłę strażniczą, twardą i srogą. Wśród Węgrów, jak się zdaje,
mentalności kresowej brakować nie powinno. Przynajmniej w Siedmiogrodzie nie
brakowało, o czym świadczą silne w tej prowincji tendencje separastyczne i
federacyjne. Stałe ocieranie się o Niemców, Rumunów, Czechów, Słowaków, Rusinów,
Serbów, Chorwatów oswajało z innością, wyrabiało też skłonność do kompromisów.
I właśnie z tym w pierwszym rządzie musieli sobie Habsburgowie poradzić. Wybrali
i wynieśli Węgrów jako naród najbardziej dojrzały i, co chyba ważniejsze, "rasowo
obcy" w słowiańskim otoczeniu. Ale samo wyniesienie okazać się mogło niezbyt
skuteczne, nawet niebezpieczne, bo mogło spotęgować tendencje wywołane.
Należało więc, zrezygnując na boku konfliktowe paściki, wnieść wnieść
budzących nacji "gorszych", osłabić Węgrów mirażem wielkości, potęgi i znaczenia.
A że Wielkie Węgry były przeszłością wciąż żywa, wystarczyło się do tego chwytka-
go mitu odwołać. Austria, państwo należące do systemu europejskiego, mające
jego patronatem, tu, w Europie Środkowej grała swoją grę, grała innymi, z "swo-
ego

działstw patronatu nie mającymi prawa korzystać; grała wedle ad hoc wymyślonych reguł, które na zachód od Łaby były absolutnie nie do przyjęcia i których użycie tam groziło ostracyzmem, ale które tu były jak najbardziej dozwolone. To przypomnienie jest konieczne, by wszystko, co przyjdzie dalej powiedzieć o prowadzonej przez Węgrów polityce, widzieć we właściwych proporcjach i z konieczną poprawką na podczerniający całość obrazu sytuacyjny kontekst. Co jednak nie oznacza, że co specyficznie węgierskie, należy Węgom wyrozumiale i usprawiedliwiająco odejmować.

5.

"Jakkolwiek państwowotwórcze zdolności Węgrów - pisze cytowany już Peter Kende - były dla nich zbawienne w XI czy nawet XV stuleciu, mit szczególnych przeznaczeń okazał się niezwykle szkodliwy w XIX wieku, kiedy wszystko sprzyjało przekształcaniu się wschodnioeuropejskich ludów w narody. Zbyt uparcie podtrzymywany mit /trochę donkiszoteria, zważywszy, że Królestwo Węgierskie trzymali na sznurku Habsburgowie/ był jednym z głównych czynników separujących Węgrów na stałe od sąsiadów, Słowian i nie-Słowian, choć powinni byli szukać wspólnego modus vivendi, uznając prawo innych do równości. Anachronizm i sentymentalne przywiązanie do granic z czasów króla św. Stefana nie pozwalały im zrozumieć, że ze względu na skład etniczny południowo-wschodniej Europy Węgry mogłyby znaleźć przestrzeń życiową i wolność jedynie we współpracy ludów naddunajskich - w federacji małych ludów, zdolnej do życia gospodarczo i dostatecznie silnej politycznie, aby mogła ochronić swoją niepodległość od zakusów potężniejszych mocarstw. Wymagałoby to jednak przyjaznej postawy wobec Słowian i Rumunów." Nie jest jednak tak, że z tej konieczności w wieku XIX sprawy sobie nie zdawano. Lecz wszelkie próby kończyły się niepowodzeniami. Obojętność czy wręcz opór sąsiadów niewątpliwie miały w tym swój niemały udział. Ale pamiętając o szczególnej pozycji Węgrów w monarchii i o ich kulturowo-politycznym zaawansowaniu, stwierdzić należy, że definitywne pogrzebanie szans na porozumienie nastąpiło z ich winy - bo ani chcieli, ani potrafili zerwać z ideą narodowej wyższości.

Swoją znakomitą zbiór szkiców "Węgry i dookoła Węgier" Marian Dziedzowski opatrzył następującym motto: "Mniej mnie obchodzi, czym byliśmy, niż to, czym będziemy; nad przeszłością władzy nie mamy, przyszłość zaś leży w naszych rękach. Wielu sądzi, że Węgry już były, ja twierdzę, że one jeszcze będą." Ta myśl wyjęta została z książki "Hitel" /"Kredyt", 1830/, której autorem był Istvan Szechenyi, w historii Madziarów postać wielka i tragiczna zarazem, której los pod pewnymi względami przypomina dramata Aleksandra Wielopolskiego. Z jedną z zasadniczą wszelako różnicą: nasz margrabia, będąc przeświadczonym, że dla Polaków zrobić można wiele, lecz z Polakami nic, uparcie szedł przeciw powszechnej woli rodaków, a że przez czas pewien dysponował niemałą władzą - z zarozumiałstwa i pychy ustanowił polski rekord arogancji; Szechenyi również szedł pod prąd "świętych" odczuć swojego narodu, ale nigdy nie przestąpił granicy oddzielającej pożądane i płodne, choć niekiedy bolesne prowokowanie od uszczęśliwiania na siłę, tak często ocierającego się o zbrodnie, nagannego nie przez intencje pomysłodawcy, lecz z powodu niefortunnego wyboru metod. Szechenyi występował przeciwko tym, "którzy nienawidzą do rządu za miarę patriotyzmu mają, wciąż kłesząc pod Mohaczem opłakują i zamiast iść naprzód, wstecz poza siebie patrzą". Pouczał i ganił, również sztychł i obrażał, bo przecież nie inaczej jak obrazę odbierać musiano manifestowaną przez niego pogardę dla przeszłości i wyśmiewanie bólu narodu. ale Szechenyi nigdy nie postąpił dalej, słuszności swych racji nie próbował dowodzić siłą. Poza wszystkim innym byłoby to... nieestetyczne. A estetyka potrafi być moralnością i skutecznym hamulcem dla szaleństwa.

Trudno mieć pretensje do społeczeństwa, że szło podług uczuć i chcenia. To normalne, że Węgrzy pragnęli być na powrót narodem wielkim, odzyskać dawne znaczenie. Zadaniem polityków było ukrócić te mocarstwowe zachcianki, przykroć je do wymogów zmienionej sytuacji, odrzucić idee przebrzmiałe i już nieaktualne, a poprzestać na mniejszym, za to możliwym do osiągnięcia i, co ważniejsze, również dającym wolność - należało pracować na rzecz pomysłu federacji naddunajskiej. Ale politycy węgierscy potrafili społeczeństwu tylko schlebiać. Mit Wielkich Węgier ożywił tendencje centralistyczne i rozbuchał madziaryzacyjne skłonności. Na efekty nie trzeba było czekać długo. Przebudzenie Serbów, Chorwaków, Słowaków i Rumunów ułatwiało Metternichowi granie istniejącymi konfliktami - spierający się placiki, dwór zagarniał zyski. W samym Siedmiogrodzie rychło doszło do rozbicia habsburskiej węgiersko-saskiej - raz za sprawą nieprzejednanego stanowiska Madziarów w kwestii zjednoczenia tej prowincji z Koroną Węgierską;

dwa - w wyniku sporu na tle językowym. W przeciwieństwie do Niemców, rozproszonych i przynajmniej w wyższych swoich warstwach szybko się madziaryzujących, Sasi byli zwerca i nieskorzy do rezygnowania z autonomii i przywilejów. Za zgodą rządu austriackiego złamano ich opór na sejmie siedmiogrodzkim 1846-47, na którym węgierski uznano językiem oficjalnym. W niedługi czas po tym /18 lipca 1848/ podjęto również uchwałę zjednoczeniową.

Węgrzy - oraz bardziej wiktali się w zastawioną przez Habsburgów pułapkę. Było jasne, że jawna walka o niepodległość doprowadzi ich do konfliktu z dynastią, a tego przynajmniej tymczasem chcieli uniknąć; z kolei ta furtka, która im pozostawiono lekko uchylona, a więc zabieganie o narodowy, madziarski charakter państwa wywoływało konflikty z niemadziarskimi narodowościami, w efekcie - groziło rozbięciem państwa od wewnątrz. Te dwa dylematy spętały węgierską myśl polityczną na okres kilku następnych pokoleń. W znacznej mierze wpłynęły też na społeczne oblicze węgierskiego ruchu narodowego. Uwstecznierze warstwy politycznie dominującej widać wyraźnie choćby w podszytych nacjonalizmem programie liberaków. I tak zdaniem Kossutha przeciwko Węgom sprzyśnięli się trzej wrogowie: rodzima i obca reakcja, bo pragnie powrotu dawnego porządku; rząd wiedeński, bo chce dysponować madziarskim skarbem i wojskiem; wreszcie Słowianie, bo chcą dla siebie monarchii słowiańskiej. Jako sposób na wyrwanie narodu z marazmu i stępienia, operowanie nacjonalistycznymi hasłami jest metodą sprawdzoną i skuteczną, stosunkowo najszybciej dającą spektakularne efekty. Lecz jest metodą krótkowzroczą, sprzyjającą społecznemu rozedrgananiu i nadpobudliwości, zachowaniem granicznym i arealistycznym, nad którym po pewnym czasie nikt już nie jest w stanie zapanować. Szechenyi zwracał uwagę Kossuthowi, że aktywność wyrastająca ze znużenia rozgorączkowanej wyobraźni to nie żadna wielka, mądra polityka, mająca naród odrodzić, lecz budowanie "wielkiego narodowego domu wariatów".

Alc budźmy sprawiedliwi; nie udawajmy, że istnieją narody wolne od słabości, słrzywień czy dziwactw. Jak w odniesieniu do jednostek psychiatria, tak wobec wielkich grup ludzkich socjologia posługują się tylko konwencjonalnym pojęciem zdrowia. Nacje dumne i zarozumiałe, a takich na naszym kontynencie jest kilka, wiecznie stawiające sobie innym za wzór, żyją złudzeniem własnej tężyny i doskonałej odporności, gdy w rzeczywistości i one posiadają swoje punkty słabe, miejsca drażliwe, tematy niebezpiecznie podbijające społeczne rozgorączkowanie. Nie w specyficznych wariactwach narodów tkwi więc źródło potencjalnych tragedii, lecz w nieobliczalnych zachowaniach ludzi wpływowych, polityków, którzy grając niewprawnie a bez umiaru, szarpia i kłują miejsca wymagające delikatności wyjątkowej, burzą napiętą i utrzymywaną z niemałym wysiłkiem równowagę społecznego systemu nerwowego, spychają narody poza rozsądek, w sferę szału i hysterii. Dlatego, uprzedzając zdarzenia, o dzisiejszej sytuacji w Siedmiogrodzie rzec można, że choć posiada ona swoje ważne historyczne podłoże, to przede wszystkim jest wynikiem szaleńczych działań człowieka ze wszelkich miar nieodpowiedzialnego, z którego pohamowaniem - jak to obserwujemy - mogący to uczynić wcale się nie kwapią. Wszyscy taktycznie a nieaktownie milczą, z zaciekawieniem czekają na rozwój wydarzeń, jakby nie o wstępny akt mającej się tu dokonać zbrodni chodziło, lecz o przedstawienie jakiegoś.

Po dokonaniu w lipcu 1848 unii Siedmiogrodu z Węgrami stosunki Madziarów z sąsiadami uległy gwałtownemu pogorszeniu. Następane miesiące pokazały, jak zgubna była zastosowana przez rząd Batthyanyego polityka represji. Gdy we wrześniu wybuchła wojna węgiersko-chorwacka, wojna będąca początkiem wielkiego powstania na Węgrzech, większość niemadziarskich narodowości znalazła się w chociaż reakcji. A dokładniej - została tam uwięziona. Rumuni i Sasi, Serbowie i Słowacy stanęli po stronie monarchii - do Wiednia przyciągali ich obietnice i manipulacje dworskiej kamaryli; od Budapesztu odpychały nieuważliwość i madziaryzacyjne zapędy węgierskich liberaków.

Te wydarzenia, i to należy do naszej dobrej tradycji, Polacy obserwowali bardzo uważnie. Dotychczas w przypadku konfliktów Węgrów ze Słowianami demokraci orientowali się raczej na tych ostatnich. Ale z chwilą zaostrożenia antagonizmu węgiersko-austriackiego, zaszła konieczność zasadniczej korekty kierunku działań. Madziarzy byli ważnym sojusznikiem sprawy polskiej, należało więc z nimi współpracować, starając się przy tym jedynie o to, by na ile było to możliwe nie wchodzić w starcia z pobratymcami. Nieco inny kierunek obrali politycy galicyjscy, którzy pod wpływem austrosławizmu skłaniali się raczej do współpracy ze Słowianami, jednak usiłując przy okazji łagodzić sprzeczności słowiańsko-węgierskie. Z

kolei Hotel Lambert wahał się między tymi dwoma skrajnościami. "Nieustannie dążył - pisze Jerzy Skowronek w "Sprzymierzonych narodów bałkańskich" - do kompromisu słowiańsko-węgierskiego, a w 1848 chwilami pod wpływem partnerów galicyjskich gotów był akceptować współpracę polsko-słowiańską na płaszczyźnie austrosławizmu. Jednakże od schyłku 1848, gdy zbrojna walka austro-węgierska stanowią praktycznie jedyną szansę Wiosny Ludów, coraz mocniej współpracował z Węgrami" Ale od tych orientacyjnych podziałów stokroć ważniejszy jest sam fakt zaangażowania - nie niemota i bierne statystowanie, ale aktywny udział w tym, co i nas dotyczyło. I dotyczy nadal.

Pod koniec roku 1848 sprawą najważniejszą było przerwanie bezwzględnych krwawych walk rumuńsko-węgierskich w Siedmiogrodzie i Banacie. Tu schroniła się spora część przywódców stłumionego przez Rcoşan i Turków powstania wołoskiego. Porozumienie z nimi i przeciągnięcie ich na stronę węgierską mogło przybliżyć analogiczne pojednanie Madziarów ze Słowianami. Sprzyjała temu polityka dowodzącego tu powstańcami wojskami Bema, który ogłaszając pełną amnestię i dobrze traktując miejscową ludność znacznie osłabił tutejsze antagonizmy narodowościowe. Efektem tego był napływ Rumunów do jego oddziałów, jak również wielka wśród nich popularność polskiego wodza /uważano go nawet za kandydata na władcę rumuńskiego/. Korzystając z przychylniej koniunktury agencji Hotelu Lambert wysunęli projekt stworzenia na Węgrzech legionu rumuńskiego, który mógłby urealnić pomysł politycznego porozumienia węgiersko-rumuńskiego. Chwilowo skończyło się na niczym. "Władze węgierskie skłoniły przywódców rewolucji wołoskiej do opuszczenia Siedmiogrodu, a rząd z Kossuthem na czele nadal uchylał się od przyjęcia polskich sugestii, popieranym przez tymczasowego wodza armii węgierskiej gen. Henryka Dembińskiego."

W maju 1849 politycy polscy podjęli kolejną próbę załagodzenia konfliktów węgiersko-słowiańskich. Z inicjatywy księcia Czartoryskiego w Paryżu doszło do kilkudniowych rozmów przedstawicieli Madziarów /Teleky, Pulszky, Szarwady/ z reprezentantem ludów niemadziarskich, Czechem Franciszkiem Riegerem, działaczem blisko związanym z Palackym. W ich wyniku Węgrzy - w przypadku zasadniczych zmian struktury monarchii habsburskiej - godzili się na pewne ustępstwa. "Narodom określonym" a związanym z Koroną Węgierską na zasadzie federacji obiecywali przyznać sporą autonomię. Natomiast nacjom pozostałym, "niłszym" czy to przez swoją niedojrzałość, czy też przez znaczne rozproszenie, skłonni byli przyznać prawa jedynie do własnej administracji terenowej, narodowej oświaty, wolności religijnej i językowej. W zamian za to, co - jak mniemali - ludy niemadziarskie "powinny zaakceptować z zadowoleniem i zaufaniem", oczekiwali ich pełnego udziału w walce przeciw koalicji austriacko-rosyjskiej. Program ten nie mógł zadowolić potencjalnych partnerów Węgier i przez Riedera zaakceptowany nie został. Czeski polityk domagał się rozszerzenia składu grupy "narodów określonych" /o Słowaków i Serbów/, jak również przyznania narodom prawa do pełnej niepodległości, a więc prawa do wyjścia z federacji krajów Korony Węgierskiej. Jako zwolennik austrosławizmu nie godził się też na zobowiązanie, że Słowianie wystąpią przeciw Austrii. Ważne były rozbieżności dotyczące tego, kto z kim chce iść dalej, lecz najważniejszy był fakt, że żaden z niemadziarskich narodów nie był skłonny obalać zwierzchność Habsburgów po to tylko, by wchodzić pod dominację Węgrów. W omyślnym czasie zmiana pana nikogo już nie satysfakcjonowała.

Dopiero w lipcu 1849, już po ewakuacji stolicy, zaledwie na kilka tygodni przed kapitulacją armii pod Vilagós /13 sierpnia/ rząd węgierski zdecydował się wydać oficjalny akt w sprawie narodowościowej. Ustawa oparta o tzw. "Projekt de pacification", przedstawiona 28 lipca obradującemu w Segedynie sejmowi, przewidywała przyznanie ludzkom niemadziarskim prawa do używania swoich języków w gminach, na zgromadzeniach samorządowych, w sądownictwie, w szkołach ludowych i w sprawach kościelnych. To wszystko, na co stał by węgierskich liberałów. Do realizacji projektu nie doszło. Raz, że było już za późno na cokolwiek, dwa, że było to o wiele za mało, by zaspokoić polityczno-narodowe aspiracje ludów niemadziarskich.

Wiosna Ludów to w historii stosunków węgiersko-rumuńskich okres bardzo ważny. Choćby przez fakt, że w jej wyniku zamieszkujące Koronę Węgierską ludy niemadziarskie wkroczyły na arenę dziejową jako już w pełni ukształtowane narody. Wprawdzie namacalne efekty rewolucji 1848-49 uznać należy, ogólnie mówiąc, za mało imponujące - w nadmiarze pozostało po niej jedynie niepowodzeń i wzajemnych rozczarowań. Lecz taka pesymistyczna perspektywa, mimo pozorów oczywistości, jest złudnicza.

s już na pewno nie jest jedyną możliwą. Ale i tak, chociaż Polacy węgierski powstaniu i polskie zabiegi bynajmniej nie chodzili o najniebezpieczniejszym stopniu nie chodziło o... Co w warstwie najbardziej... wspaniałych i zachowań... najlepszych intencjami, to wszystko było również... gdzie być powinniśmy, i...

Od czasu rozbiorów oswojony byłam... prawdziwą politykę robić się u nas daje tylko wtedy, gdy w grę wchodzi interesy wielkich mocarstw. Naszą słabością przywykliśmy... Podziestami... i zasobami przynajmniej... ale na poważnie traktowaliśmy je... Dla nas liczyły się przede wszystkim Rosja, Niemcy i Austria, dalej szły Francja i Anglia. Zamknięty, magiczny krąg. Krąg fatalny. Wzgardzających tylko interesy mocarstw europejskich, żaden do dowód, iż jedynie tych w naszym myśleniu politycznym trzymać się powinniśmy. Po pierwsze, w całej tej cudownej przemianie nie ma było przypadku i czegoś, co określić należy szczęśliwym zbiegiem /absolutnie nieoczekiwanymi/ zdarzeń. Po drugie, oceniając przebieg historii warto mieć na uwadze nie tylko konkretne zdarzenia i dokonania /tak te w wersji radosnej, jak i klęskowej/, ale również rzeczy jedynie możliwe - szanse, których nie dostrzegliśmy, drogi, którymi nie poszliśmy. W naszej historiografii spotykamy niemało ocen typu: należało iść z Rosją przeciw żywiołowi germańskiemu; albo odwrotnie - powinniśmy iść z Niemcami przeciw Wschodowi. Nie waży tych stwierdzeń, ich zasadność i sens najczęściej są bardzo wątpliwe, ale one nikogo z nas nie dziwią. A spróbujmy na miejsce Rosji lub Niemiec podstawić Czechy, Węgry, Ukrainę czy Rumunię - zdziwienie będzie najdelikatniejszą formą reakcji. Doskonale pamiętam własne odczucia, jakie przed wielu laty towarzyszyły mi przy pierwszej lekturze książki Mariana Zdziechewskiego: bezustanne powtarzanie tezy o konieczności i zwroć naszej uwagi na południe, o potrzebie wspólnej granicy z Węgrami i zwrócenia politycznego układu z nimi - odbierałem to jako coś wręcz maniackiego, nie tyle chorego, co przy niewielkiej wadze projektu niewartego aż takiego zapędu.

Przypadek węgierskiej Wiosny Ludów jest wyjątkowy. Po raz pierwszy /i bodaj jedyny w naszej dotychczasowej historii/ na tę skalę i tak konkretnie Polacy zaangażowali się w sprawy Europy południowo-wschodniej. I sprawę własną uczynili integralnym elementem tej części Europy. Jakby na moment wątplili /a może to ośnienie?/ w zbawczą moc europejskiego systemu. Swoje szanse postanowili szukać współdziałając z nacjami pozasystemowymi, małymi i w rozbiciu słabymi, ale w federacyjnym zespoleniu obiecującymi sporo, więcej niż systemowi mocarze. W wieku XIX tzw. kwestia polska kursowała, jak jakaś piłeczka, między Moskwą i Paryżem - wśród Rosjan budząc rozdrażnienie, niekiedy napady wściekłości, u Francuzów wywołując niezobowiązującą sympatię i... kłopotliwe, męczące zawstyżenie. Poza odwzajemnieniem uczuć, rządziej gwałtownymi obietnicami - od Europy nie powinniśmy się spodziewać niczego więcej. Żalować wypada, że nasze zaangażowanie w Europie południowo-wschodniej skończyło się tak szybko, że było jednorazową próbą, której później jako naród już nie podjęliśmy. Ale przecież początek został zrobiony, pozostał wzór działania - dążyć do wypracowania zasad koegzystencji i Węgrów, Rumunów i Słowian. A również, co ważne szczególnie dla nas: być tam, gdzie się jest; przestać udawać Zachód, gdy jest się w Środku. Pokrópiecie nie zastąpi autentycznej tożsamości, a bez niej - nie dajmy się, że coraz częściej będziemy mieli kłopoty z odpowiedzią na proste pytanie: kim właściwie jesteśmy - wzmiankowanym i wytestowanym Zachodem czy może już najwyżejszym Wschodem?

6

Po klęsce węgierskiego powstania działacze Hotelu Lambert długo jeszcze nie rezygnowali z pomysłów wspólnej z narodami Europy południowo-wschodniej walki o niepodległość. Inicjatywne przez Polaków pomysły nie przyniosły jednak większych rezultatów. Gdy już opracowano projekt konferencji nadmajejskiej, trzeba było z niego zrezygnować na skutek nieustępliwości Federarów. Zaognione kwestie sporne przeważały nad dojrzałymi intencjami uczestników dyskusji. Nas jeszcze obchodziło się, że wszelkie podjęcia... rzeczy tak podobnymi, jak różnice różnymi. Nie... że długo...

kontakt z zorientowaną na Zachód kulturą węgierską przyniósł ludom niemadziarskim niemało korzyści. Przyjmując do wiadomości tylko ten fakt, Węgrzy pozostawali głusi na krytyczne argumenty drugiej strony. Przeróżne poczucie własnej wyższości było dla nich barierą nie do sforsowania.

Zapewne z czasem ta ignorująca wymogi rzeczywistości postawa musiałaby ulec znacznym korektom, gdyby nie ważna odmiana roku 1867. Kompromis z dynastią powstał do życia Monarchię Austro-Węgierską i uczynił z Budapesztu ośrodek państwowy niemal równy wiedeńskiemu, którego władza obejmowała całą historyczną Koronę Węgierską z Siedmiogrodem i Chorwacją. Dla narodów niemadziarskich było to kłeska - stało się jasne, że od tej chwili dochodzić swych praw narodowych mogą już w tylko jeden sposób: dążąc do rozbitcia historycznego związku państwowego, tzn. do upadku Węgier. Upojeni sukcesem Madziarzy teraz tym bardziej nieskorzy byli do jakichkolwiek ustępstw. Pouczająca lekcja lat 1848-49 poszła w zapomnienie. Poza Chorwatami, którzy jako jedyni liczyć mogli na ograniczoną autonomię, pozostali słyszeli tylko nie i nie. Uchwalona w listopadzie 1868 ustawa narodowościowa precyzowała jasno i dobitnie, że "wszyscy obywatele państwa węgierskiego tworzą w sensie politycznym jeden niepodzielny i jednolity naród węgierski". /Gdy dziś Ceausescu wykrzykuje, że "w Rumunii nie będzie już więcej różnych narodowości, a tylko jeden socjalistyczny naród", zapowiada to, co ponad sto lat temu zadekretowali Węgrzy. Ale nie jest to to samo. Powtórka chwytu sprzed przeszło wieku mogłaby uchodzić za farsę, gdyby nie była aż tak ponurą./

Madziarzy byli zachwyceni nowym układem. Zdecydowana większość uważała go za ogromny narodowy sukces. Ale bądźmy sprawiedliwi - nie wszyscy tak sądzili. Pozostający na wygnaniu Lajos Kossuth przestrzegał twórcę ugody, Ferenc Deak, że dualistyczna monarchia jest dla Węgier zgubą, że z czasem zmusi je do zachowań sprzecznych z własnymi interesami, że wepchnie je w opcję i działania niechciane, mające posmak samobójstwa. Ta mądrość nie była spóźniona, a prociwotwórczo było jak najbardziej trafne. Ale Węgrzy chcieli i kupili iluzję za rzeczywistość. Dobrowolnie wyrzekli się połowy niepodległości, czego jednak, zwiędzeni możliwością panowania nad innymi, nawet nie zauważyli.

Byli wyspą i, jak sądzę, dojmujące poczucie rasowego osamotnienia pchało ich w fatalny kierunek. My zawsze możemy się powołać na swoją słowiańskość, a to może być już argumentem budzącym respekt u największych. Węgrzy na próżno szukali pobratymców, a nie znajdując braci naturalnych, wymyślili sobie przyrodniczych. Oblani żywiołem słowiańskim, z którym układanie się przy braku cierpliwości i dostatecznej zręczności mogło wyglądać na sprawę beznadziejną, zdecydowali się pójść z Germanami. Zresztą, nie udawajmy, że wybór Słowian jako partnerów mógł być dla nich wielką atrakcją; w dłuższej perspektywie czasowej mogli przynieść spore zyski, ale tymczasem oznaczał raczej groźbę roztopienia się w obcym i kulturowo niezbyt pociągającym żywiole. Ale podpisując ugodę z Habsburgami, Węgrzy powinni byli wiedzieć, że tak naprawdę podają rękę nie Wiedniowi, lecz Berlinowi. W końcu było już po Sadowej. I mogli byli się spodziewać, że zmuszeni zostaną do robienia tego, do czego dbali o swoje interesy Habsburgowie nigdy by ich nie popychali - do podkopującej monarchię otwartej polityki antysłowiańskiej. Wychowani w orbicie wpływów Zachodu, wybrali Niemców po trosze automatycznie. Łatwo przychodziło znaleźć wzajemne podobieństwa, inne można było sobie wmówić. Węgrzy naprawdę uwierzyli. Zapomnieli, że polityka to kalkulacja, twardy rachunek, że nie robi się jej sentymentami, niechby nawet najbardziej w społeczeństwie rozpowszechnionymi. A już na pewno nie powinni byli zbłądzić politycy kraju, który do systemu nie należał i na żadne ulgi czy ochronne parasole liczyć nie mógł. Przecież tu umowy, raczej moralne, sympatie i duchowe podobieństwa niewiele znaczyły - obszar pozasystemowy to sfera tylko i wyłącznie interesu.

Niemcy stali się dla Węgrów wzorem. Sukcesy germanizacji podpowiadały madziarzącą. Oficjalne statystyki mówią, że o ile w roku 1851 Węgrów było tylko 36,5%, to w 1880 już 41%, a w 1910 - 45,1%. /Wiedzieć trzeba, że przyrost naturalny Madziarów był najniższy ze wszystkich narodów Węgier./ W samym Siedmiogrodzie spis z roku 1910, odbywający się nie bez nacisków rządowych, wykazał, że mieszka tu 53,8% Rumunów, 28,6% Węgrów, 10,6% Niemców i 6,8% przedstawicieli innych narodowości. Jest oczywiste, że i te 45% w całych Węgrzech, i te 28,6% w Siedmiogrodzie budziły zaniepokojenie i jako ciągle grożące rozbitciem państwa kazały szukać pomocy w drugiej, austriackiej części monarchii. Nawet ta posiadana połowa niepodległości kurczyła się więc stale. Wiedeń był Budapesztowi niezbędny, szczególnie, że stosowana wobec ludności niemadziarskiej polityka represyjna

przysparzała Węgom kłopotów coraz większych. Ustawa szkolna z roku 1879, zaotrzoną jeszcze w roku 1907 głośną ustawą madziaryzacyjną zwaną od nazwiska jej twórcy "Lex Apponyi", nakazywała przymusowe nauczanie języka węgierskiego we wszystkich szkołach ludowych na terenie całego kraju. Nazwy miejscowości i nazwiska madziaryzowano; węgierski wprowadzano nie tylko do szkół i urzędów, ale również do kościołów i na lekcje religii. Jeśli ktoś z nacji przyznano jakieś ustępstwa, to zazwyczaj pozostawały one martwą literą. Celem madziaryzacyjnym służyło założone w roku 1885 Węgierskie Towarzystwo Kulturalne Siedmiogrodu /EMKE/.

Wszelki nacjonalizm jest wstrętny. Lecz o ile nacjonalizm wielkich zasługuje tylko na potępienie, to nacjonalizm małych zazwyczaj posiada tyle wyjaśniających go i tłumaczących okoliczności, że w pierwszym rzędzie winniśmy mu zrozumienie. Prawdziwie mówi się o Monarchii Austro-Węgierskiej, że była "więzieniem narodów". I nie bez pswnych racji określili by można Madziarów najlepszymi tego więzienia strażnikami. Lecz - i żaden to paradoks nowy - byli oni, w nim również najniebezpieczliwsiymi z więźniów. Formalnie wolni i wyniesieni, faktycznie ubezwłasnowolnieni i szaszczuci, pochwyceni w klatkę, z której, choć sami do niej weszli, sami wyjścia z niej znaleźć nie mogli; wpcchnięci w niechciane a jak się wielu zdawało konieczne, kręcili się w kółko i szarpali, pocieszenie znajdując w doraźnie konstruowanych mitach, w wyniesionych do rangi świętości seansach zbiorowego obłądu.

Traktat triański kazał im za ten obłąd zapłacić cenę ogromną. Państwo o powierzchni 325 tys. km², zamieszkałe przez 21 milionów przykrojono do skrawka liczącego 93 tys. km² i 8 milionów mieszkańców. "Sprawiedliwi" mocarze Zachodu cięli jak chcieli - może i w dobrych intencjach, ale absolutnie bez rozeznania. Jak podsumował traktat roku 1920 Oskar Jaszi, "aby mniej więcej 5,5 miliona ludzi mogło pozbyć się ducha irredenty przeciwko uciskowi, należało doprowadzić do rozpaczy niemal 4,5 miliona innych ludzi". Jest zrozumiałe, że w całym okresie międzywojsnym krzywdy i upokorzenie Trianon były tym, na czym wygrawali nacjonalistyczni politykerzy. Po raz drugi dzielono Siedmiogród w roku 1940. Rozjemcą byli Niemcy, którzy odbierając spory kawał ziemi Rumunom, niby nagradzali sojusznicze Węgry, a w grunciu rzeczy korzystali z okazji związania narodów tej części Europy z interesami własnymi. Po II wojnie światowej, co przewidywało wielu Węgrów, nabytki siedmiogrodzkie trzeba było Rumunom zwrócić; tym razem dzielił Stalin. Przy każdej z tych operacji tysiące uchodzących przed prześladowaniami ludzi porzucały siedziby, tysiące innych płaciły cenę najwyższą. Teoretycznie wystarczyłoby zwołać konferencję naddunajską, która jako jedyna mogłaby położyć kres ofiarom i rozpaczy. Ale nie, tak się nie stało, tym obszarem zawaze dyrygowali inni, mocniejsi; bezpośrednio zainteresowani mogli co najwyżej dać upust swoim spragnionym zemsty nacjonalizmom, bezproduktywnym i zaślepiającym, ale zreszcznie przez obcych podtrzymywanym, by ci później, powołując się na popełniane w esasie grzechy, mieli dogodny pretekst do wtrącania się, dzielenia nieswojego tak, jakby chodziło o rzeczy najbardziej osobiste.

Traktat w Trianon nazywany bywa "paix d' ignorancs". To określenie pasuje i do postanowień roku 1940, i tych z 1945. Za każdym razem mieliśmy popis głupoty. Niby dzielono, by naprawić, a tak naprawdę - by dzielić i dezintegrować. Zachód dał przykład, hitlerowskie Niemcy i stalinowskie Sowjety poszły jego śladem. Wszyscy przystrojeni w piórka sprawiedliwych, kroili podług interesów własnych, interesy Węgrów i Rumunów mając w pogardzie. Dla przywódców Ententy demokratyczny rząd Karolyi'ego był zbyt czerwony i nie spoczęli, póki nie podmienili go brunatnym reżymem Horthy'ego, mającym sa całą ideologię jedynie tępy nacjonalizm. Zjednoczeni w Małsi Entencie Cześci, Rumuni i Jugosłowianie nie pozostawali dłużni i ani myśleli zabiegać o wyoiszenie "ślusznego" oburzenia zwoich narodów. Cóż, Zachód był bezmyślny, lecz jak najbardziej wierny swojej systemowej doktrynie. Hitlerowi i Stalinowi bezmyślności zarzucić nie sposób - działali metodycznie i precyzyjnie, dokładnie przewidywając efekt spuszczonej z uwięzi i podbechtanych nacjonalizmów; dzislili, by ukatwić sobie rządy na tym terenie, a że przy okazji doprowadzili do wytworzenia wybuchowej mieszanki, którą byle szaleniec może detonować, tym kłopotać się nie mieli potrzeby, w końcu to nie przeszkadzało, a ułatwiało ich dominację.

Nawet w małych społecznościach nie ma takich spraw, które dawało by się rozstrzygnąć, "załatwić" równo rozdzielając zadowolenie. A cóż dopiero mówić o całych narodach, obciążonych takim багаżem historycznych doświadczeń. Przeszłość

została z tyłu i tylko głupcy lub przebiegli intryganci na serio zamyślać mogą o naprawianiu krzywd dziś już nie do naprawienia. Każde nowe dzielenie byłoby tylko pomnażaniem wystarczająco grubych zasobów starych błędów o nowe, zasługujące - jeśli zgodzimy się, że w dziejach stosunków międzynarodowych powinien być jakiś postęp - na miano mocniejsze: zbrodni.

7.

Od roku 1920 /z kilkuletnią przerwą wojenną/ cały Siedmiogród właściwy należy do Rumunii. Królestwo powstałe w 1881 roku na bazie Wołoszczyzny i Mołdawii, na mocy traktatu w Trianon powiększone jeszcze o znaczną część Banatu, południacą Dobrudżę i Besarabię, tak terytorialnie, jak i ludnościowo rozszerzyło stan swego posiadania przeszło dwukrotnie. Narodziła się "Romania Mare" - "Wielka Rumunia". W jej składzie mniejszości narodowe stanowiły około 30%, zaś Węgrzy - 8-9%. Zastosowano wobec nich politykę starą jak świat: diwde et impera. Za cenę ustępstw pozyskano ludność niemieckojęzyczną; zasymilowanych z Węgrami Żydów odrywano forsując rejuudaizację. Madziarzy i Seklerzy płacić mieli za grzechy przeszłości. Węc gdy w roku 1940 Siedmiogród wrócił do dawnego pana - zaczęło się od rzezi i gwałtów. Po pięciu latach Rumuni znów byli górą - i znów był odwet, rzezie i gwałty. Ten wybuch plenienniej nienawiści miał charakter niekontrolowany. Węgrzy ratowali się jak mogli - idąc na współpracę z komunistami. Fakt ten, jak się ocenia, w decydujący sposób zaważył na zwycięstwie lewicy w Rumunii. W przyszłości miał jeszcze bardziej skomplikować wzajemne stosunki wrogich sobie nacji, ale w okresie tuż powojennym przyniósł Madziarom spore zyski. Zezwolono na otwieranie węgierskich szkół i teatrów, nawet wyższych uczelni. Na ziemi zamieszkałej przez Seklerów utworzono Węgierski Rejon Autonomiczny /istniał w latach 1952-68/.

Już w roku 1952 zaczęło się coś zmieniać. Zwycięstwo krajowej frakcji komunistów rumuńskich, z pupilem Stalina Gheorghiu Dejem na czele, zapoczątkowało trwający do lat 70-tych proces rugowania działaczy żydowskich i węgierskich z partii i z różnych obszarów życia publicznego. Powstanie węgierskie 1956 dostarczyło wygodnego "argumentu": zamieszkujących w Rumunii Madziarów oskarżono o sprzyjanie kontrrewolucji. I tak to, co w latach 1944-47 przyznano jako rewano z pomoc w przejęciu władzy, teraz zaczęto odbierać. Niech nas nie zmyli dzisiejsza napięta sytuacja. Był bowiem czas, dość długi, bo trwający gdzieś do połowy lat 70-tych, w którym Węgrzy niezbyt interesowali się losem swoich rodaków mieszkających w Rumunii. Powodów obecnego "przebudzenia" było kilka, ale dwa wydają się wyjątkowo ważne. Po pierwsze, raptowne zwiększenie liczby kontaktów z rodakami za granicą, co nieprzypadkowo zbiegło się z pierwszymi oznakami nadciągającego kryzysu; władze węgierskie wręcz zachęcały swoich obywateli do wyjazdów na wschód, mrugając przy tym sugerująco - jedźcie, porównajcie, zobaczcie, jak może być źle. Po drugie, w połowie lat 70-tych Nicolae Ceausescu zakończył fazę zagarniania całej władzy w swoje ręce /1965 - sekretarz generalny RPK, 1967 - przewodniczący Rady Państwa, 1968 - przewodniczący Frontu Jedności Socjalistycznej, 1974 - prezydent/ i niedwuznacznie dał do zrozumienia, w jakim kierunku będzie szła jego polityka, w tym również polityka narodowościowa.

Rumuński system polityczny epoki Ceausescu wymaga kilku słów wyjaśnienia. Cóż tak naprawdę o nim wiemy? Że obecny reżym sźnie z korupcji i niekompetencji. Że dysponuje najbardziej w naszym obozie rozbudowaną służbą bezpieczeństwa /Securitate/. Że panuje w nim niepojęty dla nas nepotyzm /anedota mówi, że posiedzenia biura politycznego Ceausescu odbywać może w domu podczas obiadu/. Poza tym - niby wszystko jak w innych barakach. Niezupełnie to tak. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu drobny wtret historyczny.

Jak wiadomo, hospodarstwa Wołoszczyzny i Mołdawii przez długi czas były lennem tureckim. Ich władców wybierano spośród miejscowych bojarów. Ale z czasem kandydatów na marionetki zaczęło brakować, a ambitnych, tym szanym podejrzanych i niewygodnych nie chcieli. Dostateczną ilość chętnych znaleziono w stolicy imperium, w Konstantynopolu. Tam, w dzielnicy Fanar sporo było przedstawicieli różnych nacji bałkańskich, którzy znając stosunki tureckie i język, zaprawieni w służbie sułtańskiej, jak raz nadawali się na zarządców krajów rumuńskich. Bo Turkom chodziło nie o władców, lecz o zarządców właśnie. O takich, którzy z powierzonych im prowincji wycisną wszystko, sami zadowolając się pozycją i bogactwami; w sprawach wewnętrznych, administracyjno-politycznych przyznawano - absolutnie wolną rękę, natomiast musieli wyrzec się ambicji odgrywania samo-

dzielnej roli, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych. Ocena rządów fanariotów, bo tak nazywano tych nasyłanych władczy, nie jest jednoznaczna. Jako ludzie wykształceni, w dziedzinie stosunków wewnętrznych jeszcze częściej na polu kultury nierazko potrafili być promotorami reform i nowoczesności. Jest jednak faktem, że od wieku XVII wzór rządów fanariotów dostatecznie mocno zatoczył się na tym terenie. Jeszcze pod koniec wieku XIX, już po utworzeniu Królestwa Rumunii, współczesną sobie rzeczywistość polityczną Mihail Eminescu nazywał "Nowym Fanarem". A więc: sprzedajność i nadwrota, korupcja i nepotyzm, nieograniczona władza wąskich grup lub wręcz jednostek /ewentualnie rodzin/, przesodnia ceremonialność, przepychy rządów i ich dworu, całkowita samowola w dziedzinie spraw wewnętrznych, bezwzględny ucisk i wyzysk poddanych. Nicjednak, przełożenie tego popartego wielowiekową tradycją wzoru rządów politycznych na sytuację współczesną wydawać się może niewykonalne, a to głównie z powodu dzisiejszej międzynarodowej pozycji Rumunii. Dla mnie jednak to, co tak wielu zarząwców czy zadziwla - polityczna "samodzielnosc" reżymu Ceausescu /dla którego polityka zagraniczna to główne hobby/, to tylko pozor, rzecz bardziej folklorystyczna, aniżeli zasługująca na miano rzeczywistej polityki.

Rumunia to od dawna barek najbardziej ponury w całym naszym obozie. Bez trudu dostrzeże to każdy Polak, który przeciw przeżył też swoje dołki i bolesne dociski. To kraj policyjnego dozoru i nędzy, a obie te dokuczliwości napędzają siebie nawzajem. Swojego czasu proponowano Rumunii specjalizację rolniczą, ale Ceausescu ani myślał przerobić swoje państwo na spichlerz bloku. Postawił na przemysł ciężki, głównie metalurgiczny i petrochemiczny, co - rzecz jasna - w zastraszającym tempie doprowadziło do całkowitego upadku rolnictwa. Rychło okazało się jednak, że produkowana stal jest tak podłej jakości, iż nikt jej nie chce kupować, a ropy naftowej najzwyczajniej zabrakło. Pozostały ogromne, niewykorzystane inwestycje - i duże zagraniczne długi. W końcu roku 1980 zadłużenie Rumunii sięgało 9 mld dolarów, a prognozy, jako że chodziło głównie o pożyczki krótkoterminowe, mówiły o podwojeniu tej sumy w ciągu dwóch lat. Jednak stało się inaczej. Zakochany w prowadzonej przez siebie "polityce" zagranicznej Ceausescu uznał, że zobowiązania wobec Zachodu tak krepują mu ruchy, iż długi należy zlikwidować jak najprędzej. I tak już od roku 1982 Rumunia rozpoczęła realizację programu oszczędnościowego, co w praktyce oznaczało wyprzedzić wszystkiego, co sprzedać się dawało /ludzi również/, dzięki któremu jej zadłużenie w roku 1987 spadło do 5 mld, a w 1988 - do 3 mld. Pozornie wydawać by się mogło, że Rumunia systematycznie wychodzi z kryzysu. Ale koszty tej operacji są ogromne - skrajna nędza ludności i degradacja majątku narodowego. Jest jasne, że by z tak głębokiego upadku się podnieść, niezbędne będzie... zściągnięcie nowych, dużych pożyczek.

A tymczasem kraj się wykrwawia. Jego obraz jest bardziej niż przerażający. Zimą drogi i ulice w miastach nie są ani odśnieżane, ani oświetlane. Samochodów prywatnych nie widać, bo zakazane ich używanie. Przewizorycznie zamocowane rury zdobije mury budynków - "kozy" są jedynym ratunkiem. Odrębnym dekretem ustanowiono, że maksymalna temperatura w mieszkaniach prywatnych nie może przekraczać 12 stopni. Dopuszczalne zużycie energii na rodzinę ustalono na poziomie 35 kilowatogodzin miesięcznie, a przekroczenie tej granicy oznacza odecięcie dopływu prądu. W jednym mieszkaniu świecić się może tylko jedna żarówka, a i ta o mocy nie większej niż 40 W. Limity zużycia energii są tak niskie, że zmieścić się w nich mogą tylko ci, którzy poprzestają na świeceniu oczami. Nad przestrzeganiem "oszczędnościowych" rygorów czuwają specjalne komisje, dysponujące prawem do wymierzania stosownych kar.

Od roku 1981 /choć jeśli mnie pamięć nie myli o wiele wcześniej/, bo już w 1975 się z tym spotkałem/ w Rumunii obowiązuje ścisła reglamentacja podstawowych artykułów żywnościowych. I tak obywatel ma prawo do 300 gramów chleba dziennie, a miesięcznie do 315 g mąki, 3 litrów mleka, 9 jajek, 1,42 kg drobiu, 1,2 kg cukru, 1,5 kg mąki, 4 kg ziemniaków. Także mięso reglamentacji podlega, lecz i nie podlega, bo po prostu go nie ma. Ale nie patrzmy na te liczby, w gruncie rzeczy są one czystą fikcją. Miałem okazję przekonać się o tym, gdy w roku 1983 odwiedziłem Poianę Mikuli, polską wieś na Bukowinie /w okolicy tej mieszka kilka tysięcy naszych rodaków/. Łatwość kontaktu z ludźmi pozwoliła mi zrozumieć, co tak naprawdę się tu dzieje. Wieś należy do zabanych, co też polski kościół i polską szkołę. Jako że położona jest na terenach podgórskich, należy do nietypowych - ma prywatne rolnictwo /niewielkie gospodarstwa - do 8 ha/. I w gruncie rzeczy musi żyć życiem absolutnie własnym. Jedyne

sklep, poza nijakim wyborem alkoholu i kilkoma drobiazgami, nie oferuje nic więcej. Podobnie jest w odległym o kilkanaście kilometrów miasteczku Gura Humorului /jego nazwę odruchowo przekreślaliśmy na "Góra Humor"/. Teoretycznie między tymi dwiema miejscowościami kursuje komunikacja państwowa, ale przez cały pięciodniowy nasz tu pobyt z powodu "oszczędności" nie dojechał ani jeden autobus /niegdyś Rumunia była czołowym producentem ropy naftowej w Europie/. Teoretycznie mieszkańcy wsi mają prawo do zakupu pewnych artykułów żywnościowych - ale masło, ser, jajka czy mięso oglądają tylko wtedy, gdy sami je wyprodukują. Co też nie odbywa się w sposób zwyczajny: swoje muszą zgłosić, "sprawiedliwie" się tym z państwem podzielić, a dopiero potem pozostającą część spokojnie /bo bez groźby wysokich kar, również kar więzienia/ spożyć.

Pamiętam, jak w drodze z Bukaresztu mój młody a bystry kolega, dotychczas więcej mający do czynienia z Zachodem niż z "demoludami", spoglądając na rozległe pola rzekł melancholijnie: "Przecież ten kraj powinien mieć żywności pod dostatkiem". Cóż mogłem dodać, tylko milcząco przytaknąłem. Ząście, wielkiego trzeba geniuszu, by aż tak zrujnować urodzajną ziemię.

Jeśli ufać oku, źle z zaopatrzeniem jest i w wielkich miastach, nie wyłączając samego Bukaresztu. Na tym tle co i raz dochodzi w Rumunii do zaburzeń - a to w stolicy czy Ploesti, w Brasov czy Temeswarze. Słynni z pokory Rumuni nie wytrzymują i tracą cierpliwość. Nie tak dawne zamieszki w Brasov /listopad 1987/, o których oficjalnie poinformowano już po dwóch tygodniach, przyniosły szeregół nowy a zamienny. Protestujący nie opluwali ani socjalizmu, ani Wielkiego Brata, a jedynie... klikę Ceausescu. Conducator otrzymał odpowiednie raporty i chyba nawet na ohwilę się stropił - bo dał podwyżki płac i rzucił na rynek co nieco z zapasów. Zapewne uznał sprawę za załatwioną. I, jakby nigdy nic, dalej anuje swoje genialne pomysły.

Dostrzegł, że nie jest najlepiej, więc postanowił zwiększyć nacisk... na oszczędzanie. Uznając mechanizmy funkcjonowania gospodarki za doskonałe, w tej materii nie ma zamiaru niczego zmieniać. Stworzył projekt dochodzenia do dobrobytu przez odzyski i cięcia. W ciągu najbliższych 2-3 lat zużycie energii ma zmaleć o 20-30%, materiały odzyskane i zregenerowane powinny zaspokoić 50 - 60% zapotrzebowania kraju na żelazo, miedź, nikiel, kauczuk, tworzywa sztuczne, oleje, papier, szkło, tekstylia; drogą regeneracji ma się uzyskać co najmniej 60-70% części zamiennych. Przerzucając to ambitnie. Ale na tym nie koniec. Ceausescu postanowił też zająć się demografią i podnieść zbyt niski przyrost naturalny. Obywatele Rumunii mają się tak mnożyć, by w roku 2000 było ich równo 30 milionów /dzisiaj ok. 23 mln/. Będzietnych obłożono dodatkowymi podatkami, przeprowadzono przymusowe badania ginekologiczne w fabrykach - i teraz, mając taki wgląd w całą sprawę, nikt nie odwieździe Wodza nad Wodzami od realizacji wielkiego planu. Przybrano się też do problemu niedoborów żywnościowych. Zwiększeniu podaży mięsa ma służyć m.in. dekret Rady Państwa w sprawie poprawy działalności w dziedzinie unasienniania i rozrodczości krów, owiec i trzody chlewnej. Określa się w nim co, jak i kiedy /wszystko bardzo dokładnie/ ma być pokrywane: krowy od 1.06. do 15.08; owce - wrzesień i październik; świnię - cały rok, ale tak, by uzyskać 2-3 mioty rocznie. Rzecz jasna, nie zastosowanie się do tych postanowień zagrożone jest odpowiednimi sankcjami.

Jest oczywiste, że Wielki Inseminator nie wąpi w zbawienie skutki właśnie wprowadzanych w życie pomysłów. Ale, jakby chcąc się zabezpieczyć, zarządził też lekką zmianę propagandy. Nadal, co oczywiste, królują "trudności obiektywne", wciąż spadają ze stołków fli wykonawcy "genialnych" poleceń, ale pojawiło się również coś nowego. W wywiadzie wiceministra obrony narodowej, gen. Ilie Ceausescu /sic! znajdujemy wyliczenie strat Rumunii w czasie ostatniej wojny. Pod względem środków zaangażowanych w walce przeciwko faszynomii Rumunia znalazła się na czwartym miejscu w koalicji antyhitlerowskiej, zaraz po Związku Radzieckim, USA i Wielkiej Brytanii. Lata 1941-44, kiedy to Bukareszt szedł z Berlinem na Moskwę, kwitowane są wykretem o zbrodniczych machinacjach węgierskiego reżymu Horty' ego, który popchnął Rumunię w "błędną" stronę. Najważniejsze pada na koniec: oto wysiłek ekonomiczny i finansowy Wielkiej Rumunii przekroczył miliard dolarów z roku 1938, co odpowiada czterokrotności budżetu kraju z roku 1988. Jakby nie dość było tego mocnego argumentu, wyjaśniającego obecne trudności państwa, sprawą zajął się sam Nicolae Ceausescu i przypomniał, że przez przeszło cztery wieki lud rumuński płacił obcym imperiom haracz, który sięgnął prawie 4 mld lei w złocie, co równe jest mniej więcej 1200 tonom tego cennego kruszcu.

Od 1860 do 1940 roku spółki zagraniczne i imperialistyczne monopole zrabowały narodowi rumuńskiemu przeszło 100 miliardów dolarów!

Skoro zostało pokazane, w czym tkwią źródła aktualnego gospodarczego "ciężkiego stanu" kraju, ale jednocześnie nie licząc na zwrot tych ogromnych zrabowanych sum, kiedy indziej Nicolae Ceausescu zdecydował się potrącić jeszcze jedną strunę. Rzekł: "Żadne społeczeństwo nie było oceniane według konsumpcji, obfitości, lecz stopnia akumulacji, rozwoju, zapewnienia postępu sił produkcyjnych, nauki, kultury. Historia uczy, że społeczeństwa o dużej konsumpcji, obfitości wyginęły, zaś te, które patrzyły w przyszłość, rozumiały, że nie można rozwijać się bez akumulacji, kroczyły do przodu, dowiodły swej siły." Przynajmniej jasno i po męsku powiedziane: choć biedna i głodna Rumunia jest Wielka; więcej - właśnie dlatego jest Wielka.

By tę genialną myśl uwiecznić, przynajmniej tak przypuszczam, w centrum Bukaresztu, na powierzchni 4 razy większej niż ta, którą zajmuje lawr, wysiedlając 40 tysięcy mieszkańców, rozpoczęto budowę Gmachu Republiki. Oczywiście i to genialne dzieło powstaje ku chwale Wodza nad Wodzami!

8.

Od roku 1983 kryzys ekonomiczny w Rumunii osiągnął stadium zarażające systemowi. W ciągu ostatnich kilku lat kilkakrotnie dochodziło, głównie z braku energii, do całkowitego sparaliżowania kraju. Rosło społeczne niezadowolenie. Przeszły wystarczać celebrowane spektakle rosad personalnych na najwyższych szczeblach władzy. Reżym Ceausescu zaczął więc szukać nowych "kózłów ofiarnych". I znalazł siedmiogrodzich Węgrów. A że z nacjonalizmów nie trzeba było długo rozmachiwać, sprawy przybrały szybki bieg.

Z początkiem marca 1988 poinformowano o rozpoczęciu "szeroko zakrojonego programu systematyzacji terytorialnej". Już w kwietniu zezwolono na używanie jedynie rumuńskich nazw miejscowości. Kierunek uderzenia został więc określony wystarczająco jasno: 2-milionowa mniejszość węgierska. Zgodnie z planem reorganizacji likwidacji ma ulec 8 z 13 tysięcy wsi. O "zyskach" z tej operacji mówić nie warto - nawet nasi oficjalni korespondenci z przekąsem i ironią informują o kilku- czy kilkunastohektarowych obszarach, jakie pozostaną po zniszczeniu każdej z wsi. Propaganda rumuńska zapowiada unowocześnienie struktury wsi, likwidację różnic między miastem a wsią, zwiększenie powierzchni użytków rolnych. Sam dym. W rzeczywistości chodzi o zniszczenie materialnej i duchowej ojczyzny mniejszości narodowych, o rozbięcie ich wspólnot, a w ostatecznym efekcie - o przymusową i przypięszoną asymilację.

Plany te zaczęto realizować w połowie 1988 roku. Spór gwałtownie się zaojgnął. Zamknięto konsulatu węgierski w Kolozsvar /Cluj/, wydano z terytorium Rumunii jego pracowników. Na nic zdały się oficjalne protesty. Nie osiągnięto nic podczas sierpniowego spotkania /pierwszego od 11 lat! / Karoly Grosza i Nicolae Ceausescu w Aradzie. Obietnice gdzieś uleciały, pozostała zbrodnicza rzeczywistość. W propagandzie rumuńskiej Węgrów kreować zaczęto na krwiożerczych odwetowców, którzy przygotowują się do odzyskania Siedmiogrodu; porównywanie obecnych władz węgierskich do reżymu Horthy'ego nie należy do rząduści. Madziarzy ślą petycje i protesty, usiłują odwołać się do opinii międzynarodowej. Ich prasa z trudem utrzymuje ton parlamentarny. Przy okazji sporu jedna z gazet zacytowała wielkiego poeę węgierskiego Jozsefa Atillę: "Uważaj, uważaj, zwariował diabeł". Inna przytoczyła wypowiedź pisarza węgierskiego mieszkającego w Siedmiogrodzie, który do niedawna pogardał wyjeżdżającymi z tej krainy, bo sądził, że sytuacja nie jest beznadziejna, a dziś wyznaje: "pozostają tutaj dlatego, że sytuacja jest beznadziejna; jest to też z mojej strony cicha manifestacja, na którą mogę się odważyć". W każdym tygodniu na granicy znajduje się zwłoki kilkunastu ludzi - uciekinierów, którym się nie udało.

Dlaczego? Jest oczywiste, że rozbuchanie krwiożerczych nacjonalizmów to sposób na odwrócenie społecznej uwagi od spraw zasadniczych, to metoda kłajstrowania wewnętrznych pęknięć. Ale jest to metoda tak krótkowzroczna, że chwytac się jej mogą tylko szaleńcy. Zresztą ten wątek, wątek obłądu wykorzystywany jest nagminnie. Według różnych ocen szycowaną w Siedmiogrodzie zbrodnię porównać się daje z tą mającą miejsce pół wieku wcześniej na Ukrainie, a szaleństwa Ceausescu - z krwiożerczą paranoją Stalina. Jednak nie wystarczy powiedzieć "wariat" czy "szaleniec", to niewiele, bodaj nic nie wyjaśnia. Lubimy odwoływać się do tego psychiatrycznego chwytu, bo jest on prosty i zawsze pod ręką. Ale jak Stalina nie można mianować "wariatem", bowiem jak na wariata zbyt proste

potrafił on kontrolować i wykorzystywać swój ciężar, podobnie ma się to w przypadku Geniusza Karpackiego. Realizacja planów Ceausescu nie tłumaczy jego pomysłów. W końcu teraz szykuje on niespodziewaną akcję z premedytacją. Siedmiogrodzki jest tylko jednym z elementów tej akcji, którą budowała przez prawie 20 lat panowania Państwa Ceausescu. W końcu dochodzę do sprzeczki między i Kłosem powołał się na to, że... Co jednak nie... że jeśli Ceausescu pieniądze nie dostanie, to zaniecha swego paranoi i... pomysłu. Choć nie jestem przekonany, że choć jest na tyle, iż nawet bez finansowej motywacji zbrodni dokona.

9.

W roku 1968... powiedział: "Nieprawdą jest, że w wątpliwość trawności i siły rumuńskiego socjalizmu. Oczywiście, mogą się zdarzyć szaleńcy, szaleńcy będą zarwać. Lecz nasze społeczeństwo zapewnia szalofcom wszelkie niezbędne środki, z kaskadem bezpieczeństwa włącznie".

Podczas swojego ostatniego pobytu w Bukareszcie jak zwykle odwiedziłem piękną cerkiew stavropoleos. I jak zwykle zapaliłem w niej świeczkę. Ale, przyznając, tym razem ładna godna tego miejsca intencja nie przyszła mi do głowy. Dziś, jeśli to możliwe, chciałbym ówczesny brak pomysłu nadrobić: pragnąłbym, aby słowa Ceausescu były prawdziwe - by i dla niego społeczeństwo rumuńskie co rychlej znalazło ten jeden a najsolidniejszy kaftan bezpieczeństwa.

Piotr Gazda

Ion Pacepa

"SCENY Z ŻYCIA CODZIENNEGO NA DWORZE CEAUSESCU I"

Człowiek, który zgłosił się 24 lipca 1978 roku do ambasady amerykańskiej w Bonn, prosząc o azyl polityczny, nie był pospolitym szpiegiem. Był to generał Ion Pacepa, prawa ręka Nicolae Ceausescu, szef tajnych służb rumuńskich we własnej osobie. Jego ucieczka na Zachód wywołała wstrząs w Bukareszcie i spowodowała jedną z największych powojennych czystek: co trzeci członek Rady Ministrów został odwołany, zmieniono 22 ambasadorów, dziesiątki wysokich funkcjonariuszy zostało zatrzymanych lub "wyparowało". Powiadano, że Amerykanie potrzebowali co najmniej trzech miesięcy, by "przetrawić" wszystkie rewelacje byłego szefa wywiadu...

Obecnie ukazuje się na Zachodzie książka gen. Pacepy "Czerwone Horyzonty" - w której opisuje on reżim Ceausescu takim, jakim go znał: jako quasi feudalną monarchię, w której korupcja i nadzór nad społeczeństwem podniesione zostały do rangi pryncypiów rządowych, zaś szpiegostwo, zbrodnia i dezinformacja stały się podstawą polityki zagranicznej. Podobnym "blaskiem" promieniuje w opisie Pacepy cała rodzina prezydenta: Nicolae Ceausescu, który "marzy, by Historia uznała go rumuńskim Napoleonem"; jego małżonka, Elena, która, oprócz rządów krajem, pręży także rządu dusz obywateli i władzy nad ich życiem prywatnym; jego syn, Nicu, pijak i rozrabiaka - wreszcie sam dwór, na którym korupcja rywalizuje z prostactwem.

W trojce o swoje dobre imię przed Ceausescu prowadzi dość szeroko zakrojoną kampanię dezinformacji - która ma wykazać, że Rumunia jest niezależna od Rosji - choć jest w rzeczywistości wasalem Związku Radzieckiego. Ceausescu udaje też, że krytykuje swoich radzieckich sojuszników, wymaluje decentralizację ekonomiczną, podejmuje kampanię przeciwko alkoholizmowi i korupcji. Słowem, "głębokość

w wersji rumuńskiej. Zdaniem Iona Pacepy dzisiejsza otwartość Gorbaczowa jest tylko rzucaniem piasku w oczy Zachodowi. Czy można całkowicie dać wiarę byłemu szefowi rumuńskiej Bezpieki? Obraz sytuacji wydaje się jak najhardziej prawdziwy: w odległości dwóch godzin drogi od Paryża Król Ubu rządzi krajem, który - zdaniem wszystkich zachodnich obserwatorów - po prostu się wykrawawia.

Pacepa opisuje sceny z życia codziennego dworu rumuńskiego w 1978 roku. Człowiek, który tak długo służył tej monarchii, a którą dzisiaj tak oskarża - nie daje poznać swoich prawdziwych odczuć. Zadowolona się relacjonowaniem. Aktualnie żyje w Stanach Zjednoczonych, znajdując się pod opieką władz. Jego córka, Anna nigdy nie zdołała opuścić Rumunii.

xxx

/W 1978 roku, w siedzibie Komitetu Centralnego w Bukareszcie, Ion Pacepa towarzyszy Nicolae Ceausescu i jego żonie Elenie w czasie zwiedzania wystawy zorganizowanej wyłącznie na ich beneficjusz przez DGTO - Zarząd Główny operacji technicznych bezpieczeństwa. Oprowadza podpułkownik Diaconescu./

- Towarzyszu Najwyższy Przywódco i wielce szanowna towarzyszeko Eleno, nasza wystawa ilustruje osiągnięcia DGTO, które pozwolą, tak, jak nakazaliście, roztoczyć nadzór nad wszystkimi obywatelami naszej kochanej ojczyzny, socjalistycznej republiki Rumunii /.../

- Oto aparat telefoniczny, który DGTO skonstruowała po 10 latach badań - włączył się towarzysze Geartu z instytutu badawczego, którego powolne i metodyczne wyjaśnienia kontrastowały z płynnym potokiem wymowy Diaconescu. Mówiąc to, zademonstrował nam beżowy aparat telefoniczny o zupełnie pospolitym wyglądzie.

- Nie jest to zwyczajny aparat. Ma on wbudowany bardzo czuły mikrofon, pozwalający zarejestrować wszystkie rozmowy, które odbywają się w miejscu, gdzie się znajduje. Jeżeli zarządźmy, iż od tej chwili wyłączenie taki model telefonu znacznie obowiązywać w Rumunii - zapoczątkujemy nową erę masowego podsłuchu elektronicznego, który uwolni nas od konieczności instalowania mikrofonów w poszczególnych miejscach.

- Czy są już inne aparaty?

- Mamy już trzy wersje w pięciu kolorach - i możemy je zacząć produkować, gdy tylko wydadacie polecenie.

- Właśnie tego oczekiwałem. Czy to na pewno sprawnie funkcjonuje?

- Niezawodnie - pospieszył z zapewnieniem Diaconescu.

- Jest z pewnością najlepszy spośród tych, które znam. Mamy podobne aparaty - amerykańskie, angielskie i niemieckie, które odkryliśmy w naszych ambasadach na Zachodzie. Ale nasz jest najbardziej czuły. Proszę tylko porównać...

- Czy można wprowadzić ten aparat na szeroką skalę? - spytał Ceausescu, ignorując propozycję Diaconescu.

- Wystarczy tylko, byście zapalili nam zielone światło, towarzyszu Najwyższy Przywódco.

- Macie je. Począwszy od dzisiejszego dnia - 28 marca 1978 roku, ten aparat telefoniczny jest jedynym modelem dozwolonym w Rumunii. Decyzja jest ostateczna. Ile przestarzałych modeli jest obecnie w użyciu?

- Ponad trzy miliony.

- Zastąpcie je nowymi - rozkazał Ceausescu.

- Ale ja nie rozumiem, Nick. Jaka jest różnica między tym telefonem, a tantym czarnym, który mam w biurze? - zapytała Elena, nieco zdezorientowana.

Elena nie miała najmniejszego pojęcia, jak dokonuje się zapisów, których tak lubiała wysłuchiwać, gdy znajdowała się sama "na zapleczu". /Owo "zapleczu" oznaczało w rzeczywistości kabinę tajnego podsłuchu biur urzędu prezydenta./

- Jedyną różnicą jest to. że nigdy nie będziesz miała takiego nowego aparatu - ani w twoim biurze, ani w domu - odpowiedział Ceausescu, puszczając do nas oko.

- Towarzyszu Najwyższy Przywódco, czy życzyście sobie, byśmy wam to zademonstrowali? - spytał Diaconescu.

- Dawajcie - przyzwolił Ceausescu, z błyskiem w oku i uśmiechem pełnym lubości. Nic, nawet seks, nie podniecało go tak bardzo, jak tytułowanie go tym imieniem. Diaconescu nacisnął guzik. Dały się słyszeć niedwuznaczne posapywania i pojękiwania.

- Zlokalizujcie ich - rozkazała sucho Elena, której ucho, wyćwiczone nie gorzej, niż ucho Diaconescu, trafnie oceniło intensywność przekazu.

- Trzeba zatrzymać tych dwoje. W dzień, o godzinie 11-tej urzędnicy mają pracować, nie zaś uprawiać miłość! /.../

Ceausescu przystanął przy ekspozycji, która prezentowała systemy podsłuchów w restauracjach. Uwagę jego przyciągnęły szczególnie popielniczki i przedmioty z ceramiki. Geartu poinformował go, że począwszy od dnia dzisiejszego do końca Planu Pięcioletniego wszystkie restauracje w kraju zostaną wyposażone w takie Planu Pięcioletniego wszystkie restauracje w kraju zostaną wyposażone w takie właśnie przedmioty, mające wbudowane miniaturowe mikrofony na baterie. Mikrofon taki uruchomiony może zostać przez każdego agenta, grającego rolę kelnera czy kelnerki - za pociśnięciem guzika, nie większego od łebka od szpilki.

Takie popielniczki i wazoniki, wynalezione przez KGB, używane są przez wszystkie tajne służby Europy Wschodniej do podsłuchiwania rozmów w restauracjach i hotelach. Do dzisiaj ten system podsłuchu jest objęty jedną z najbardziej ścisłych tajemnic w krajach bloku sowieckiego /.../

xxx

W okresie "Securitate", służba "D" funkcjonowała oficjalnie jako skromne biuro "dokumentacji", mieszczące się na IV piętrze wydzielonego gmachu ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Większość funkcjonariuszy Securitate sądziła, iż służba D to tylko skromne biuro, gdzie w trzech okienkach można było samowolnie przebiegać materiał archiwalny - co rzeczywiście funkcjonowało, lecz stanowiło jedynie świetną przykrywkę.

Gdy tam przybyłem, oficer wprowadził mnie przez tajne drzwi, wyposażone w elektroniczny zamek szyfrowy. Po przejściu przez strefę bezpieczeństwa - która rzeczywiście wyglądała na archiwum - zagłębił się w królestwo prawdziwej dezinformacji.

- Towarzyszu generale, rozpracowujemy obecnie rutynowe zadania. Jestem pułkownik Valentín Leonte, zastępca dyrektora grupy D /.../

Valentín Leonte - było to zaszyfrowane nazwisko pułkownika Valentina Lipatti, dwuletniego pracownika DIE /Departamentu Informacji Zewnętrznej, centralnej służby szpiegowskiej Rumunii/. Przez długi czas działał pod przykrywką funkcji asystenta pełnomocnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych /.../

- Pozwólcie mi zaprezentować sobie mój nowy system informatycznej klasyfikacji druków urzędowych.

W ciągu wielu lat służba D zdołała zgromadzić tysiące oficjalnych druków i podpisów ze wszystkich krajów Zachodu. Dzięki bezpośrednim staraniom DIE, a także wymianie z innymi służbami informacyjnymi krajów Paktu Warszawskiego - włącznie z Jugosławią i Libią/ - kolekcja owa zawierała wzory oficjalnych druków i podpisów praktycznie wszystkich państwowych, rządowych, ministrów, szefów tajnych służb i partii politycznych - jak również redaktorów głównych dzienników, szefów wielkich przedsiębiorstw prywatnych, a nawet organizacji charytatywnych wszystkich krajów niekomunistycznych. Watykan był tam również reprezentowany. /.../

Materiały te były używane do fabrykowania "autentycznych" dokumentów zachodnich, zawierających fałszywą informację - które pozwalały na nieprawdopodobne machinacje. Na przykład w ciągu poprzedzających 8 lat służby rumuńskiej dezinformacji sprecarowały z powodzeniem dokumenty podpisane przez różnych zachodnich przywódców państwowych. Każdy z tych dokumentów, mówiący o sprawach niezbyt wielkiej wagi, zawierał także subtelne aluzje na temat niezależności Rumunii wobec Moskwy. Jej otwartości wobec Zachodu, trudności ekonomicznych, jakie wynikają z jej izolacji w obrębie bloku sowieckiego - i wreszcie na temat znaczenia pomocy zachodniej dla Rumunii w sprawie dokonania przez nią wieloznacznego pojmowanego "otwarcia" w bloku wschodnim. Te "oryginalne" i mniej lub bardziej tajne dokumenty "wydykowały", w zależności od potrzeb, w różnych państwach. Mogły zostać zapamiętane w pokojach hotelowych klasy "lux" przez, jak to można było podejrzewać, reprezentanta któregoś z zachodnich rządów. Albo też mogły zostać dyskretnie przekazane jakimś dziennikarzowi przez zachodniego dyplomata - pracującego w rzeczywistości dla DIE... /.../

- A oto moje ukochane dziecko! - wykrzyknął Leonte, stając przed końcówką komputera, podłączoną do czytnika mikrofilmów.

- Proszę sobie wyobrazić, że potrzebujemy podpisu Jacquesa Chiraca, złożonego na oficjalnym dokumencie napisanym na maszynie, która była używana w jego sekretariacie w 1974 roku. Wystarczy wprowadzić odpowiedni kod - i wszystkie informacje ukażą się na ekranie, łącznie z odpowiednimi sygnaturami, pod którymi można znaleźć ta dokumenty.

Kolekcja Leonte'a pozwoliła także Rumunii zmniejszyć koszty importu z krajów zachodnich. Pierwsza operacja tego typu pozwoliła wyciągnąć zyski z zaklepiej

rywalizacji pomiędzy francuską firmą Schneider - Creusot a grupą przedsiębiorstw niemieckich, złożoną z AEG, Siemens i Schloemann AG. Firmy próbowały wejść na rynek rumuński z wyposażeniem hutniczym. Wszystkie dokumenty, złożone w Bukareszcie w toku wielomiesięcznych negocjacji zostały sfotografowane, a rozmowy telefoniczne i telexowe - podsłuchane. Pod koniec negocjacji technicznych, gdy zaczęto mówić o finansach, firma Schneider - Creusot została nagle poinformowana, że jej oferta jest o 20% droższa, niż niemiecka. Wobec tego Francuzi drastycznie zredukowali swoją cenę. Niemcy otrzymali natychmiastową wiadomość, że Francuzi ustalili cenę nieoficjalną. Taka gra ciągnęła się przez kilka miesięcy - i Bukareszt zarobił na tym kilka milionów dolarów. Podobne operacje powtarzane jeszcze kilka razy - zawsze z doskonałymi wynikami finansowymi dla Rumunii... /.../

XXX

Ile mamy gotówki na czysto na koncie TA - 78? - zapytał mni. Nagle Ceausescu. Szybko zajrzał do notatnika:

- Około 400 milionów dolarów.

- Trzeba będzie podnieść ceny, jakie płać nam Tel Awiw i Bonn za Żydów i Niemców.

- Tak jest, Towarzyszu.

Ceausescu mówił o sumach, które uzyskiwaliśmy za wizy wyjazdowe, wydawane mniejszościom pragnącym uciec z Rumunii. "Nafta, Żydzi i Niemcy - to nasze najlepsze artykuły eksportowe" - zwykł był żartować.

Emigracja Żydów stanowiła od lat kłopotliwy problem dla Rumunii. Rosnąca liczba Żydów, którzy chcieli opuścić ten komunistyczny raj była skazą na nieskazitelną opinię Bukaresztu. Pod koniec lat 50-tych brytyjski przemysłowiec Henry Jacober, który od lat prowadził interesy z Rumunią i w końcu został zwierzbowany przez DIE, zażądał natychmiastowego spotkania ze swoim oficerem łącznikowym, Gheorghe Marcu. Oznajmił mu, że poinformował Izraelczyków o swoich powiązaniach z Rumunią, i że tajne służby Tel Awiwu pragną użyć go do specjalnej misji, która musi zostać utrzymana w ścisłej tajemnicy. Jak się okazało, Izrael gotów byłby zapłacić pewną sumę Bukaresztowi za każdego Żyda, który uzyskałby pozwolenie na emigrację. Ustalenie wysokości tej sumy musiałyby być dokonane polubownie, bez żadnych dokumentów pisanych. /.../

Kiedy Jacober umarł na raka, zastąpił go wicedyrektor służby informacyjnej Izraela, Itzhak Yesahanu. Ceausescu nie miał nic przeciwko bezpośrednim stosunkom z Tel Awiwem - zarządził jednak, by pozostały one ograniczone wyłącznie do jednostkowych kontaktów, a nawet, w 1972 roku zdecydował /gdyż sterował osobiście tajnymi służbami/ - by DIE angażowała się już tylko wyłącznie w wymianę... /.../

Nowe porozumienie Marcu - Yesahanu, wyłącznie słowne, ustalało, że Bukareszt będzie otrzymywał pewną sumę w gotówce, która będzie negocjowana w każdym przypadku, w zależności od wieku, wykształcenia, zawodu i sytuacji rodzinnej danego Żyda uprawnionego do emigracji. W 1978 roku suma ta wahała się pomiędzy 2.000 a 50.000 dolarów na osobę. W niektórych przypadkach mogła nawet sięgać 250.000 dolarów. Marcu i Yesahanu spotykali się raz na miesiąc w ambasadach rumuńskich w Niemczech Zachodnich, w Austrii albo w Szwajcarii. Marcu przedstawiał listę Żydów, którzy otrzymali pozwolenie na emigrację - a Yesahanu przynosił wizy wypchane odpowiednią ilością dolarów. W 1974 roku jedna z takich wiz została zgubiona na lotnisku w Zurychu - i odnalazła się po kilku dniach. Zawierała milion dolarów. Z biegiem lat porozumienie Marcu - Yesahanu przyniosło Bukaresztowi setki milionów dolarów - łącznie z sumami, które Yesahanu wpiatał, otwierając kredyty w bankach europejskich.

Zachęcony tymi sukcesami Ceausescu nie wahał się już nakazać DIE, by zaproponowała podobną wymianę Niemcom Zachodnim. Jego zdaniem taka operacja powinna być przynieść jeszcze większe korzyści, niż poprzednia - gdyż mniejszość niemiecka w populacji rumuńskiej liczyła ponad milion osób. Zastosowano taką samą procedurę, jak w przypadku Żydów: porozumienie ustne i kontakty osobiste pomiędzy Marcu i "Edwardem" - tajnym agentem działającym w imieniu zachodnioniemieckiego ministra spraw zagranicznych Hansa - Dietricha Genschera.

Edward kontynuował swoje tajne misje nawet po roku 1977, kiedy to został wybrany do Bundestagu. Każdego miesiąca wizy wypchane dolarami odlatywały samolotami Taromu do Bukaresztu.

W 1971 Ceausescu zaczął się poważnie troszczyć o swój majątek osobisty. - Gdy rozpocząłem swoje urzędowanie, sądziłem, że obejmuję je na zawsze.

- A więc tak! - wykrzyknęła -
- Czy jest w Londynie, czy w Berlinie - to i tak jest tylko żoną jeunego z moich ministrów. Chcę, żeby była pod obserwacją przez 24 godziny na dobę, bez względu na to, gdzie się znajduje - czy w Rumunii, czy za granicą!

Po tym wybuchu wściekłości Elena zaczęła bez zbytniego zainteresowania wertować różne dossier, które jej przynosiłem. /.../

- Mam dla was nowinę - oznajmiła mi, podnosząc się z trudem, by przejść do biblioteki.

- Byłam właśnie w Instytucie, pracowałam nad swoją nową książką, gdy jakiś człowiek, cudzoziemiec, bardzo dystyngowany, zaczął nalegać, że chce ze mną porozmawiać, to był "dyrektor" uniwersytetu w Lipsku. We własnej osobie!

- W Lipsku, czy w Darmstadt? - dopytywałem się, wiedząc, że przyjmowała ostatnio "rektora" Instytutu Technologii w Darmstadt, i że często nie odróżnia Niemców Zachodnich od Wschodnich.

- Nieważne. Czy wiecie, czemu on przyjechał z tak daleka? Aby przywieźć mi niemieckie tłumaczenie mojej książki!

"Moja książka" - dzieło traktujące o mechanizmach syntezy pewnych związków makromolekularnych, zostało napisane przez zespół badaczy i inżynierów, z których większości Elena nie widziała nawet na oczy. Długo dostarczyła im tajnych informacji, zdobytych przez swoich agentów, najświeższych, jakie w tej dziedzinie można było zdobyć na Zachodzie. /.../

Ion Pacepa

/tłum. Małgorzata Koziorożec

"L'Express", 11.XI.1988/

CEAUSESCU - CHORE CIAŁO I DUSZA

Nicolae Ceaușescu zawsze wydawał się być "impregnowany" na wszelkie zdroworozsądkowe racje polityczne - lecz ostatnio stan ten pogłębił się wręcz niepokojąco.

Cierpi na wiele chorób - co niewątpliwie wpływa na jego mentalność, nis tylko polityczną.

Przede wszystkim od lat choruje na cukrzycę; ma także powikłania po usunięciu raka prostaty /którego operowano mu w Moskwie/. W 1988 roku miał atak afazji Broca. Objawami były: przejściowa utrata mowy, czasowa niepełność komunikowania myśli i uczuć. Obrazu jego stanu psycho-fizycznego dopełnia paranoja, objawiająca się przede wszystkim w patologicznym natężeniu jego niektórych cech charakteru: nietolerancji, pychy, złośliwości, chorobliwej podejrzliwości, napadów niepomamowanej furii. A czyż ostatnie jego pomysły nis są symptomami klasycznej paranoi? Totalne przebudowanie Bukaresztu wzorem barona Hansmanna? Zamiar zamknięcia 7000 ludzi z miast na wsi, w słynnych 558 "centralach rolniczo-przemysłowych"?

Gdy 26.01.88 obchodził swoje 70-te urodziny, ogłosił, że wśród tysięcy życzeń i gratulacji znalazły się trzy telegramy: od królowej Anglii, od króla Belgii i od króla Szwecji. Dementi, opublikowane natychmiast przez osoby królewskie, nie zostały podane do wiadomości w Rumunii. Nic nie może zmącić megalomańskich wyobrażeń Ceaușescu.

Psychiatrom znane są tego typu zachowania i zaburzenia. Ceaușescu bez końca cnieć potok superlatywów, jakimi zalewają go dworzanie - co jeszcze większa stopień rozdwojenia jego osobowości. Z owych superlatywów ostatnim "krzykiem mody" są tytuły: "Filament Ludzkości" i "Niezrównany Strateg nad Strategami".

Ceaușescu popiera donosicielstwo. Donosicielstwo zinstytucjonalizowane stało

się "konieczne z punktu widzenia wzmocnienia ochrony tajemnic państwowych". Paranoja każe mu także wozić na spacerki po Bukareszcie swojego dobermana w rządowej limuzynie, w asyście obstawy policyjnej. Syndrom Kaliguli, który mianował konsulem swego konia? A czyż jego nieprawdopodobny nepotyzm, dzięki któremu pragnąłby jeszcze bardziej kontrolować władzę tych, którymi się otacza, nie jest również objawem niepokojącym?

Większość Rumunów z wielką uwagą śledzi zmiany w stanie fizycznym swego przywódcy. "Chyba schudł ostatnio. Może cukrzyca się rozwija? A może to rak z przerzutami? Może zaburzenia krążenia?"

Jaka jest prawda? Wszystkie ostatnie publikowane zdjęcia są albo da je, albo retuszowane. Bardzo rzadko pojawia się teraz w TV - a jeżeli, to zawsze na wpół ukryty wśród otaczających go osób. Podejrzewa się, że w czerwcu 1988, w czasie publicznej debaty miał znów atak afazji. Urwał przemowę i musiał wyjść. Wrócił, już w innym ubraniu.

Są to oznaki niejasne, lecz znaczące - z pewnością nie uchodzą uwadze Związku Sowieckiego.

Tłum. Małgorzata Koziorożec
/"L'Express", 18.11.88/

Izrael

Cezary Kaźmierczak

IZRAEL - RECEPTA NA ISTNIENIE

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień winien jestem Czytelnikowi kilka wyjaśnień. 1/ jestem zdecydowanym sympatykiem państwa Izrael. Powody mojej sympatii są następujące: Izrael jest państwem wzorowej demokracji, jedynym zresztą w tym rejonie świata. Pojedynek pomiędzy Arabami a Izraelem rzeczywiście przypomina walkę Dawida z Goliatem i pocieszającym dla Polaków jest fakt, że nawet mając fatalne położenie geopolityczne można utrzymać niepodległość. Ponadto popieranie Izraela jest - co może wydać się paradoksalne - korzystne również dla sprawy polskiej. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wiele osób żydowskiego pochodzenia piastuje w świecie /szczególnie w USA/ bardzo wysokie funkcje i mają poważny wpływ na politykę swoich rządów i innych instytucji wobec Polski. Dodać do tego należy, także więzy historyczne łączące nasze narody oraz fakt, że holocaust dokonał się na naszych ziemiach, za co bynajmniej nie my ponosimy odpowiedzialność, ale nie ulega też wątpliwości, że jako naród mogliśmy zrobić więcej, aby ratować Żydów.

2/ z przekonania jestem pacyfistą, ale nie "ortodoksyjnym". Uważam, że użycie siły w pewnych sytuacjach jest niezbędne i konieczne. Nie uważam, że "wojna sprawiedliwa" jest li tylko wojna obronna. Czasem zdarza się, że należy uderzyć prewencyjnie, żeby uniknąć większych niszczuć. Tak było np. z Hitlerem - plany uderzenia prewencyjnego, aby zdusić tyranie w zarodku, odrzucono i co z tego wynikać wszyscy wiedzą.

3/ uważam, iż Izrael ma jedyną, skuteczną w świecie strategię antyterrorystyczną, która streszcza się w następującym zdaniu: "terrorysta wychodzi z zamachu lub porwania albo w kajdankach albo martwy". Izrael nie negocjuje i terroryści wszelkich odcieni o tym dobrze wiedzą. Dlatego też proporcja pomiędzy organizacjami terroru nienawidzącymi Izraela a liczbą zamachów jest tak niska.

ŻYDZI I ARABOWIE^{x/}

x/ Fragmenty niniejszego rozdziału pochodzą z tekstu "Izraelskie Impresje" tegoż autora.

Zacząć należy od tego, że ziemię, o której od tylu lat trwa tak zacięta i bezlitosna walka nie należały ani do Arabów, ani do Żydów, lecz do starożytnego ludu nie-semickiego pochodzenia, do Filistynów. Ludy mówiące językami semickimi osiedliły się tam dopiero z początkiem trzeciego tysiąclecia i nie było wśród nich protoplastów Arabów i Izraelitów. Pierwsze plemiona hebrajskie pojawiły się w Palestynie między XX a XIV wiekiem. W XIII wieku p. Chr. Izraelici zdobyli Gilead na wschód od Jordanu i Środkową Palestynę. Przekonał dokonali król David i jego następca Salomon. David zdobył Jerozolimę, z której uczynił wielki ośrodek religijny i polityczny. W roku 70 n.e./ następuje jedna z największych tragedii w historii narodu żydowskiego: Tytus burzy świątynię i wypędza Żydów z Palestyny.

Arabowie pojawili się w Palestynie podczas pierwszego podboju muzułmańskiego w latach 634-635. Arabski kalif ogłosił Jerozolimę trzecim co do ważności świętym miastem muzułmańskim. Od tego czasu trwał stały proces arabizacji i islamizacji Palestyny. W XIX wieku w Palestynie mieszkali niewielkie grupy etniczno-religijne Żydów w zgodzie z otaczającym je morzem Arabów.

Nad ziemiami tymi w różnych okresach panowali także Egipcjczycy i Babilończycy, Persowie, Grecy, Rzymianie, Krzyżowcy, Turcy, Brytyjczycy, Egipcjanie...

Przełomem nagonką antysemitką podczas procesu Dreyfusa, między dziennikarzem wiedeńskim żydowskiego pochodzenia, Teodor Herzl pisze w roku 1896 słynną książkę "Judenstadt", która daje początek ruchowi syjonistycznemu. Herzl głosi konieczność zbudowania siedziby narodowej dla Żydów. Udaje mu się pozyskać do swojej akcji kapitał żydowski. Rozpoczyna się napływ Żydów do Palestyny. W zamian za pomoc finansjery żydowskiej podczas I wojny światowej /"ziemię za działą" / Anglia ogłasza słynną Deklarację Balfoura, która w zasadzie Anglików do niczego nie zobowiązuje /"każde słowo odwołane na złote waże", lecz daje ruchowi syjonistycznemu dużą siłę napędową. W roku 1946 Palestynę zamieszkuje już 677 tys. Żydów i 1289 tys. Arabów. W 1947 roku Zgromadzenie Ogólne przyjmuje plan podziału Palestyny przyznający Żydom 55% ziem mandatu brytyjskiego. Liga Arabska podejmuje decyzję o wszczęciu działań wojennych w przypadku jego realizacji. 15 maja 1948 roku zostaje proklamowane niepodległe państwo Izrael. Arabowie dotrzymują słowa. Przeciwno Izraelowi wyruszają Egipt, Transjordania, Irak, Syria i Liban. W Izraelu często porównuje się tę wojnę do pojedynku Dawida z Goliatem i chyba słusznie. Przeciwko 700 tysiącom Żydów wystąpiły państwa, w których liczba ludności wynosiła 40 mln. Wojna trwała rok. W jej wyniku Izrael zwiększył swój stan posiadania z 14 tys. km² - przyznanych przez ONZ - do 20,7 tys. km². Wynik wojny w świecie arabskim zostaje przyjęty jako totalna klęska i upokorzenie.

Od tego czasu Izrael przeżywa okres bujnego rozwoju. W roku 1948 nawadniano 30 tys. ha, w roku 1980 już 165 tys. ha. Zbudowano imponującą sieć dróg /ponad 4 tys. km/. Powstał nowoczesny przemysł /elektroniczny, optyczny, zbrojeniowy/. Opracowano technologie odsalania wody morskiej na skalę przemysłową. We wrześniu 1968 Izrael wystrzelił w przestrzeń kosmiczną sztuczny satelitę OFEK-1, tym samym jako 8 państwo świata opanowując technologię kosmiczną.

Osiągnięto to wszystko będąc de facto cały czas w stanie wojny z państwami arabskimi. Na pewno nie bez znaczenia była tu pomoc amerykańska /obecnie wynosi ona 3 mld USD rocznie/, odszkodowania /jennie z RFN /łącznie 800 mld marek; energicy dotąd nie dali znanemu feninga, choć ostatnio zaczynają coś przebąkiwać, że będą wypłacać odszkodowania "osobom starszym znajdującym się w ciężkiej sytuacji materialnej" / oraz pomoc rozsianych po całym świecie Żydów, głównie amerykańskich.

Po wojnie o niepodległość pierwszą "poważną" wojną była kampania sueska w 1956 roku. Wcześniej jeszcze w lutym 1955 roku miał miejsce izraelski rajd na Gazę. Izrael motywował swój krok retajacją za ataki fedainów /ten, który się poświęca/ z tego terytorium. W 1956 Nasser - wbrew postanowieniom Konwencji Konstanopolitańskiej - usiłował znacjonalizować Kanał Sueski. 29 października nastąpił atak. Do akcji wkroczyły także Francja i Anglia, które były zwrócić zainteresowane sprawą kanału. Jak się wydała akcja izraelska była bardziej spowodowana poczuciem szcyszu z Francją /była ona w owym czasie głównym dostawcą broni do Izraela/, niż rzeczywistymi interesami tego państwa. Izraelczycy traktowali "kampanię sueską", także jako odwet za ataki terrorystyczne z terytorium Egiptu. Ogień przerwano 6 listopada pod naciskiem supermocarstw. W marcu ostatnie oddziały izraelskie wycofały się z Gazy, gdzie utworzono linię demarkacyjną, nad którą kontrolę przejęły siły ONZ.

Kolejną "dużą" wojną była słynna "wojna sześciodniowa". Wojna "stała się nieuchronna - mówi Ezer Weizman - kiedy prezydent Egiptu zamknął cieśninę Tiras,

a sekretarz generalny ONZ U Thant popełnił błąd i wycofał swoje "brakujące belony z półwyspu Synaj /na żądanie Egiptu - przyp. CK/. Nie pozostało nam już nic innego, jak pójść i otworzyć cieśninę. Zrobiliśmy to 5 czerwca, niszcząc w ciągu trzech godzin lotnictwo egipskie. Rankiem tego samego dnia powiedzieliśmy królowi Husajnowi z Jordanii: "Stój spokojnie, żebyśmy nie musieli cię atakować". On wołał jednak uwierzyć Nasserowi, który opowiadał mu, że zbombardował i zniszczył Tel Aviv. I zaczął strzelać nam w plecy. Wysłaliśmy mu naprzeciw nasze oddziały i samoloty. /../ 7 mieliśmy cieśninę Tiran i Sclaną Płaczu. Dziewiątego stwierdziliśmy: problemy przychodzą z północy? Świetnie, atakujemy równi: z Syryjczyków. I opanowaliśmy wzgórze Golan". Zwycięstwo Izraela było przytłaczające. W wyniku wojny sześciodniowej Izrael zajął Zachodni Brzeg Jordanu, Gazę, Synaj i Wzgórze Golan. Wojska izraelskie praktycznie bez problemu mogły zająć Kair i Damaszek, od którego były zaledwie 30 kilometrów. "Całkowite zwycięstwo to katastrofa" - stwierdził Wiktor Szm-Tow, deputowany z ramienia socjalistycznej partii Mapam. Nie mylił się. W Izraelu zapanowała euforia i samouspokojenie: "jesteśmy silni, nic nam nie grozi etc." Ponadto zrodziło to nacjonalistyczne pragnienia zatrzymania zajętych terytoriów, z którymi dzisiaj Izrael ma tyle kłopotów.

Ta pewność siebie zemściła się we wrześniu 1973 roku podczas wojny Yom Kippur. Yom Kippur /Sądny Dzień/ to najważniejsze święto żydowskie. Tego dnia w Izraelu zamiera życie, nie funkcjonuje nawet radio i telewizja. Tegoż dnia, z zupełnego zaskoczenia do Izraela wkroczyła armie egipska i syryjska. Sytuacja była bardzo ciężka. Izrael z defensywy wyszedł dopiero po tygodniu. Amerykanin, gen. Kegan twierdzi, że gdyby dowódcy 5-ciu dywizji syryjskich potrafili nawiązać łączność, wojska syryjskie w ciągu 2 dni zajęłyby Tel Aviv. Sowieci, którzy latali helikopterami nad wyżyną Golan usiłowali skoordynować działalność dywizji syryjskich również bez skutku. Kontratak izraelski powiódł się znakomicie. Cahal /wojsko izraelskie/ wrócił nie tylko na pozycje obronne na Kanale Sueskim, ale nieomal dotarł do Kairu. Na Synaju okrążono dwie najważniejsze armie egipskie, jedną armię rozbito. Wskutek mediacji Kisingere, który posiadał zaufanie zarówno Izraela jak i Egiptu, 23 października 1973 Izrael zgodził się wstrzymać działania. Armie egipskie były jednak nadal okrążone. W wyniku nacisku amerykańskiego armie zwolniono - i, co jest już dla mnie zupełnie niezrozumiałe, zwolniono z b r o n i ą . W wojnie Yom Kippur zginęło 3 tys. żołnierzy izraelskich.

Po tej wojnie Sadat zrozumiał, że dalej wojować nie ma co. Nastąpiło szereg tajemniczych spotkań izraelsko-egipskich, które doprowadziły do Camp David, jedynego pokoju na Bliskim Wschodzie, który - choć określa się go mianem "zimnego pokoju" - jest faktem. Sadata do pokoju skłoniło rozczarowanie światem arabskim /@ Egipcjanach trudno powiedzieć, że są typowymi Arabami/, bieda i niedza w jego kraju, obietnice pomocy amerykańskiej oraz zawód, który sprawili mu Rosjanie, którzy "jedno myśleli, drugie mówili a trzecie robili". Pewną rolę odegrał także następujący fakt. Wywiad izraelski /Mossad/ zdobył informacje na temat przygotowań Libii do obalenia rządu Sadata. Zazwyczaj Izrael zachowywał takie informacje dla siebie /w najlepszym wypadku przekazując je Amerykanom/. Tym razem Begin polecił przekazać te informacje bezpośrednio Sadatowi. Informacje Mossadu okazały się nadzwyczaj precyzyjne.

Kolejną wojną był atak na Liban w 1982 roku. Aby wyjaśnić przyczyny tego konfliktu, należy napisać kilka słów o Libanie. Jedną z głównych przyczyn doprowadzenia tego kraju, niegdyś nazywanego "Czwajcarą Bliskiego Wschodu", do ruiny było przybycie tam po roku 1967 400 tysięcy Palestyńczyków, którzy nie przybyli tam jako uchodźcy, ale jako zdobywcy. Zaczęli zakładać obory z własną policją, wojskiem, kontrwywiadem... Doszło do tego, że patrol palestyński legitymował Libańczyków itd. W sumie zaczęli przetrwać w państwie. W 1973 roku doszło do pierwszych starć pomiędzy wojskami libańskimi a Izrael. W maju 1975 zaczęło się wojna. Palestyńczycy obory zaczęli przekształcać do faktu wojskowe. W ognistych starciach wyrzucenie rakiet, którym osłabliwano Izrael. W pewnym momencie Izrael zaczął, że odwrócić się od Libanu i zaczął atakować Liban, że do czasu, nie było obawy, że Liban nie zostanie opanowany przez Izrael. W maju 1982 roku Izrael wkroczył do Libanu i rozpoczął atak na obory. W maju 1982 roku Izrael wkroczył do Libanu i rozpoczął atak na obory. W maju 1982 roku Izrael wkroczył do Libanu i rozpoczął atak na obory.

"pomogli" w tym Izraelowi ekstremiści palestyńscy sprzyjający Syrii. 8 lipca 1988 ugrupowanie Abu Mousy zdobyło Borż-Barażneh, ostatni obóz palestyński w okolicach Bejrutu, sprzyjający Arafatowi. Tymczasem OWP /za/instalując się w Tunisie - ciekawe, czy Tunezja skończy tak jak Liban...

AKTUALNA SYTUACJA MILITARNA NA BLISKIM WSCHODZIE

Największym bodaj szczęściem Izraela jest potworne ekscyzjon wśród Arabów. Aktualnie największymi wrogami Izraela są Syria i Irak. Po ludobójstwie na ludności kurdyjskiej na przełomie sierpnia i września br. prasa syryjska nazywała Sadama Husaina "Hitlerem Bliskiego Wschodu". Jest to oczywiście drobny przyrównanie, ale, moim zdaniem, dość trafnie obrazuje sytuację w tym rejonie. Ponadto pozostaje wykłety za zawarcie pokoju z Izraelem Egipt, a także Jordania oraz Arabia Saudyjska. Te dwa ostatnie państwa mają zdecydowanie dość wojen z Izraelem. Zresztą Arabia Saudyjska brała udział tylko w pierwszej. Typowym przykładem niemożności współpracy pomiędzy krajami arabskimi jest pierwsza wojna z Izraelem. Państwa arabskie, które utworzyły pięć frontów, w żaden sposób nie mogły wypracować wspólnej strategii. Gdy jedna armia arabska była w defensywie, inna nie przychodziła jej z pomocą etc.

W przypadku włączenia się w kolejną wojnę z Izraelem Egipt straciłby pomoc amerykańską wynoszącą obecnie 2,35 mld dolarów rocznie. Na Bliskim Wschodzie jest jednak wszystko możliwe i Izrael się z tym liczy. "Proszę zapamiętać - powiedział gen. aron Yariv - że na Bliskim Wschodzie wszystko zawsze odbywa się bardzo szybko".

Wojskowi izraelscy najbardziej obawiają się Syrii i Iraku. Istnieje obawa, że po wylizaniu ran wojennych Irak nabierze ochoty na uruchomienie frontu wschodniego. Dlatego też Izrael nie krył się specjalnie z tym, że dostarczał części zamienne oraz broń Iranowi, aby ten mógł dalej prowadzić wojnę. W Syrii natomiast rządzi partia typu komuno-faszystowskiego, która uznanie państwa Izrael podczas obrad Palestyńskiej Rady Narodowej w Algierze potraktowała jako przejaw "tendencji defetystycznej". Ponadto Syria jest niemal całkowicie uzależniona od ZSRR. np. całe uzbrojenie syryjskie pochodzi z Sovietów. Uzbrojenie po obu stronach jest mniej więcej podobnej jakości /choć np. Arabia Saudyjska posiada samoloty "Tornado", których Izrael nie ma/. Syria i Irak dysponują łącznie milionem żołnierzy, posiadają 10 tys. czołgów oraz 1200 samolotów. Dla porównania: Cahal może zmobilizować 550 tys. żołnierzy, posiada 3800 czołgów oraz 600 samolotów. Ponadto Syria ma 25 rakiet SS 21 oraz potężny arsenał broni chemicznych. Dziennik "Wall Street Journal" twierdzi, że Izrael nie jest przygotowany na wypadek ataku chemicznego. Minister Obrony Izraela gen. Rabin jest w tej kwestii odmiennego zdania. "Nie byłoby dziś w stanie - mówi gen. Aaron Yariv - pokonać arabskiego lotnictwa z tak piorunującym skutkiem, jak to miało miejsce 5 czerwca 1967 roku. Potrzeba by było nam 86 godzin, by zmobilizować jednostki rezerwy, zaś we wstępnej fazie konfliktu nie moglibyśmy najprawdopodobniej prowadzić działań wojennych na dwóch, nie mówiąc o trzech frontach. Ale nie ma powodów do obaw - zwycięstwo, tak czy inaczej, przypadłoby w udziale właśnie nam".

Ponoć jako ostatni argument - według rewelacji Mordechaja Vanunu - Izrael posiada 200 bomb atomowych. Krążą pogłoski, że Cahal dysponuje także bombą neutronową.

INTYFADA

Na wybuch Intyfady /arab. = zrzucenie/ złożyło się wiele przyczyn. Jak się wydaje, główną jest poczucie krzywdy i upokorzenia Palestyńczyków, którzy słusznie nazywani są "Żydami świata arabskiego". Wyrzucano ich kolejno z Jordanii, Egiptu, Izraela, Syrii. Husajn i Asad urządzili im rzezie: w 1976 roku po wejściu do Libanu Syryjczycy wymordowali ich 30 tysięcy, w 1970 roku podczas tzw. "czarnego września" - według najbardziej obiektywnych obliczeń - Jordania zamordowała ponad 30 tysięcy Palestyńczyków.

Na tzw. "terenach" Palestyńczykom powodzi się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Za rządów egipskich dochód na głowę mieszkańca wynosił zaledwie ułamek tego, co obecnie. Na Zachodnim Brzegu nie było ani jednego uniwersytetu, obecnie są trzy. Maja więcej swobody niż ich bracia w krajach arabskich, lecz dla nich punktem odniesienia są Izraelczycy, których standard życia jest wysoki. Palestyńczyk zarabia 2/3 średniej pensji izraelskiej. Niemniej czują się dyskryminowani. W Gazie 12 na 15 miejscowości nie ma kanalizacji, śmiertelność dzieci jest

czterokrotnie wyższa niż w Izraelu, bezrobocie sięga 20%. Narzekają, że policja broni Żydów przed Palestyńczykami, a nie broni Palestyńczyków przed bandytami. Ten ostatni zarzut jest nieco naciągany. Przeważnie np. wiśni zbrodni na tle politycznym zostają wykryci, a należy pamiętać, że można tam stracić życie za otwarcie sklepu podczas strajku ogłoszonego przez kierownictwo Intyfady.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu Intyfady były następujące wydarzenia: na początku grudnia pewien Izraelczyk został zakłuty nożem, dwa dni potem ciężarówka staranowała dwa samochody, zginęło czterech Arabów. Palestyńczycy uznali, że nie jest to przypadek, a odwet. Doszły do tego plotki, niektóre rodem ze średnio-wieczna, że zatruto studnie, że żołnierze wkroczyli do meczetów etc. 9 grudnia 1987 doszło do pierwszych demonstracji. Po 14-tu miesiącach trwania Intyfady liczba ofiar śmiertelnych po stronie palestyńskiej wynosiła 360 osób, 7 tysięcy rannych i 22 tysiące aresztowanych. 30 Palestyńczyków zostało zaincynowanych przez tłum za "kolaborację". Straty po stronie izraelskiej wynoszą 14 zabitych i kilkuset rannych.

W Polsce niemal powszechnie sądzi się, że Intyfadę wywołała i kieruje nią OWP. Tymczasem jest to nieprawda. OWP posiada pewne niewielkie wpływy jedynie na Zachodnim Brzegu. W Gazie Intyfademie ton nadają islamsko-sunnicy ultrasi, walczący nie jak umiarkowane odłamy OWP o państwo palestyńskie, nawet o całą Palestynę, ale o wielkie państwo islamskie na całym Bliskim Wschodzie. W Paryżu odbyło się spotkanie przywódcy "rewolucji kamieni" z Ibrachimem Sorssem, rezydentem OWP we Francji, który usłyszał: "Moście przyłączyć się do nas, ale nie próbujcie przejąć władzy nad ruchem, bo ten ruch to nie OWP".

Sama OWP składa się z 8 frakcji, niekiedy zwalczających się przy użyciu najokrutniejszych metod. Oprócz OWP istnieją jeszcze inne organizacje palestyńskie, znacznie bardziej radykalne, które swoje siedziby mają głównie w Damaszku. O ogromnym skłóceniu w ruchu palestyńskim świadczą choćby walki pomiędzy różnymi ugrupowaniami palestyńskimi w Libanie /łącznie z użyciem artylerii/. Do tego dochodzi jeszcze młode pokolenie Palestyńczyków, które rozpoczęło i prowadzi Intyfadę - i bigos jest prawie gotowy.

Może to się wydawać paradoksalne, ale ten bigos nie jest wcale na rękę Izraelowi, dla którego nie istnieje żadna wiarygodna reprezentacja palestyńska. Nie ma po prostu z kim rozmawiać. Upadła ostatecznie opcja jordańska po tym jak w lipcu ub.r. Jordania zrzekła się praw do Zachodniego Brzegu. Szymon Peres, lider Maarachu /Partii Pracy/ lansował koncepcję zwrócenia "terenów" Jordanii, twierdząc, że właściwie Jordania jest państwem Palestyńskim /większość obywateli Jordanii to Palestyńczycy plus jeszcze 200 tys. na statusie uchodźcy/. Aktualny premier Izraela, Icchak Szamir, szef bloku prawicowego Likud, jest zdecydowanym przeciwnikiem zwrócenia "terenów", nie bez racji twierdząc, że państwo Palestyńskie będzie ogniskiem zapalnym i głównym siewcą niepokoju na całym Bliskim Wschodzie. Zapewne pojawiliby się tam zaraz "doradcy" radzieccy, potem broń i co dalej - to już wszyscy wiedzą. Szamir twierdzi również, że nie będzie negocjował z OWP /z terrorystami się nie rozmawia/; obawia się międzynarodowej konferencji, aby nie powstała sytuacja, w której Izraelowi zostaną narzucone różne rozwiązania na zasadzie "wszyscy przeciwko jednemu". Prawica izraelska jest zdania, że pomimo różnych deklaracji palestyńskich rzeczywistym zamiarem OWP i innych jest dążenie do likwidacji państwa Izrael. Niestety, proklamowanie niepodległego państwa Palestyńskiego, a raczej sposób jego proklamowania, potwierdzają te obawy. Brak jasnego określenia granic, proklamowanie stolicy w Jerozolimie /obecna stolica Izraela/, nie wycofanie karty palestyńskiej /3 x NIB: Izraelowi, pokojowi, negocjacjaom/; a także nie odciecie się od haniębnej rezolucji ONZ uznającej syjonizm za formę rasizmu - to wszystko jeszcze bardziej osłabia elementy umiarkowane w Izraelu, które dążą do pokojowego uregulowania sporu.

Palestyńczycy zachowują się dość dziwnie. Przed wyborami w sposób ewidentny prowadzili kampanię na rzecz Likud, siły, która uważa, iż nie należy się z nimi "patyczkować". Nie można bowiem inaczej odczytać następujących faktów: tydzień przed wyborami, przy użyciu ciężarówki wypełnionej materiałami wybuchowymi dokonano zamachu na izraelski konwój wojskowy, w wyniku którego śmierć poniosło 7 żołnierzy. Jeszcze większy horror wśród izraelskiej opinii publicznej wywołało obrzucanie butelkami z benzyną cywilnego autobusu w pobliżu Jerycha na trzy dni przed wyborami. W płomieniach zginęła matka z trojgiem dzieci. Akty te miały duży wpływ na umocnienie pozycji radykałów i w rezultacie zwycięstwo prawicy w wyborach.

Niektórzy specjaliści wyrażają opinię, że OWP /a przynajmniej większości jej ołdarów/ w ogóle nie zależy na powstaniu tego państwa. OWP jest w tej chwili potężną organizacją terrorystyczno-przemysłową, która z powodzeniem może żyć własnym życiem i wszelkie zmiany tylko jej w tym przeszkadzają. Otrzymuje ogromne pieniądze od państw arabskich, nierzadko na zasadzie szantażu, np. Arabia Saudyjska jest w stanie płacić naprawdę gigantyczne pieniądze byłoby tylko nie mieć u siebie Palestyńczyków. Ponadto OWP posiada własne fabryki nie tylko w Syrii czy Tunezji, ale również w Ameryce Południowej; zajmuje się też fałszowaniem dolarów. Bez wątpienia najwięcej do powiedzenia na temat OWP miałby Mossad, który jednak bardzo rzadko dzieli się swoimi informacjami z opinią publiczną. Powodem tego jest m.in. fakt, że Izraelowi nie zależy np. na skompromitowaniu Arafata, który mimo wszystko jest najważniejszym z przywódców OWP. Boją się po prostu, żeby jego miejsca nie zajął Habsz czy Dzibrill bądź też inny ekstremista. Dzięki ogromnym pieniądzom wodzowie OWP żyją w luksusach, w ogromnych willach /niektórzy mają po kilka/ pełnych służby i delikatesów. Gdyby powstało państwo, o którym ciągle mówią, mogliby dużo z tego stracić.

Jeszcze inni specjaliści podejrzewają, że OWP jest manipulowana przez ... Izrael! Pomijając słowne deklaracje należy stwierdzić, że to, co do tej pory zrobił Arafat, tak czy inaczej służyło Izraelowi. "OWP jest dla Izraela - twierdzi Pascal Perri - pretekstem, by prowadzić wojnę, usprawiedliwić stan pogotowia i wielkomocarstwową politykę tego państwa". Zastanawiać też musi ciągłe odrzucanie przez OWP wszelkich planów pokojowych. Np. plan Rogersa z 1970 roku dawał Palestyńczykom więcej niż oni sami w tej chwili żądają.

Jedno wszakże w tym konflikcie jest niemal pewne: klucz do jego rozwiązania leży w rękach Izraela. Bez jego zgody nie da się nic zrobić. Nie pomoże nawet nacisk największego sojusznika Izraela, Stanów Zjednoczonych. Izrael jest przygotowany na wszystko. Gdy po wojnie sześciodniowej zapytano jednego z generałów izraelskich: jak jest możliwe przeprowadzenie tak sprawnie działań wojennych skoro twierdzi, że nie były one uprzednio przygotowywane, generał ze spokojem odparł: "Many przygotowane plany na wszelkie możliwe sytuacje, łącznie ze zdobyciem Bieguna Północnego". To są oczywiście żarty, ale nie można odmówić Izraelczykom żelaznej konsekwencji w dążeniu do tego, aby nie być zależnym od kogokolwiek. Przemysł zbrojeniowy Izraela pokrywa znaczną część potrzeb armii. Samodzielnie skonstruowano i wdrożono do produkcji myśliwce "Kfir", pociski "Gabriel", kanonierki "Saar", czołgi "Merikava", własne łodzie podwodne. Izrael jest czwartym na świecie eksporterem broni /łącznie wartość: 2,5 mld USD, w roku 1967 30 mln USD/.

Teraz każdy inteligentny Czytelnik może zapytać: skoro Cezary Kaźmierczak posiada takie informacje na temat OWP i ruchu palestyńskiego, to czy mam rozumieć, że państwa, które popierają ruch palestyński, uznają państwo Palestyńskie, tych informacji nie mają? albo też są głupie i niemoralne? Odpowiadam: państwa, posiadają znacznie, znacznie więcej informacji od Cezarego Kaźmierczaka, głupie nie są, a niemoralność jest nieodłączną cechą polityki. O co chodzi? Chodzi o ropę naftową.

Państwa zachodnie /z wyjątkiem USA, które jeszcze zachowują szczyptę idealizmu w swej polityce/ usiłują balansować pomiędzy Arabami a Izraelem tak, aby ani jednym, ani drugim definitywnie nie "podaść". Trudno to określić inaczej jak cyniczne wykorzystywanie Arabów do wyłączenia swoich partykularnych interesów. Arabowie świetnie z nimi w tym dziele współpracują /przypomina to trochę aliancką rozgrywkę kartą polską w czasie II wojny światowej/. Nie myślą o przyszłości, wydaje im się, że ropa będzie ich atutem do końca świata. Poza Arabią Saudyjską, Emirata Arabskimi i Kuwejtem, nie próbują budować nowoczesnego przemysłu, rozwijać, a w zasadzie tworzyć nowoczesnego rolnictwa, tylko się zbroją i bezsensownie wydają pieniądze, które znajdują się w posiadaniu niezwykle wąskiej grupy społecznej - feudałów /nota bene głównych przeciwników niepodległego państwa palestyńskiego, którzy boją się komunizmu jak ognia, bowiem stanowią dla nich zagrożenie ich majątków. Tenże lęk przed komunizmem walczy z niepowiścią do Izraela. Wiedząc, że ruch palestyński sam nie jest w stanie wywalczyć niepodległości, ale za to zdolny jest "puścić krew" Izraelowi, częściowo go finansują. Ponadto niejednokrotnie bywają szantażowani przez OWP "odstrzeleniem"/. Słowem, Arabowie nie zdają sobie sprawy, że za 20-30 lat ropa może przestać być tym, czym jest obecnie. Niesłychany rozwój nowoczesnych technologii, poszukiwania alternatywnych źródeł energii i wreszcie fakt, że przecież ropośnośne

złoża nie są niewyczerpane spowoduje, że któregoś dnia ci wielcy wodzowie obudzą się z ręką w nocniku. Co wtedy zrobią ich sojusznicy? Po prostu ich kopną.

Niemniej problem palestyński jest dla Izraela problemem, który należy rozwiązać. Izraelowi grozi palestyńska "bomba demograficzna". Palestyńczycy mają ogromny przyrost naturalny i już za kilka lat będzie ich więcej niż Izraelczyków. "Nasz dylemat - mówi prof. Yehoshaff Hakabi - nie polega na wyborze między rozwiązaniem dobrym, czy złym, lecz między złym a jeszcze gorszym. Kraj może się utrzymać, jeśli na złe granice, takie jakie my będziemy mieli, kiedy się wycofamy. Ale nie będzie mógł się obronić, jeśli połowa jego ludności będzie sprzyjać przeciwnikowi".

Trudno powiedzieć, czy Szamir ugnie się pod naciskiem międzynarodowej opinii publicznej oraz tych Izraelczyków, którzy czują się zmuszeni przeciągającym się konfliktem. Prorokować co się stanie jest niezwykle trudno, szczególnie na Bliskim Wschodzie. Jedno wszakże chciałbym jeszcze raz podkreślić: ruch palestyński sam w żaden sposób nie jest w stanie zagrozić Izraelowi i sam wyważyć niepodległość, oraz że klucz do rozwiązania konfliktu spoczywa w rękach Izraela.

POLISA UBEZPIECZENIOWA NA ISTNIENIE

Armia Izraelska /dalej: Cahal/ jest jedną z najlepszych, o ile nie najlepszą armią na świecie. Izrael na obronę wydaje aktualnie 18% dochodu narodowego /w czasie wojny szesniodniowej 10%, w czasie wojny Yom Kippur 32%/. Cahal ma pod bronią non stop ok. 150 tys. żołnierzy i jest jedyną armią świata w większości składającą się z rezerwistów. W armii izraelskiej obowiązuje zakaz prowadzenia jakiegokolwiek działalności politycznej /złączenie z podpisywaniem petycji/. Po ukończeniu 45 lat wyżsi dowódcy muszą przejść na emeryturę. Do wojska idzie się obowiązkowo w 18 roku życia na 3 lata. Następnie do 50 roku życia co rok idzie się na dwa miesiące. Jeśli nie było się w wojsku, nie można iść na studia, ale przed poborem można wyjechać za granicę bez przeszkód. Kobiety służą w wojsku dwa lata /Liga Kobiet Izraelskich w ramach "równouprawnienia" domaga się trzyletniej służby/. Dziewczyny w wojsku służą głównie w łączności, kwatermistrzowie, aprowizacji, choć na własną prośbę mogą służyć także w jednostkach frontowych, z czego część korzysta. Cięża lub urodzenie dziecka przed wojskiem "ratuje" od służby. Postawienie cudzysłowu przy słowie "ratuje" w warunkach izraelskich wydaje się niezbędne. Stopień identyfikacji z armią jest ogromny. Pojawienie się gdziekolwiek żołnierzy jest odbierane z radością, a nie jak np. u nas z wrogością. Podczas pobytu w Izraelu nie słyszałem, aby o wojsku ktoś powiedział inaczej niż "nasi" /tak mówiła nawet pewna członkini ruchu pacyfistycznego, którą poznałem/. Pójście do wojska jest obowiązkiem honoru i nawet znaczna część młodych ludzi wyjeżdżających z Izraela na stałe czyni to po odbyciu służby, choć nie ma żadnych przeszkód, aby zrobić to przed. /Nb. jako ciekawostkę można przytoczyć fakt, że w roku 1976 walczyć po stronie izraelskiej pojechał znany poeta i pieśniarz Leonard Cohen./

Podczas sierpniowego poboru w roku 1988 odsetek ochotników do frontowych jednostek spadochronowych był 3,5-krotnie większy od potrzeb. W jednym przypadku odsetek ochotników dochodził do proporcji 30 do 1.

W wojsku izraelskim służą nie tylko Żydzi. Mogą służyć także Arabowie /tylko z terenów Izraela/, o ile sami wyrażą na to ochotę. Arab, który odbył służbę w Cahalu uzyskuje pełnię praw - może pracować w przemyśle zbrojeniowym oraz w innych firmach i instytucjach mających znaczenie dla obronności państwa. W wojsku izraelskim służą w całości Druzowie, których w Izraelu jest 50 tysięcy i którzy też są przeciw Arabami. Ci urodzeni wojownicy w większości odbywają służbę w jednostkach specjalnych, w komandosach. W Cahalu jest nawet pułkownik, który jest Druzem. Inną grupą etniczną, która dobrowolnie idzie do wojska, są Beduini. Ci z kolei, wychowani i mieszkający na pustyni ludzie, służą głównie w jednostkach przygranicznych jako trópiciele. W Cahalu służą także Czerkesi.

Najsilniejszą stroną Cahalu jest chyba lotnictwo. Wystarczy choćby przypomnieć fenomenalną akcję w Entebbe /o której poniżej/, bombardowanie irackiego reaktora atomowego w Tarnuz w 1981 roku, rozbicie dziesięciu syryjskich baterii przeciwlotniczych SAM w czerwcu 1982, które osłaniały ostrzeliwujących Izrael Palestyńczyków /bez straty żadnej maszyny izraelskiej!/, czy też rajd na kwaterę główną OWP w Tunisie.

Po tym wszystkim, co napisałem, Czytelnik może odnieść wrażenie, że Izrael

jest państwem super zmilitaryzowanym. Tak też po części jest. Jednak należy pamiętać, że Izraelczycy nie mają innego wyjścia. Zbrojenia i silna armia jest kwestią narodowego być albo nie być. Ten niewielki kraj o powierzchni ok. 25 tys. km² /tj. nieco mniejszy np. od Sycylii/, liczący łańdwie nieco ponad 3,5 mln ludzi jest otoczony zewsząd wrogami, których gorącym pragnieniem jest jego zlikwidowanie. Posiada tylko jedną granicę pokoju czy też - jak niektórzy mówią "zimnego pokoju" - granicę z Egiptem. Izrael swoich wrogów może przestraszyć wyłącznie siłą. Żaden atak, żaden akt terroru skierowany przeciwko sobie nie pozostaje bez odpowiedzi. Przy czym należy zaznaczyć, że tak szeroko reklamowane w peerelowskiej TV naloty odwetowe na palestyńskie obozy ludności cywilnej w Libanie są w istocie atakami na obozy quasi wojskowe.

Palestyńscy organizują demonstracje w ten sposób, że na czoło demonstracji puszczają kobiety i dzieci, a za nimi kroczą mężczyźni rzucający butelki z benzyną. Natomiast "cywilne obozy" de facto przekształcili w wojskowe, gromadząc w nich obruszone ilości wszelkiej broni i ustawiając w ogródkach katjusze.

W Izraelu niemal wszyscy chcą spokoju, są już zmęczeni ciągłym napięciem. Oto kilka cytatów z dokumentu Rady Bezpieczeństwa i Pokoju: "Izrael dąży do pokoju /.../ Niebezpieczeństwo wojny jest głównym zagrożeniem dla narodowego bezpieczeństwa. Konieczność zapobieżenia wojnie lub zwyciężenia w niej, jeśli dojdzie do jej wybuchu, w najdogodniejszych warunkach i przy jak najniższej cenie, to cel Izraela i Cahalu". Decydujące znaczenie - według RBiP - dla zachowania pokoju i państwa ma potęga wojskowa Cahalu oraz poparcie międzynarodowe głównie amerykańskie. "Pokoje będzie możliwy tylko wówczas, gdy dwie strony w konflikcie będą w stanie osiągnąć porozumienie. Nie ma porozumienia narzuconego ani jednostronnego, podobnie jak nie ma narzuconego ani jednostronnego pokoju". RBiP wymienia iżemże skutki okupacji:

- dalsza ekupacja godną w potęgę Cahalu, który musi zajmować się drugorzędnymi sprawami /tj. Intyfa - przyp. OK/ zamiast skupić się na najważniejszym celu
 - gotowości na wypadek wojny,
 - dzieli społeczeństwo,
 - panowanie utrudnia porozumienie żydowsko-arabskie. Od kilku lat rośnie w świecie arabskim gotowość do pogodzenia się z istnieniem Izraela,
 - aneksja praktycznie uniemożliwia rozwiązanie konfliktu i oddala pokój.
- Cahal twierdzi, że również bez panowania nad obszarami okupowanymi jest zdolny zapewnić bezpieczeństwo państwa.

Przewidując Izraelska uważa, że po oddaniu terenów Izrael nie będzie posiadał tzw. "głębi strategicznej". Państwo Izrael wówczas w największym miejscu miałoby 13 km. Likud twierdzi, że obrona na takim skrawku jest niemożliwa.

Rada Bezpieczeństwa i Pokoju proponuje rozgranicyć granicę bezpieczną od granicy politycznej. Wg RBiP Szachem i Hebron zmniejszają bezpieczeństwo. Twierdzi także, iż należy wycofać terytoria okupowane, ogłosić są strefami zdemilitaryzowanymi, na których nie będzie wojsk arabskich, z prawem Izraela i Cahalu do kontroli demilitaryzacji.

Pięknie jest jednak tylko w bajkach i to też nie zawaze. Żołnierze Cahalu również podlegają stresom. Najbardziej iżykrą dla nich sprawą jest konieczność starć z ludnością palestyńską.

Od kwietnia do sierpnia 1988 w Cahalu wszczęto 23 dochodzenia w sprawie nienaturalnych zgonów żołnierzy /1 morderstwo, 8 samobójstw, 4 wypadki w czasie ćwiczeń, 4 wypadki z bronią, 2 utonięcia i 4 inne przypadki/. W roku 1987 w Cahalu zmarło łącznie 71 żołnierzy. Pięciu zamordowano, 35 popełniło samobójstwo. Natomiast w latach 1983-88 samobójstwo popełniło 146 żołnierzy, w wypadkach z bronią zginęło 51, 19 zamordowano, a 37 żołnierzy zginęło w czasie ćwiczeń.

Jak już wspominałem Izraelczycy są zmęczeni. Z moich obserwacji wynika, że pragnienie pokoju jest bodaj najważniejszym pragnieniem tego narodu. Mają jednak odwagę patrzeć faktem w oczy. Nie bez znaczenia są tutaj tragiczne doświadczenia tego narodu na przestrzeni wieków. Tęsknoty izraelskie trafnie - moim zdaniem - odzwierciedla popularna w Izraelu piosenka wyfonywana przez Erika Einsteina:

"Widni polują na tygrysy
Inni szukają pereł
Jeszcze inni budują wieże
Niektórzy miesiącami poszczą

A ja kocham być w domu, przy herbach z cytryną,
ze starymi książkami

Ja kocham być w domu

Z tym wszystkim miłym do czego przywykłem

W Izraelu działa cały szereg organizacji pokojowych, jak "Reut" /grupa zajmująca się kontaktami między Żydami i Arabami/ czy "Kobiety w czerni", "Pokój teraz" i inne. Nikt im w tym nie przeszkadza; istnieje wzorowa demokracja, można organizować demonstracje, byle miały one pokojowy przebieg. Również system wyborczy jest bardzo liberalny /moim zdaniem nawet zbyt liberalny/; wystarczy zebrać 1500 podpisów, wpłacić 12.600 szekli /1 shekel = 1,6 USD/ i uzyskać nie mniej niż 1% głosów w wyborach, aby móc zasiadać w Knesecie. System ten powoduje, iż parlament stał się terenem walki z b y t wielu partii politycznych. Obecnie jest ich w Izraelu zdaje się 24. Nie bez znaczenia jest także fakt, że w Cahalu po ukończeniu 45 lat generałowie przymusowo odchodzą na emeryturę. Dodac do tego fakt, że w armii obowiązują całkowity, łącznie z podpisywaniem petycji, zakaz działalności politycznej /"wojsko jest od obrony, a nie od polityki"/ i już wiadomo, że "emeryci" mają ochotę trochę popolitykować, więc skrzykują się i zaraz tworzą jakąś nową partię. Głównymi partiami są: blok prawicowy Likud /jego geneza wywodzi się z Polski/, kierowany przez obecnego premiera Icahaka Szamira, oraz Partia Pracy "Maarach", której przewodniczy Szymon Peres. Oba przywódcy urodzili się w Polsce. W zasadzie istnieje jeszcze trzecia siła, która tego miana dorobiła się po ostatnich wyborach. Jest nią blok 6 partii religijnych, które według mnie pełnią w Izraelu bardzo negatywną rolę. Należą do zdecydowanych przeciwników łączenia religii z polityką, gdyż, jak poucza historia, żadnej stronie nigdy nie wychodzi to na dobre. Aktualnie partie religijne stanowią tzw. "języczek u wagi", tzn. kogo poprę /Likud lub Maarach - gdyż ostatnio partie te osiągnęły podobne liczby głosów/, ten będzie dysponował większością w parlamencie. Należy dodać, że ortodoksi popierają zawsze tego, który obieca im więcej. Żądania wysuwają absurdalne, np. zamknięcie w sztaba Izraela dla ruchu lotniczego, telewizji, wstrzymanie wszelkiego ruchu itd. Podczas formowania ostatniego rządu doszło już do tego, że rabini z Nowego Jorku przyjechali do Szamira, by oświadczyć mu, że jeśli przyjmie warunki ortodoksów, to wstrzymają pomoc finansową. O co chodziło? Dla Żydów ważnym problemem jest, kto jest Żydem? Wiele już rządów izraelskich usiłowało wprowadzić przyjętą w cywilizowanym świecie zasadę, że Żydem jest ten, kto się za niego uważa /"Polakiem jest ten... Włochem jest ten... etc./.. Ortodoksi natychmiast etosowali szantaż polegający na groźbie ustąpienia z rządu. W sytuacji, gdy żadna partia nie jest w stanie rządzić samodzielnie, bez ich głosów oznacza to upadek rządu. Kryzys, nowe wybory. Państwo będące w sytuacji frontowej nie może sobie na to pozwolić. Religijne prawo żydowskie mówi, że Żydem jest ten, kto się urodził z matki Żydówki lub przeszedł na wiarę żydowską. Ortodoksi zaś chcieli dodać do tego "kto przeszedł na wiarę pod kierunkiem rabina ortodoksyjnego". O tym, że Żydem jest ten, kto się za niego uważa, rzecz jasna nie ma nawet mowy. Wśród amerykańskich Żydów reformowanych zawrzało. Nie dlatego, że jest to ich nowy wyskok, lecz dlatego, że Szamir był w niezwykle trudnej sytuacji podczas formowania gabinetu i istniały obawy, że może się ugiąć pod naciskiem ortodoksów. Jest to tylko jeden lekko zarysowany problem. Ortodoksi dezorganizują państwo i utrudniają życie ludziom niemal na każdym kroku. Dzięki nim Izrael jest chyba jedynym państwem demokratycznym na świecie o teokratycznym ustawodawstwie. Nie posiada Konstytucji /"Tora i Talmud to konstytucja" - mówią Chasydzi/. O procesach sądowych dotyczących zawierania małżeństw, prawa do hodowli wieprzowiny czy też wpisów w dowodach osobistych /narodowość, obywatelstwo/ można z powodzeniem napisać opasłe tomy.

ENTEBBE

Nie mogę sobie odmówić, aby nie wspomnieć o fenomenalnej akcji komandosów izraelskich w Entebbe, a przy tej okazji zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. 27 czerwca 1976 roku z Tel Avivu do Paryża wyruszył francuski Airbus. Wylądował w Grecji, a następnie wystartował w dalszą podróż i po pewnym czasie przestał się meldować. Nikt nie zwrócił na to uwagi z wyjątkiem Izraela, który 24 godziny na dobę kontroluje wszystkie powietrzne meldunki. Już wkrótce okazało się, że samolot został uprowadzony przez terrorystów palestyńskich. Dowodził całą akcją

podający się za Palestyńczyka Niemiec o nazwisku Boese, osobnik znany licznym policjom świata. Samolot zamiast na Orly ląduje na libijskim lotnisku Bengazi a następnie w Ugandzie w Kampali, na lotnisku Entebbe, gdzie był już oczekiwany przez przyjaciele terrorystów, słynnego Idi Amina zwanego "Czarnym Hitlerem Afryki" /choć sam przedstawiał się jako "Feldmarszałek, kawaler Krzyża Wiktorii, Doktor Idi Amin Dada z bożej łaski"; angielski dziennikarz Dennis Hills nazwał go "wiskowym tyranem", za co Amin skazał go na śmierć/.

Na pokładzie samolotu znajdowało się 250 pasażerów, w tym 100 obywateli izraelskich. Izraelczycy mając jasny pogląd na terroryzm, nie bawiąc się w żadne zawilości natychmiast po otrzymaniu tej informacji zmontowali coś w rodzaju sztabu kryzysowego i rozpoczęli przygotowania do akcji "Błyskawica". Idi Amin oświadczył, że zakładnicy zostaną zwolnieni, jeżeli zostaną spełnione "ścisłe żądania palestyńskich patriotów". Rzeczko się zdarza, by przywódca państwa brał udział w porwaniu samolotu, więc opinia światowa bardzo się zdziwiła i przystąpiła do pertraktacji. Tymczasem w Kampali terroryści zaczęli bawić się w Oświęcim: wszyscy Żydzi na prawo, reszta na lewo. W wyniku pertraktacji zakładnicy zostali zwolnieni, z wyjątkiem, oczywiście, Żydów. Tymczasem w Izraelu trwały ostatnie przygotowania... i stała się rzecz teoretycznie niemożliwa. Oto 100 komandosów izraelskich na czterech "Herkulesach" przeleciało 4 tys. kilometrów nad wrogim terytorium, wylądowało w Kampali, uwolniło zakładników i wróciło do domu. Przy okazji unieszkodliwiając terrorystów /kilku na dodatek biorąc ze sobą do domu, aby ich postawić przed sądem/ i niszcząc kilkanaście sowieckich MiGów. Akcja trwała 55 minut /2 minuty krócej niż planowany jej czas/. Zginęły dwie osoby: dowódca akcji, który otrzymał kulę w plecy ostatni wakakując do ruszającego już "Herkulesa", oraz jedna z pasażerek p. Bloch /75 lat, jechała na ślub syna/, która miała to nieszczęście, że akurat znajdowała się w szpitalu, gdzie po odlocie izraelskich komandosów została po prostu uduszona.

Kraśże plotki, że podczas ataku "Kawaler Krzyża Wiktorii" schował się do szafy...

Po tym wszystkim, w czym najważniejszy jest fakt uratowania życia stu niewinnym ludziom, odbył się światowy pokaz hipokryzji. Na jego czele, jak zwykle, stanął Związek Radziecki oraz ONZ, którym w tym czasie dowodził Kurt Waldheim /jak wiadomo zbrodniarz hitlerowski, który aktualnie jest kanclerzem Austrii/. ZSRR określił akcję jako "bardyżym międzynarodowy i brutalne pogwałcenie suwerenności Ugandy" /sic!!!/. W podobnym tonie przemawiano w ONZ i w innych krajach oświeconych. Nieco przyzwyczajony z tego towarzystwa zachowały się rządy Polski i Rumunii. Lewica intelektualna na Zachodzie /bardziej trafne jest chyba orwelowskie określenie "boliszewicy salonowi" /także nie zawiodła. Wymyślono tysiąc różnych "argumentów", aby akcję potępić. Posunięto się do tak schizofrenicznych stwierdzeń, że uznano akcję za "akt przemocy" etc.

To wszystko przypomina jakiś obłęd. Identyczne idiotyczne pretensje niektórzy z tych "obrońców wolności" mają do izraelskich linii lotniczych EL AL /chyba za to, że jeszcze nikomu nie udało się uprowadzić maszyny EL AL-u/. Mają więc pretensje, że kontrola bagażu za długo trwa /zdarza się i dwie godziny/, że człówek kontrolujący bagaże zadaje "urągające godności pytania" /np. gdzie pan wczoraj nocował? - jest to dyskretnie sprawdzane na komputerze/, wreszcie, że na pokładzie każdego samolotu znajdują się uzbrojeni agenci itd. Jednak mimo to jakoś dziwnie ich do latania tymi samolotami ciągnie i w praktyce mogą znieść obecność "uzbrojonych agentów na pokładzie" i mieć większą pewność, że w pewnym momencie nie wstanie jakiś opryszek i powie: "Biorę was w zakładników za taką a taką sprawę, a jak się któremu co nie podoba, to go mogę zaraz odstrzelić".

Nieoceniony w demaskowaniu tych paradoksów czy też raczej zwykłej hipokryzji jest izraelski pisarz Efraim Kiszon, którego książka "W tył zwrot panie Lot" ukazała się w ub.r. nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego. Oto np. fragment z opowiadania "Terroryści wściewki na EL AL": "Bejrut. AP. Rzecznik terrorystów ostro zaprotestował przeciwko obecności uzbrojonych agentów na pokładzie jednej z maszyn EL AL. Mamy tu do czynienia z rażącym naruszeniem przepisów międzynarodowej komunikacji lotniczej - stwierdził. W nadanym przez Radio Damaszek komunikacie oświadczył następnie, że to "oburzające pogwałcenie przepisów" unicestwiło plan uprowadzenia samolotu". /Nb. życie często jednak prześciga fikcję literacką, bowiem jak potraktować fakt, że jeden z zachodnich lewicowych publicystów miał za zte Izraelowi, iż przy oswoabadzaniu porwanej przez bandę terrorystów maszyny "Sabeny" komandosi "podstępnie przebrali się za sanitariuszy"???

PATRZEC FAKTOM W OCZY

Rzecz jasna Izrael nie jest państwem świętym. Również popełnia błędy, czasami zakrawa to nawet na zbrodnie /np. sprawa Sabry i Szatilli - Izraelczycy nie przeszkadzili w rzezi Palestyńczyków, której dokonała libańska milicja chrześcijańska/. Może nam się nie podobać postępowanie Cahalu na terytoriach okupowanych, polegające czasami na stosowaniu zbiorowej odpowiedzialności czy też burzenie domów palestyńskich w odwecie np. za zabójstwo żołnierza izraelskiego. Należy jednak zrozumieć historię - jakże tragiczną - tego narodu i jego katastrofalne wręcz położenie geopolityczne /"Z prawej strony, lewej/ i za plecami wróg, /"Przed oczyma morze" - jak pisał Richard O. Schneider/. Bez zbrojeń, potężnej armii, bezlitosnych odpowiedzi na akty terrorystyczne nie byłoby już państwa Izrael. Izraelczycy pragną pokoju, lecz są realistami i nie mają złudzeń, że które na przykład my wielokrotnie płaciliśmy tak wysoką cenę. Nie liczą na nikogo. "My, Żydzi posiadamy w naszej walce przeciwko Arabom tajną broń - mówiła była premier Izraela pani Golda Meir - nie ma kraju, do którego moglibyśmy uciec". Nie mają podstaw, żeby wierzyć, że Arafat nagle z terrorysty zmienił się w gołąbka pokoju. Istnieje także pałająca nienawiścią i żądzą odwetu Syria, a także Irak, którego przywódca "wstawił" się w ubiegłym roku zastosowaniem gazów bojowych wobec cywilnej ludności kurdyjskiej. Dowodem gotowości Izraela do pokoju jest choćby Camp David - jedyny trwały pokój na Bliskim Wschodzie, zawarty w dodatku przez dwóch odwiecznych wrogów: Egipt i Izrael. Za swą gotowość do rzeczowych rozmów prezydent Sadat zapłacił głową... Egipcjowi został jednak zwrócony Synaj, a w ostatnim czasie również sporny obszar Taby.

Płynąca, głównie z forum ONZ, nieustanna krytyka tego państwa bierze się z hipokryzji i cynizmu. Znalezione sobie trzech chłopców do bicia: Izrael, RPA i Chile. Nie popieram systemu apartheidu, nie można jednak przejść spokojnie obok faktu, że jednak do tego ponoć tak okropnego kraju Murzyni z sąsiednich państw nielegalnie uciekają. Chile będzie już wkrótce państwem demokratycznym. Należałoby się zapytać, gdzie byli, kiedy Pol Pot mordował połowę swojego narodu? Wypisywali brednie o kroczącym "drogą postępu i socjalizmu narodzie Kampuczy". Gdzie byli podczas "czarnego września" 1970 roku, kiedy król Jordani i wymordował 30 tysięcy Palestyńczyków? Dlaczego nie protestowali w czasie rzezi w mieście Hanna. Kiedy Syryjczycy wyrznęli 20 tysięcy ludzi, gdyż większość sunnicka nie chciała uznać panowania mniejszości Alawi? Dalsze wyliczanie nie ma sensu. Przykłady można czerpać garściami.

x x x

Izrael to jednak nie tylko wojna, polityka, terroryzm itd. W samym Izraelu kłóty się nie odczuwa. Izrael to także nowoczesne miasta, plaże Haify, Akko czy Tel Avivu. Piękne dziewczyny i ostre, brązowe skały Negewu. To śnieg na Hermonie i podtropicalny klimat Doliny Jordanu. Bujna roślinność Galilei i kosmiczny krajobraz pustyni Judzkiej. Stare mury Jerozolimy i super nowoczesne hotele Eilat. To niezwykle bogata roślinność: anemony, lilie polne, biskusy /róże jerychońskie/, bugenvile, sosny, cyprysy, palmy, eukaliptusy, jabłonie /jabłka mają gorsze od naszych!/, drzewa migdałowe, cytrusowe, morelowe, oliwkowe, drzewa granatu. To najrozmaitsze pnącza, których nazw nawet nie znam; wiążące się ze sobą w najbardziej skomplikowany sposób, jakby na przekór palącemu słońcu, jakby chciały osłonić ziemię przed niszczyliśkim działaniem gorącej planety. Nie tutaj jednak miejsce, aby o tym rozprawić.

Cezary Kaźmierczak

Proza

Jerzy Kosiniński

K R O K I /fragmenty/

Był na uniwersytecie człowiek, który mi zaszkodził. Dowiedziałem się, że miał chłopskie pochodzenie - był zatem uprzywilejowanym wśród tych, których

Partia akierowała na uczelnię z powodów politycznych. Nie mogłem zmienić atmosfery, która mu sprzyjała - nie widziałem więc, w jaki sposób mógłbym odważnie jego nienawiść. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym ograniczył się tylko do potępienia systemu, zdobyłbym wymówkę, by uniknąć konfrontacji z tym człowiekiem.

Tymczasem zobowiązano nas wszystkich do wstąpienia do paramilitarnych studenckich oddziałów samoobrony. Każdy z tych oddziałów po kolei miał trzymać straż przy uniwersyteckim arsenale, który podlegał sztabowi miasta. Regularnie pełniłymi dwudniowe dyżury wartownicze. Wszystko zorganizowane było po wojskowemu: kwatery strażników zlokalizowano w skrzydle uniwersyteckiego budynku i urządzone w stylu wojskowych baraków. Wszelkie rozkazy przez telefon musiały być rejestrowane i wykonywane zgodnie z regulaminem. Instrukcji należało przestrzegać z najwyższą dokładnością - gdyż, jak często nas ostrzegano, wojskowy komendant miasta mógł o każdej porze ogłosić stan najwyższej gotowości - aby wypróbować sprawność bojową studenckich jednostek samoobrony.

Kiedyś obserwowałem, jak człowiek ten z przejęciem odbiera instrukcje z kwatery głównej uniwersyteckiego arsenału; ścisnął słuchawkę tak mocno, aż zbieleły mu kłykcie palców. Jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzałem - i miałem już gotowy plan.

Do czasu, kiedy został wyznaczony na tydzień komendantem straży, zdążyłem już spędzić wiele godzin, ćwicząc obcesowy, rozkazujący głos militarny, zaprawiony nie znoszącą sprzeciwu arogancją. Pierwszego dnia jego służby zadzwoniłem o północy i najbardziej nagłym i autorytatywnym tonem oznajmiłem, że jestem oficerem dyżurnym sztabu miejskiego i żądam bezpośredniego połączenia z dowódcą straży. W tym samym tonie informowałem go dalej, że trwają właśnie ćwiczenia armii, i że zgodnie z planem musi on zebrać oddział uniwersytecki i ruszyć przez park, aby atakiem zaskoczenia zdobyć arsenał miejski. U celu jego oddział ma za zadanie rozbroić regularne stráže, sforsować wejście, przejąć budynek i utrzymać się w nim, dopóki ćwiczenia nie zostaną odwołane. Kazałem mu powtórzyć rozkazy; podekscytowany wyrecytował mi je, zapominając w ferworze o braku dziennego hasła, którego podać mu nie mogłem.

Gdy w pół godziny później zadzwoniłem znów na wartownię, telefon nie odpowiadał; zapewne jego oddział wyruszył szturmować arsenał.

W poniedziałek wszyscy wiedzieli już co się stało. Dokładnie tak, jak chciałem, podszedł z oddziałem pod arsenał i zaatakował. W garnizonie ogłoszono alarm I stopnia, przypuszczając, że albo zaczyna się bunt, albo jest to kontrrewolucja - albo też tajne manewry szczebla okręgowego. Oddział uniwersytecki został natychmiast otoczony i aresztowany; dowódcę oskarżono o zbrojny bunt.

W czasie procesu przed sądem wojskowym upierał się, że działał według ścisłych rozkazów sztabu, potwierdzonych hasłem. Heroicznie obstawał przy swojej wersji.

x x x

W czasach, gdy studiowałem na uniwersytecie, odbywało się mnóstwo obowiązkowych zebrań różnych studenckich organizacji politycznych. Podczas tych rozwiekleń posiadzeń studenci, zgodnie z wymaganiami Partii, robowizjani byli do oceniania siebie i innych. Atmosfera tych zebrań była napięta, często dramatyczna; jeżeli postępy w nauce lub zachowanie studenta ocenione zostało jako niezadowolające, Partia mogła usunąć go z uczelni i skierować do pracy na głębokiej prowincji. Każdy z nas czuł się jak kamień, osadzony w napiętej procy - nigdy nie wiedzieliśmy, kto i w jakim kierunku z niej wystrzeli.

Tuż przed zebraniem wpadłem jeszcze do toalety. Tam natknąłem się na studenta, którego nazywano "Filozofem". Wyglądał fatalnie, wstrząsany gwałtownymi torsjami. Gdy mnie zobaczył, próbował się tłumaczyć, a nawet usiłował zdobyć się na uśmiech.

Zebrań, mówił, są dla niego nie do zniesienia; jest zbyt nerwowy, by znieść napięcie. Przebywanie w pomieszczeniu pełnym ludzi wyzwała w nim panikę; często spędza czas samotnie na korytarzu, próbując opanować się, zanim wróci na zajęcia.

Kiedyś spóźniłem się na spotkanie z nim; tłumaczyłem, że zwłokę spowodowała przeciągająca się wizyta w nowoutwartym banku państwowym - który właśnie uruchomił oddział w centrum miasta. Jako ciekawostkę powiedziałem mu też, że na parterze są wspaniałe toalety, czyste i jeszcze mało używane, w których byłem.

Słuchał ze wzrastającym zainteresowaniem, spytał o dokładne położenie banku. Gdy mu wytłumaczyłem, wyjął z kieszeni niewielki planik i starannie zaznaczył miejsce. Zauważyłem na mapie inne znaki; zapytałem, po co to robi. Powiedział, że nanosi położenie świcich "Świątyni". Nie zrozumiałem. Spytał, czy wiem, dlaczego

inni studenci nazywają go "Filozofem". Moja ciekawość wzrosła. Poprosił, bym poszedł z nim.

Zaprowadził mnie do jednego z muzeów. Weszliśmy; ruszył prosto ku toaletom. O tej porze było tam spokojnie i czysto. Zwrócił się ku mnie i z dumą w głosie wyjaśnił: "Możesz zamknąć się w jednej z tych kabin - i mieć spokój przez wiele godzin! Wiesz przecież, jak rzadko udaje się nam uniknąć spotkań. A tu twoja prywatność jest absolutna: możesz kontemlować własny świat, napawać się nim". Triumfalnie rozłożył plan: "Odkryłem ponad trzydzieści gmachów publicznych, w różnych częściach miasta, a we wszystkich czekają na mnie świątynie ta'ie jak ta".

Zaczął o nich szczegółowo opowiadać. Niektóre, zwłaszcza w nowo wzniesionych budynkach są oszałamiające: całe w białym marmurze, w srebrze i w mosiądzu, na podłodze wzorzyste mozaiki, kryształowe żyrandole, doskonały system wentylacji. "Siedzisz w swojej kabinie - i myślisz" - ciągnął. "I możesz słyszeć swoje myśli krążące dookoła ciebie, jak greccy bogowie, nagle uwolnieni z podręczników. Ale nie będziesz podsłuchany. Co za radość - móc wreszcie być samemu, nie musieć uważać na to, co inni mówią, jak na ciebie patrzą i jak cię widzą, nie musieć wyglądać poza białe ściany własnego sanktuarium."

Pojawił się jakiś stary człowiek; wszedł do kabiny. Po chwili wyszedł; usłyszeliśmy szum napełniającego się rezeruaru. "Jest tylko jedna rzecz, którą musisz zrobić, jeżeli chcesz siedzieć tam długo" - powiedział. Wyjął z kieszeni zwój waty, w który spowita była buteleczka z płynem czyszczącym. "Tam jest mnóstwo różnych napisów" - wyjaśniał - "sloganów i informacji, nagryzmołonych na ścianach". Większość to robota kontrrewolucjonistów. Świątynie są najwidoczniej jedynym miejscem, gdzie mogą bezpiecznie wyrazić swój sprzeciw wobec reżimu, wobec kolektywizacji rolnictwa, procesów pokazowych, czystek, polityki zagranicznej - a nawet niechęć do kultu naszego wszechwładnego przywódcy". "Widzisz" - mówił - "muszę być przygotowany na wypadek, gdyby ktoś oskarżył mnie o wypisywanie tych herezji w czasie dłuższego, niż normalnie przebywania tam. Dlatego zacząłem wymazywać te słowa na ścian. I teraz, gdybym był indagowany przez policjanta, czy agenta, dlaczego tak dużo czasu spędzam w toalecie - miałbym wiarygodne i niewinne wytłumaczenie. Albowiem, jak napisał kiedyś pewien filozof: "Tylko wybitny umysł jest w stanie powołać do życia bogów i ustanowić świątynie". Nie sądzisz, że te wszystkie czyszczące działania są niewygodną ceną za posiadanie własnej świątyni?"

Pomimo lęków i zahamowań pilnie uczęszczał na wszystkie zebrania i seminaria. Pamiętam, jak kiedyś profesor poprosił go o skomentowanie doktryny politycznej, aktualnie lansowanej przez Partię. Mój znajomy wstał, błądł i zląy potem. Usiłował pomimo to sprawić wrażenie opanowanego i obojętnego. Odpowiedział, że pewne aspekty doktryny zdają się dokładnie odzwierciedlać wiele aspektów tyranii państwa totalitarnego - dlatego w żadnym wypadku nie może to być doktryna humanitarna. Zapadła cisza. Profesor bez komentarza poprosił go, by usiadł. Wśród studentów wszczął się ruch; kilku członków Partii wstało i po cichu wyszło z sali. Wiedzieliśmy, że jest skazany.

Studiowaliśmy razem, jeszcze do końca semestru. Potem straciłem kontakt z Filozofem. Usunięto go z uczelni za antyspołeczne zachowanie. Jeden z uniwersyteckich działaczy powiedział mi później, że człowiek ten już nie żyje. Z nieukrywaną drwiną przytaczał żenujące szczegóły jego samobójstwa w toalecie. Milczałem.

Tłum. M.Ł.

/W październiku 1918 Sowiet Rewolucyjny w Symbirsku mianował Haška gubernatorem wojkowym Bugułmy, mieściny tak maleńkiej, że nie było nawet wiadomo, gdzie leży i w czyich jest rękach. Z przydzielonym mu oddziałem Czuwaszy dotarł Hašek wreszcie na miejsce i objął władzę, lecz wnet obalił go dowódca niespodziewanie przybyłego Twerskiego Pułku Rewolucyjnego, towarzyszy Jerochimow. Postawiony wobec wyboru: śmierć przez rozstrzelanie albo objęcie funkcji adiutanta nowego gubernatora, Hašek wybrał to drugie./

Moim pierwszym zadaniem było uwolnienie moich dwóch uwięzionych Czuwaszy, drugim - nadrobienie spowodowanych puczem zaległości w spaniu. Umówiłem się koło południa i stwierdziłem, że moi Czuwasze w tajemniczy sposób zniknęli, pozostawiając w jednym z moich butów dość niejasny list: "Towariszcz Gašek. Dużo szukać pomoc wszędzie okolica. Towariszcz Jerochimow baszka-chawa /zdekapić-waś"/. Skądinąd dowiedziałem się, że towarzyszy Jerochimow od rana usiłował zredagować swą pierwszą odezwę do ludności Bugułmy.

- Towaryszu adiutancie - zwrócił się do mnie - czy uważacie, że tak może być?

Ze stosu papierów wyciągnął pokreślona kartkę i odczytał: "Do całej ludności Bugułmy. Od dzisiaj pełnię rządu w mieście. Były gubernator został zdjęty za niezdolność i tchórzostwo. Uczyniłem go moim adiutantem. Gubernator miasta Jerochimow."

- Doskonale - pogratulowałem mu. - A co zamierza pan dalej?

- Najpierw - rzekł najpoważniejszym i najbardziej wojskowym tonem - zmobilizuję konie. Następnie każę rozstrzelać burmistrza. Później wezmę dziesięciu zakładników spośród burżuazji i zapudłuję ich aż do końca wojny domowej. Zaraz potem przeprowadzę generalną rewizję w całym mieście i zakażę wolnego handlu; jak na pierwszy dzień wystarczy. A na jutro coś wymyślę.

- Pozwólcie sobie powiedzieć, że wcale nie przeciwstawiam się mobilizacji koni, ale stanowczo protestuję przeciw rozstrzelaniu burmistrza, który powitał mnie chlebem i solą.

Jerochimow wrzasnął:

- Was powitał, ale dla mnie się nie pofatygował!

- To da się naprawić - powiedziałem. - Wystarczy go sprowadzić.

Usiadłem za stołem i napisałem:

Gubernator miasta Bugułma

Nr 2891 Armia w boju

Do burmistrza miasta Bugułmy!

Nakazuję wam natychmiastowe przybycie celem oddania czci nowemu gubernatorowi miasta, zgodnie ze starym słowiańskim obyczajem, chlebem i solą.

Gubernator miasta Jerochimow

Adiutant Gašek

Jerochimow podpisał i dopisał: "Jak nie, to zostaniecie rozstrzelani, a wasz dom spalony."

- Zabronione jest dopisywanie czegokolwiek do oficjalnych dokumentów - powiedziałem. - To je unieważnia.

Przepisałem pierwotny tekst, dałem mu do podpisu, a potem wezwałem ordynansa, by go zaniósł do adreśata.

- Po drugie, - oświadczyłem Jerochimowi - jesteście absolutnie przeciwni uwięzieniu dziesięciu zakładników spośród burżuazji. Środki takie może podjąć jedynie Trybunał Rewolucyjny.

- Trybunał Rewolucyjny to my - oświadczył sentencjonalnie Jerochimow. - Miasto jest w naszych rękach.

- Mylicie się, towarzyszu Jerochimow. Kimże my jesteście! Dwa zera: gubernator Bugułmy i jego adiutant. Nie zapominajmy, że Trybunał Rewolucyjny jest mianowany przez Sowiet Wojskowo-Rewolucyjny Frontu Wschodniego. Uśmiechałoby się wam, żeby was postawili pod ściankę?

- No dobrze, zgoda - westchnął Jerochimow - ale nikt nie może nam zabronić przeprowadzenia generalnej rewizji.

- Zgodnie z dekretem z 18 czerwca tego roku - odparłem - generalnej rewizji można dokonać tylko ze zgodą lokalnego Sowietu Rewolucyjnego. Jako że taki jeszcze nie powstał, rewizję trzeba będzie odłożyć na później.

- Anioż z was - szepnął Jerochimow - bez was byłbym zgubiony. Ale mimo wszystko wolnego handlu musimy zakazać.

Wyjaśniłem mu:

- Większość z tych, którzy uprawiają handel i chodzą na targ sprzedawać, to chłopci, biedni muzycy, którzy nie umieją czytać ni pisać. Muszą najpierw poznać alfabet, a dopiero potem będą mogli zapoznać się z naszymi odczwani i zrozumieć, co się dzieje. Musimy więc nauczyć tych analfabeta czytać i pisać i w ten sposób umożliwić im jasne zrozumienie naszych idei. Dopiero gdy praca ta zostanie wykonana, będziemy mogli wydawać rozkazy, jak ten o mobilizacji koni. Mam nadzieję, że nie zamierzacie przekształcić twerskiego pułku piechoty w dywizję kawalerii? Czy wiecie, że jedynie delegat lewego brzegu do spraw formowania wojsk jest do tego uprawniony?

- I w tej sprawie macie słuszość, towarzyszu Gašek - westchnął zniechęcony.
- To co ja mam robić?

- Nauczajcie lud Bugajmy - odpowiedziałem. - Ja tymczasem pójdę się przebrać, zobacze, jak zakwaterowali się wasi chłopcy i czy nie robią głupstw.

Wyszedłem i ruszyłem spacerkiem przez miasto. Rewolucyjny pułk twerski zachowywał się godnie, zaprzyjaźnił się z mieszkańcami, pił herbatę, kazał sobie gotować barszcz i dzielił się tytoniem i cukrem z gospodarzami. Siowem, wszystko odbywało się w najlepszym na świecie porządku. Udałem się nawet do Małej Bugajmy, gdzie zakwaterowani byli żołnierze pierwszego batalionu pułku. Tam także atmosfera była idylliczna. Pił herbatę, jedł barszcz i zachowywał się godnie. Wróciłem dopiero późno wieczorem i, przechodząc przez plac, zobaczyłem na murze świeżo przyklejony afisz:

Do całej ludności miasta Bugajmy i okolic!

Rozkazuję wszystkim z miasta i okolic, którzy nie umieją czytać i pisać, by się tego nauczyli w ciągu najbliższych trzech dni. Kto po tym terminie uszany będzie za analfabeta, zostanie rozstrzelany.

Gubernator miasta Jerochimow

Gdy dotarłem do Jerochimowa, zastałem go w towarzystwie burmistrza Bugajmy, który, oprócz chleba i soli leżących nietknięte na stole, przyniósł był kilka butelek starej trojanki litewskiej. Jerochimow był w świetnym humorze i czując burmistrza wykrzyknął:

- Widzieliście, jak zastosowałem się do waszych rad? Poszedłem sam do drukarni, wycelowałem do dyrektora z rewolweru i powiedziałem: "Brakuje, Kochanieńki, bo jak nie, to zostaniesz, skurwysynu, rozstrzelany na miejscu". Zadygotał, łajdak, wcale nie było zadygotał, a ja... bachi kulka w sufit... Wydrukował, i to jak! Umieć czytać i pisać, ot, czego nam trzeba. A potem piszesz rozkaz i wszyscy go czytają, wszyscy rozumieją, wszyscy są aszajliwi. Ot co, burmistrzu. Pijcie, towarzyszu Gašek.

Odmówiłem.

- Wypijesz, czy nie? - wykrzyknął.

Wyciągnąłem rewolwer, wystrzeliłem do butelek trojanki litewskiej i, mierząc do mojego przekłóconego, powiedziałem stanowczo:

- Natychmiast idź spać, bo jak nie...

- Idę, ojczulku... Już idę. Ja tylko... trochę się rozzerwać... zabawić.

Położyłem go do łóżka, a wróciwszy do pokoju oznajmiłem burmistrzowi:

- Tym razem wam daruję. Wracajcie do domu i cieszcie się, że to się dla was tak dobrze skończyło.

Nazajutrz Jerochimow spał do drugiej po południu. Gdy się obudził, posłał po mnie i, przysiadając mi się niepewnym wzrokiem, wybełkotał:

- Zdaje mi się, że wczoraj... chcieliście mnie zabić?

- Tak - odpowiedziałem. - Zrobiłbym to, co Trybunał Rewolucyjny zrobiłby na moim miejscu, gdyby się dowiedział, że wy, gubernator Bugajmy, ściszcie się upili.

- Malutki, nie mówcie nic nikomu, ja już nie będę... Będę nauczał lud alfabetu. Wieczorem przyszedł do mnie pierwszy delegacja muzyków spod Kartaginy: sześć babć w wieku od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu pięciu lat i pięciu dziadków w tym samym wieku. Raucili mi się do stóp:

- Nie niasz naszej duszy, ojczulku, nie możemy nauczyć się czytać i pisać w trzy dni... głowa już nie ta. Oszczędź nas, nasz zbawco, zniknij się nad naszą niewiedzą.

- Dekret został ufnważniony - oświadczyłem. - To ten huj, gubernator miasta,

Jerochimow, jest za niego odpowiedzialny.

W ciągu nocy odwiedziły mnie inne delegacje, lecz nad ranem cały ten młyn ustał, mury Bugużmy i okolicznych wiosek pokryły się bowiem nowymi afiszami. Głosiły one:

Do całej ludności Bugużmy i okolic!

Oświadczam, że zawiesiłem w czynnościach gubernatora miasta, Jerochimowa, i ponownie obejmuję swój urząd. Rozporządzenia byłego gubernatora, w tym nakazującej likwidację analfabetyzmu w trzy dni, tracą ważność.

Gubernator miasta Gašek

Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ w ciągu nocy nadzedł mi z odsieczą pułk kawalerii piotrogrodzkiej, wezwany przez moich Czuwaszy.

/tłum. KOS/

Aileen Ireland

MSZA PERKUSYJNA

Paweł Georgiu, urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych szedł. I zauważył, że kierunek, jaki obrały jego nogi, napawa go pewnego rodzaju obrzydzeniem. Rzeczywiście, szedł na mszę wielkanocną. Wiał świeży wietrzyk. Paweł chętnie przyspieszyłby kroku, jednak nie uczynił tego. Umysł najchętniej zawróciłby go z tej drogi, a ciało usłuchałoby, o czym wiedział doskonale, lecz uparte nogi wiodły ciągle w tym samym kierunku.

Można by to wyjaśnić tym, że jakieś resztki pobożności, które przylgnęły doń dawno temu, odżywały, szczególnie o tej porze - ale to nie było to. Pobożność odrzucił dawno temu bez oporów. Można by też pomyśleć, że po tych latach dzielących stary reżym od nowego, po wojnie i po tym wszystkim, co po niej nastąpiło, było to normalne u ludzi. Zatłoczonymi ulicami tłumy płynęły do kościoła. Dziesięć lat temu było to nie do pomyślenia. Dziś wydawało się, że tamte lata w ogóle nie istniały.

Stanął przed katedrą po przeciwnej stronie ulicy. Wierni wypływali z jej wnętrza, rozsypywali się i zbierali w grupki na chodniku. Paweł podszedł bliżej i torował sobie przejście do bocznych drzewi. Dotarły doń dźwięki "Kyrie" - nagle zdołał sobie sprawę, jak długo musiał zwalczać niechęć, by tu przyjść. Nawet teraz nie miał ochoty wchodzić. Jakaś prusząca o pieniądze staruszka stanęła mu na drodze. I inni, podobni do niej, w przedsiönku - staruszkowie, dzieci. Przepchał się przez stojący na schodach tłum, pokonał wreszcie i tych, którzy zajmowali ostatnie stopnie schodów wiodących na chór.

Alfred Héderváry obserwował, jak Paweł przepycha się do miejsca, w którym stały basy. Tam, gdzie się usadowił, było ciasno i duszno. Skupił uwagę na solistce. Była trochę stremowana, ale głos miała dobry. Niektórzy z chóru wachlowali się nutami, inni wychylali przez galerię, by zaczerpnąć powietrza. Lub czegoś zbliżonego do powietrza.

Ksiądz przeszedł na drugą stronę ołtarza. Paweł wpatrywał się w dyrygenta. Gdy partia solowa dobiegła końca, Alfred wytarł twarz i kark chusteczką. Nie wyglądał na bohatera.

Gloria, gloria...

Przerzedzone kępki włosów sterczały mu po obu stronach lysiejącego ciemienia. Okragła twarz była różowa i błyszcząca z gorąca i wysiłku. Jego miły wygląd podnosił na duchu. Oto człowiek, który wytrzymał tygodnie tortur i samotności. A teraz poświęcał całą energię na to, by tę zbieraninę zamienić w chór, zdolny wykonać mszę Haydna "Missa in Tempore Belli", przed ogromną publicznością, nie masakrując utworu, a siebie nie narażając na śmieszność. Oczywiście, był szczęśliwy.. Tempo stało się szybsze, nabierając jednocześnie liryzmu.

Et in terra pax hominibus bonae voluntatis...

Paweł przyłączył do chóru swój baryton. Nawet wobec trzymających tonację basów jego głos był dla innych jak kotwica. Z chwila gdy się włączył, ustały wszelkie zbaczające z drogi tony. Uczucie satysfakcji odbiło się na obliczu Alfreda.

Suscipe, suscipe deprecationem nostram...

Znów przyszło obrzydzenie. Chciał się wycofać, chciał, by Hedervary popełnił jakiś fatalny błąd, by wrócił do tamtej ciężkiej próby i został nareszcie słamany. Pragnął uwolnić się od niego. Od dziesięciu lat ten człowiek zatruwał mu życie.

"Quoniam tu solus sanctus. Tu solus Dominus" - padły słowa. Łzy nabiegły mu do oczu. Potrzęsnał głową, jakby chciał pozbyć się nagłego wzruszenia, wtrwając położył, w jakim się znajdował, położeniu nie do zniesienia. Pod koniec tej części maszyny wzrok jego padł na Simone. Dawała mu znaki, że po nebożactwie chce z nim porozmawiać. Z całej jego różnobarwnej kolekcji ona irytowała go najbardziej. Była po prostu zwariowana. W całej masie trywialności, którymi raczyła go po każdej próbie chóru, znajdował zaledwie jeden lub dwa smakowite kąski nadające się do użytku. Opowiadała je tak jakby zdradzała śmiertelne tajemnice, ludzkie pozorami doniosłości. Ale szybko były demaskowane. To, co zostało, to starzejąca się głupia kobieta o farbowanych włosach. Zapewne przyszła jej do głowy nowa a okropna aranżacja Ave Maria, nadająca się wyłącznie do tego, by rzucić ją na kupę przeraźliwych kompozycji Simone. Może następna wstrętna akwabela? A może w końcu zdechł ten jej kot? Dlaczego nie obdarza swymi poufałościami Alfreda? Tak jej się wszystko poplątało, że gotowa wzięła mnie za jednego z tych wysiedlonych dlatego, że noszę lepsze ubranie! Ta myśl przyniosła mu chwilę prawdziwego rozbawienia. Ukłonił się jej zdawkowo.

Et homo factus est...

Zaczął obserwować innych ludzi. Wyłapując ich, torował sobie drogę do łask. Wskazując ich palcem. Wygrzebując cokolwiek przeciw nim. Zawsze coś można wygrzebać. I tak właśnie czynił. Rezygnował z miłości własnej, z godności i zadowalał zwierzchników. Wiedział, że Hedervary wart był śledzenia. Przecież śledził go na własną rękę od miesiąca.

Tajne obozy w zarosłych trzciną komyszach Deltę już nie istnieją, ani druty kolczaste, ani strażnicze wieże...

Sub Pontio Pilatus, passus, passus...

W więzieniu rozebrano go, zostawiono tylko koszulę. Nagie stopy na betonowej podłodze. Głos powiedział: "Będziesz potępiony przez Historię. Dla umocnienia zwycięstwa klasy robotniczej wszystkie środki są dozwolone. Wcześniej czy później, z własnej woli czy pod przymusem - wyznasz wszystko. Wiesz o tym."

Po bicu bez końca, po trzymania w ciemnej celi przez wiele dni, wreszcie wypuszczono Alfreda. Opowiadał jak krzyczał błagając o litość i beczał jak dziecko. Pewnego razu jeden z więźniów usiłował wydrzeć mu jego recję chleba, Alfred odebrał mu ją, uwolnił się od napastnika, a następnie oddał mu chleb z powrotem, mówiąc przy tym: "Dlaczego to zrobiłeś? Mogłeś mnie o nią poprosić". Wówczas nikt go nie zrozumiał.

Również Paweł nie mógł go zrozumieć. Zamknął oczy, by przesłać pustkę w mózgu. Skoncentrował się na opanowaniu mdłości.

Et iterum venturus est, cum gloria, iudicare vivos et mortuos, cuius regni non erit finis...

Jego głos ponownie zabrzmiał w Credo, łącząc się z innymi w narastającym crescendo. Zatawiła go mucha robaczka. Stworzenie, które nie umiera. Przez wiele dni obijała się o ściany, w ciemnościach nie mógł jej dosięgnąć, brzęczała, wściekle buczała, a on usiłował ją trafić uderzając na oślep. Przez wiele dni żył jej śmierci, aż do momentu, w którym nastąpił wybuch nienawiści, gdy tłukł rękami o ściany. Ale nie mógł jej złapać i powiedział im o wszystkim, o czym wiedział.

Et exspecto resurrectionem mortuorum...

Jeśli już nie potraficie dłużej wierzyć w to, co robicie, bardzo łatwo wówczas odnieść sukces. Przez ostatnie lata osiągnął większy komfort, miał więcej przyjemności i więcej szacunku niż oczekiwał. Po dziesięciu latach oczy Hedervary'ego spotkały się z jego wzrokiem. Niedowierzając Paweł patrzył jak odmierza oliwę, wziął z jego rąk puszkę fasoli z grzybami. Przyjmując od niego pieniądze, Alfred poprosił go, by przyszedł z nimi pośpiewać. Długa kolejka uratowała ich przed dalszą rozmową. A teraz Paweł śpiewał. Patrzył na siebie, śpiewającego dla

Alfreda. Słuchał swego głosu, wciąż dźwięcznego, wciąż stanowiącego oparcie dla całego chóru. Dźwięk kotłów brzmiał mu jeszcze w uszach, jak grzmot. Dobry Boże, co ja tu robię? Nienawidzę go! Wydałbym go, jutro. Jego ręce zmiały leżące przed nim nuty. I w końcu przyszła pustka.

Qui tollis peccata mundi...

Spiewał przewlekłe zakończenie z zimną krwią, z ironią. "Dona nobis pacem".... "Pacem." /Minęło./ "Pacem." Odpychając jednego z grających na kotłach, z ulgą odwrócił się do drzwi. I nagle się zatrzymał.

Simone, z ufnym uśmiechem stała na zewnątrz. W tym momencie przypomniał sobie jej opowieść o tym, jak - dwadzieścia lat temu - tajna policja zbudziła ją ze snu. Zabrali jej męża i od tego czasu nie miała o nim żadnej wiadomości, nawet okrucu informacji. Żyje czy umarł? Teraz Paweł powoli posuwał się ku niej. Wyszepiała, że chce z nim pomówić, a on wzdygnął się.

"Będzie na zebraniu jutro wieczorem... złożył swój podpis pod...", sznurując usta z resztką szminki sączyła mu do ucha. Wytrzymał nieugięte napór jej bliakości, potem gestem ręki wskazał jej drogę ze schodów.

Czy dzięki niej będzie mógł wydać Héderváry'ego? Instyktownie wzbraniał się przed tym. Ale tyle czekania, tyle śpiewania - i wreszcie coś się jednak spełniło. Chciał podążyć za nią na dół. Dalej, dalej, ty durniu!

Ciągło zwlekał, całe jego niezdecydowane jestestwo. Wrócił na chór, tylko po to, by przewyciężyć ogarniający go paraliż. A Alfred właśnie uwolnił się od pary kontraltów i szedł ku niemu wyciągając ręce. Odrętwiały Paweł czuł, że Alfred obejmuje go, widział jego ręce ścisłkane i potrząsane przez ręce innych.

"Co byśmy zrobili bez ciebie?" Biorąc Pawła pod ramię i schodząc z nim ze schodów, dalej mówił o finale utworu. Paweł, otepiał, o szklistych oczach, chory, cierpiał nieznośnie gdy prowadzono go na ulicę, gdzie stała ociągająca się Simone.

Jakimiż bezmyślnymi głupcami jesteśmy wszyscy, pomyślał. Wystarczy tego, by pozbawić człowieka rozumu.

Aileen Ireland
/tłum. A.Z./

Teoria i praktyka surrealizmu socjalistycznego

Jacek Fedorowicz

PERSPEKTYWY KOLEGI KIEROWNIKA

Udział biorą:

kol. Kierownik
kol. Spiker
kol. Kuchmistrz
kol. Fedorowicz.

Kol. Kierownik: /śpiewa/

Kol. Kuchmistrz: Jak... Śpiewa z radości... Co się stało?

Kol. Kierownik: A, słuchajcie, odwiedził mię wyzannik zez kraju, przywiunz mię pełno informacji i teraz nagle ja wszystko rozumiem. Rozum- niem ja teraz aktualnie całom politykern rządau. Wszystko siem stało dla mnie jasne i klarowne.. Wicie, ja widzem te znakomite perspektywy. Okazao siem, że

susznie stawiaem na tom ekipem. One majom wszystko we w takich szczeguach obmyśla-
ne, że to, słuchajcie, zdumienie bierze. A ja niedowiarek, denerwowałem siem,
myślałem, że oni nie wiedzom co robiom, sny mniałem gupkowate ze stych nerwów,
pamiętacie? Ten idiotyczny sen o klapie... o tym, że nas sondzić bendom?
abo pozamykajom do rezerwatów?

Kol. Kuchmistrz: I nie pozamykają?

Kol. Kierownik: Słuchajcie, mówi, nie ma, takie perspektywy som przed nami, że aż
sów braknie... Kolego Spikerze, Kolego Spikerze! Chodcie no tutaj. Wysłajcie
szybko takom deklarancje, że myśmy som za zarejestrowaniem "Zolidarności", obiema
renkami się podpisywamy...

Kol. Spiker: Koega sie nie pomylił? Jeszteszmy że?!

Kol. Kierownik: Jesteśmy jeszcze bardziej za rejstrancją "Zolidarności" niż
sama "Zolidarność". Jeżeliby nawet Waensa, przy tem okrongłym
stole powiedział, że nie chce, że jemu siem waściwie zrudzio, że on zamiast
"Zolidarności", no... dla na przykładu chciałby sobie jaki inny zwinczek zarej-
strować, branżowy, to my jemu i tak zarejestrujemy! O to... że ja siem nie zorien-
towaem, o co siem rozchodzi. No, wiecie, ja też ze spoczątku siem nie poapaem...

Kol. Spiker: Jeszeli mam być szczy, to ja tesz tak dokadnie nie apie?

Kol. Kierownik: A ja wam wszystko wytumacze, bardzo chentnie. Suchajcie. Przed
wszynstkim, i tutaj spandniecie zez krzenska, my wprowadzamy
prawdziwy kapitalizm i wprowadzamy go naprawde...

Kol. Kuchmistrz: Nie wierzę!?!?

Kol. Kierownik: Myśmy doszliśmy do wniosku, że nasz dotychczasowy model kapitali-
zmu był niesuszny...

Kol. Spiker: Model szczozjalizmu.

Kol. Kierownik: O co wam siem rozchodzi?

Kol. Spiker: Kolega kierownik siem przejenzyczył i powiedział, sze nasz dotychcza-
sowy model kapitalizmu sie nie sprawdził, a to był szczozjalizm...

Kol. Kierownik: Jaki szczozjalizm? Jaki szczozjalizm? Wyście to jesteście ale głupek.
To, co u nas było dopotąd, to wy uważycie, że to było szczozjalizmem?

Kol. Spiker: Eeee... Tak sie mówio w gazetach...

Kol. Kierownik: Ooo... To był kapitalizm państwowy. Państwo było waścicielem
wszynstkiego, a myśmy byliśmy waścicielami państwa, znaczy,
ajentami, raczyj. Ale to nie dziaao, bo przedsiębiorstwo było za duże. Wicie,
ja rozumiem, duży folwark, duży byznes... no, ale taki od Odry do Bugi; ode Tater
do Batyku, to to jest za duże. Tego, wicie, nie idzie ogarnąć. I teraz my zrobimy
drugom Japoniem. Chcieliście kedyś coś takiego? Chcieliście?

Kol. Kuchmistrz: Taak, za zawsze uważałem, że jak bym miał lekko skośne oczy,
to byłbym troszkę przystojniejszy. To znaczy może niezupelnie...

Przepraszam.

Kol. Kierownik: Gospodarka japońska opiera siem na dużyj ilości zamodzielnych
przedsiębiorstw i my właśnie na tym siem oprzemy.

Kol. Fedorowicz: Czy! jeszcze jedna reorganizacja, rucny pozorne, bo wiadomo,
że to nic nie zmieni dopóki państwo...

Kol. Kierownik: /przerywa/ dopóck państwo jest waścicielem. Tak est, to oczywis-
ta. Ale... właśnie na tem polega cay numer, że my to likwidujemy
- idziemy na pełną r eprywatyzację. Cha, cha, cha... Zdumniałem was! Żadnych
póśrodków! Chcemy prawdziwy kapitalizm całom gembom, taki jakiego żeście jeszcze
na oczy w Pol... sce nie oglądaliście! Koleje przed wojną były dla naprzykładu
państwowe, nie? były fabryki...

Kol. Kuchmistrz: A teraz będą prywatne?!?!?

Kol. Kierownik: Tak est. Taak est.

Kol. Kuchmistrz: Nie trzeba będzie przynajmniej przemalowywać wagonów: jak

było Polskie Koleje Państwowe, tak będzie Polskie Koleje Prywatne.
skrót tek. sam.

Kol. Kierownik: Tak, tak. Reprywatyzować, wszystko reprywatyzować będziemy...
Cay przemyśi, cay... a we w tym i zbrojenioy...

Kol. Fedorowicz: Znaczy odchodzicie od władzy, oddajecie kraj dobrowolnie społeczeństwu???

Kol. Kierownik: Zekundę, zekundę... Nie spieszcie się tak ze stem oddawaniem...
WAAADZY WAM NIE ODDAWAMY!!!

Kol. Fedorowicz: No nie, jeżeli jest prawdą to, co kolega Kierownik mówi, to logiczną konsekwencją jest choćby upadek partii, bo kto ją będzie finansował?

Kol. Kierownik: Prawdom, prawdom... W przyszłości bedom ją utrzymywali członkowie ze skadek...

Kol. Spiker: PZPR żyjąca ze składek członkowskich???

Kol. Kierownik: Oczywiście, że ze skadek, które będą odpowiednio wyższe. Powiem wiecej, bedom tak wysokie, że wy koledzy, o wy kolego Federowicz dla naprzykładu, gdybyście chcieliście siem zapisać...

Kol. Fedorowicz: No, nie! Nie, nie...

Kol. Kierownik: No, nie, tak teoretycznie... To was nie przyjmniemy, bo to będzie osiągalne tylko dla naprawdę zamożnych ludzi. Członkiem partii bendzie mógł być właściciel Banku Narodowego, właściciel Żeglugi Morskiej, właściciel Telewizji Polskiej...

Kol. Fedorowicz: Właściciel Telewizji Polskiej będzie mógł być członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej?!

Kol. Kierownik: Nie, nie... Polskiej Zjednoczonej Partii Posiadaczy - PZPP... Nowe legitymacje już siem tukom... Chyba, że zwycięży koncepcja przestemplowywań, znaczy zachowamy te same legitymacje, tylko siem skreślia "robotnicze", a na to miejsce wstawia "posiadaczy". No, wicie, w okresie rozruchu całego interesu to trzeba jednak działać oszczędnie. Dla naprzykładu ze względów oszczędnościowych Kazimierz Barcikowski zmienia nazwisko na Kacprzak...

Kol. Kuchmistrz: Bo krótsze, tak?

Kol. Kierownik: Nie, cha, cha, nie... Czasami trzeba zmienić na duże, dla oszczędności na duże... bo, dla naprzykładu, Ciosek zmienia nazwisko na Waryński...

Kol. Fedorowicz: Jak to, przepraszam, dlaczego zmienia?

Kol. Kierownik: Żeby nie przemyłowywać wyrobów. Zauważyliście chyba, że te wielkie dzwigi, maszyny to majom wymalowane takie wielkie napisy "Waryński" - to jeszt nazwa wyrobu i jednocześnie nazwisko właściciela. Gdyby Ciosek nie zmienił nazwiska, to na wszystkich wyrobach trzeba by zamalowywać "Waryński" i ... na nowo pisać "Ciosek". Rozumiecie? To som koszta...

Kol. Fedorowicz: Rozumiem, to znaczy, że zasłużeni partyjni zostają właścicielami przedsiębiorstw...

Kol. Kierownik: Tak est, tak est... Tylko, wicie, jeden uparł się, że jego nazwisko jes. takie cudo, że os. jego nie zmienić, no i dyla rzeczywiście nie dało się zmienić, bo tak siem chciało, że ktoś inny zmianę siem zgodził, nawet tak pierwsze litery, to siem zgodził, tak że na wyrobach będzie siem zmieniać tylko "Zus" na "ben"...

Kol. Kuchmistrz: "Zus" na "ben"... Zakład "Zjednoczona Społeczność"...

Kol. Kierownik: Aaa... Co ma jedno do drugiego? Jak bendzie chciał, to bendzie. No, ale wicie, żeby mieć z czego opacać skadki czonkowski do PZPP, bendzie waścicielem fabryki "Urzuś".

Kol. Fedorowicz: Chyba go za mało uhonorowano - za takie zasługi tylko...

Kol. Kierownik: Ale nigdzie we w kapitalizmie nie ma powiedziane, we tym kapitalizmie, t'm prawdziwym, że jeden właściciel musi mieć tylko jedno przedsiębiorstwo. Susznie, susznie podnieśliście problem zasług Urbana Jerzego. On otrzyma właśnie "Urzusa" i Telewizjem Warszawa. Rakowski Mnieczysław telewizjem kablom i na wszelki wypadek też trochu zakadów wielkoprzemysłowych... tylko z tym som jeszcze trochę kłopoty, bo musimy uzgodnić, czy we w Moskwie zgodzom siem na zmianę nazwiska.

Kol. Spiker: Jach to psacies Lakowski nie jest obywatelem...

Kol. Kierownik: Nie, nie jest obywatelem, honorowym tylko jest. Wicie, tutaj nie zrozumieiliście. Rakowski może zmienić swoje nazwisko i Moskwie nic do tego. Ale to nazwisko, na które on by potrzebował zmienić, jest jednak we w gestii Zwionzku Radzieckiego. To nie jest nasze nazwisko.

Kol. Fedorowicz: A co to na nazwisko?

Kol. Kierownik: Lenin.

Kol. Fedorowicz: Lenin?!?!

Kol. Kierownik: No, znaczy niezupełnie... On chciałby trochu spolszczyć. Tak jak, takie... Libera, albo Lelywa, to on chce zmienić na Lenina. Mnieczysław Lenina.

Kol. Kuchmistrz: Tak już wiem. Rakowski dostaje stocznie im. Lenina.

Kol. Kierownik: Tak est. Mnietek właśnie otrzymywe stocznie i we związku z tym zmienia nazwisko...

Kol. Spiker: Jak, jak on... żeby go tak potraktować?!

Kol. Kierownik: Niniby jak potraktować???

Kol. Spiker: Pszży deficytowa...

Kol. Kierownik: Ale gupi. Deficytowy... Po primo, to on otrzymie cały przemysł stoczniowy. Za te zasługi, które on ponosi w w'tym całym przedsięwzięciu, to jemu się należy coś ekstra. A po drugo, to wy wierzycie, że stocznia będzie deficytowa?!?! We w prywatnych rękach?!?!

Kol. Kuchmistrz: Ale czy on się zna, czy on się zna na kierowaniu stocznia?

Kol. Kierownik: Ale co to ma do rzeczy?! Gdyby siem nawet znał, to by mu siem nie chciało kerować. Kerować bendom wynajenci fachowcy, opaceni. Co wy myślicie, że my siem bendziemy babrać w w takiej robocie? Ja dla na przykładu mam otrzymać kilka kopalni na Górnym Śląsku. Co wy myślicie, że js bendem mieszkał na Śląsku?! W w tej zarazie?! Wykluczone. Tak est! Dopotąd tośmy musieliśmy odychać temni zanieczyszczeniami, ale teraz nich sobie "Zolidarność" odycha. Waśnie, nie mówiliśmy o "Zolidarności". Waśnie siem godzimy na wszystko. Tak est. Usuwamy partiem ze z zakadów. Partia teraz nie tylko nie bendzie we w zakadzie, ale nawet siem nie zbliży na odlegość bliższom niż kilkaset kilometry! Waściciel zakadu, jak każdy szanujoncy siem kapitalista, bendzie mieszkał na Florydzie abo we w Nicei, abo we w Ostendzie. O, ja dla na przykładu, to js już wiem, że ja bende miś dworek myśliwski we w Bawarii, letniom rezydencjem natomiast we w Kaliforni. Już rozmawiałem kilka dni temu... Aha, moja rodzina zamieszka sobie na tyj wyspie... mhm... zapomniałem nazwy, taka była... o, Kapri. "Wyspa Kapri jak wulkan gorąca". Tak siem cieszem, żeśmy rozwiązaliśmy wszystkie problemy. Wszystko we mię śpiewa!

Kol. Spiker: Pseplasam, ja też bym chciał pośpiewać...

Kol. Kierownik: To śpiewajcie...

Kol. Spiker: Ale ja bym chciał mieć powód. powód chciaubym mieć do śpiewania, ja też bym chciał coś dostać... kolego Kierowniku, gdybyr ja zmienił naswisko na "Segielski" albo "Dźolmei" albo na "Cnatowice", Henryk Chatowice,

i pisałbym H. Chatowice, i mógłbym Hute objąć, albo Polt Północny...

Kol. Kierownik: Eee, Hmm. To... marzenia, ale, nie, nie, suchajcie, znajcie swoje miejsce. Wicie, wy wymieniacie placówki, które otrzymajom najbardziej zasuzeni. Was, szeregujemy jednak wśród tyj drobnicy, która otrzymywa jednak mniejsze zakady, zakadziki, badyłarnie, szklarnie, gastronomie. Ja bym wam raczyj radził, kolego Spikerze, przystompcie do jakiejś spółki, takie co to już od dawna powstajom, na zasadzie usug wzajemnych, takie trójki powstajom: jeden zasuzony czonek partii - do załatwiania na lewo zurowca, jeden zdolny apolityczny kombinator - do roboty, i jeden emerytowany funkcjonariusz Zużby Bezpieczeństwa dla bezpieczeństwa caej spółki waśnie, caej spółki. My całom producncjem takim konsumpcyjnom na takim modelu oprzemy, a grube ryby finansjery zajmnom siem kluczowymi gałonami przynystu. Jeżeli byście chcieliście wiedzieć, to Hutem Katowice otrzymywa, ona jest już przydzielona, otrzymywa Alfred Mniodowicz.

Kol. Fedorowicz: To już nie będzis OPZZ-tu?

Kol. Kierownik: A we w jakim celu? Chcieliście "Zolidarności", to jom sobie mnieście, dugo siem nie nacieszycie... Bo jom wykończymy, za pieniondze amerykańskie...

Kol. Fedorowicz: W jaki sposób?

Kol. Kierownik: Jak tylko Amerykanie zobaczom, że myśmy nie oszukaliśmy, tylko ten nasz kapitalizm jest prawdziwy... he, he, he... to ze z kim bendem handlować? Ze z wamni? Nieeee... Ze z namni bendem... bo to som pieniondze i bendem ze z nami handlować i we wtenczas wyposażymy mnilicje we w takie pałki, we w takie armatki, takie mnikrofony podsuchowe zakupimy, że co byście tylko pomyśleliście, to my już uszujemy i stać nas bedzie na tyle mnilicji, ile bedzie potrzeba i już nam nigdy nie podskoczycie! Tak est! Już niedugo na naszej ulicy bedzie sofce! - jak mawiał towarzysz Stalin, we w przbytku geniuszu i wicie, co ja teraz robie aktualnie!!!

Kol. Kuchmistrz: Szpera kolega po kieszeniach... Dobrze, że jeszcze choć w swoich...

Kol. Kierownik: Szperam! Szperam! w poszukiwaniu mojego zymbolicznego nakrycia gowy, którem zawsze był berecik! Znaazłem i oto podchodzem do kubia i w y r z u c a m na śmnieci! Wyrzucam!

Kol. Spiker: Kolega tego nie lobi, kim kolega będzie bez belecika?

Kol. Kierownik: Ja bendem może odmnieniony, ale ja bendem "ja"... Bendem...

Kol. Kuchmistrz: Nie ma berecika, zdumiewające...

Kol. Kierownik: Teraz, koleczy, udawam siem na miasto i tam zakupięm sobie prawdziwy cylinder, bise gatri i paczkiem cigar. Jak ns prawdziwego kapitalistem przystało!

Jacek Fedorowicz

Cezary Kaźmierczak

M Y S I A S T O R Y

Gdy Mirek Andrzejewski powiedział mi, że w Siedlcach planowana jest wystawa jego rysunków, roześmiałem się. Absolutnie nie wierzyłem, że impreza taka może się udać, a to z powodu ożiałalności pani Elżbiety Kieliszek, miejscowego cenzora.

Wiem co nieco o mentalności tego typu ludzi i prędzej spodziewałem się zawalu serca cenzorki niż tzw. "zwolnienia" do publicznego rozpowszechniania /dokładniej: pokazywania/. Zastanawiałem się także, co skłoniło Andrzejewskiego, człowieka doświadczonego, który drugi obieg wyssał z mlekiem matki, do tej zabawy. Cóż się okazało? Andrzejewski ogląda telewizję. Ja nie, co najwyżej czasami, gdy jestem u znajomych, rzucę okiem - i od pewnego czasu łapię tam rzeczy straszne. Prawdziwi komuniści zapewne przewracają się w grobach, żywi najprawdopodobniej ze zgrzyoty łada moment rozpoczną głodówkę albo dokonają manifestacyjnego samospalenia... Jednym słowem, Andrzejewski obejrzał w TV coś o hitorii, zobaczył twarze kilku byłych agentów i ekstremistów... /dość, w "Metrum" za mało jest miejsca, by wymienić wszystkie epitetę, którymi do niedawna obdarzani byli Wałęsa, Onyszkiewicz, Michnik i inni/.

Andrzejewski uwierzył. Jak mi zeznał, sądził, że 50% jego prac przejdzie. W grudniu 1988 roku przekazał 145 rysunków organizatorowi wystawy, Towarzystwu Miłośników Podlasia. Wizytować Okręgowy Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk w Warszawie Oddział w Siedlcach poszedł sekretarz TMP, Stanisław Jastrzębski. Cenzorka wzięła rysunki i oświadczyła, iż w związku z ich znaczną liczbą na decyzję trzeba będzie poczekać. Z lekka zaniepokojony Jastrzębski, odrobinę znający zwyczaje przedstawicieli tej profesji, poprosił cenzorkę, by rysunków nikomu nie udostępniała, ponieważ nie ma ich spisanych. Pani Kieliszek oburzyła się: "Za kogo pan mnie ma?!" Sekretarz TMP zasugerował, by została choć połowę. Chcąc załatwić sprawę *comme il faut*, zwrócił uwagę cenzorki na rysunek przedstawiający statut PZPR, którego stopka wydawnicza głosiła: "Sdziełano w SSSR". Pani Kieliszek uśmiechnęła się, powiedziała, że to prawda i wyznała, iż nie ma nic przeciwko temu rysunkowi.

Jastrzębski wyszedł w nienajgorszym nastroju, żartując "puści choć jeden". I w tym momencie nawet ja uwierzyłem, że wystawa przejdzie. Komunista jednak zmiennym jest...

Następnie przez miesiąc były kłopoty z zastaniem pani Kieliszek. Zniknęła kartka informująca o godzinach jej urzędowania. Pani Cenzor zachorowała.

Drugie spotkanie miało miejsce w połowie stycznia. Osobnicy stojący za plecami pani Kieliszek zakwestionowali 57 rysunków. Zakwestionowano także projekt plakatu informującego o wystawie. Okazuje się, że dla siedleckiej ubecji nie do przejścia są następujące tematy: milicja, całe wojsko i pacyfiści /piękne połączenie!/, "wybory" oraz bożkowie partyjni. Zastrzeżenia natury politycznej zgłoszono do 56



rysunków. Lecz aby pokazać, że oprócz wyśmiewania najznakomitszych wodzów oraz ich zbrojnych ramion Andrzejewski także świfitusz, jako pornograficzny zakwestionowano również rysunek "Seul '88". Dziwne to, bowiem na podstawie rzeczy zamieszczanych w prasie ocenzonej dla nikogo nie jest tajemnicą, że akurat w sferze



obyczajowej Mysia zezwala praktycznie na wszystko. Wśród rysunków zakwestionowanych z powodów politycznych znalazł się i taki, przedstawiający prokuratora wyłuszczonego skomplikowany wywód matematyczny, a przyglądający się temu milicjant stwierdza rzeczowo, że "tego w szkole milicyjnej nie przerabiał". Można z tego wysnuć pachnący herezją wniosek, że albo kaprale naprawdę nie znają wywodów na poziomie IV roku wyższych studiów matematycznych, albo, co gorsze, że w szkołach milicyjnych ich tego nie uczą! Dlatego uważam, że rysunek zakwestionowano jak najbardziej słusznie.

Jastrzębski, jak przystało na potomka zawziętej podlaskiej szlachty, nie dał za wygraną i jał się targować. Udało mu się wyrwać 17 prac, w tym także ten z matematycznym wywodem, z czego należy wnosić, że pani Kieliszek jeszcze nie jest dostatecznie przeszkolona politycznie i ma zbyt miękki kręgosłup ideolo-



giczny. Rysunek mówiący o miejscu sporządzenia statutu PZPR - mimc wcześniejszych zapewnien - niestety nie przeszedł. Wtedy Jastrzębski poprosił o wskazanie paragrafów, na podstawie których zostały zakwestionowane poszczególne rysunki. Cenzorka stwierdziła, że nie będzie wdawała się w uzasadnienie zakazu publikacji każdej z prac. Albo całość, albo nic. Jeżeli TME i Autor zgodzą się na wycofanie zakwestionowanych rysunków i przedstawią do cenzury te ocenzone, wówczas wystawa zostanie "zwolniona w całości"!!!

Przyznaję, że wobec tego typu argumentów czuję się bezbranny. KIM jest się w takim momencie? Obrońca "ustawy o cenzurze", które się nie uznaje? Siła wroga czy postępu? Czy w głowie lojalnego obywatela może powstać myśl niezgodna z ustawą? Jeśli na serio brać hasło: Sprawiedliwość cęstoją mocy i trwałości

Rzeczpospolitej, to jest się dywersantem. Jeśli wziąć sobie do serca nakaz ochrony naczelnych interesów najwyższych władz partyjno-państwowych, to wówczas okaże się, że pani Kieliszek spisuje się na medal. Niestety, również i w tym przypadku walizka ma podwójne dno. Bowiem jeżeli obywatel wie, że 57 rysunków Mirka Andrzejewskiego "godzi w sojusze", "osłabia moc obronną PRL", jednym słowem - może wstrząsnąć Układem Warszawskim, to może to w nim zrodzić zwątpienie w niepokonaną Armię Czerwoną i sprzymierzone z nią LWP. Ponadto, co będzie jak dowiedza się o tym rodzime psy łańcuchowe imperializmu oraz NATO? Strach pomyśleć - narysują 5700 tys. rysunków i... Armia Czerwona może zapaść się pod ziemię. O co tu chodzi? Schizofrenia? Nie, surrealizm socjalistyczny.

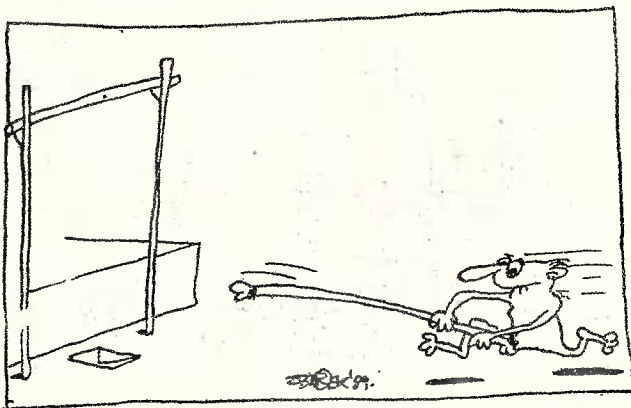
Pani Kieliszek - pisząc już bardziej poważnie - chodziło po prostu o wynegocjowanie "wariantu gierkowskiego". Ocenzuruj się sam, my ci pokażemy jak, a potem to niech tylko który powie, że gnębimy wolną myśl!!!!

Jednak Jastrzębski był bezczelny i nadal domagał się, aby pani Cenzor na piśmie wyraźnie określiła, które z rysunków są cenzuralne, a które nie. Pani Kieliszek ponownie odmówiła, stwierdzając, że jeśli TMP chce takiego rozwiązania, to ona służy kontaktem ze swoim szefem, który urzęduje w Warszawie przy ulicy Mysiej.



Jednak odradza to i ostrzega: na Mysiej są gorsi od niej. Ładnie, że pani Cenzor wie przynajmniej tyle, iż postępuje źle./

Jastrzębski poprosił o czas do namysłu. Rozpoczęły się konsultacje: co robić?



Autor stanowczo nie zgadzał się na propozycje cenzury. Rozważano różne warianty,

np. zanieść ocenzurowane rysunki i 40 pustych krutek, lub też zgodzić się na cięcia, a wydać w 99 egzemplarzach aneksu do wystawy itp. W końcu po naradach postanowiono jechać na Mysią. Wedle obietnicy cenzorka umówiła organizatora ze swoim koleśkiem po czerwonym ołówku, a następnie, dzień przed terminem wizyty w Warszawie, zadzwoniła do prezesa TMP, mec. Oknińskiego z pogroźkami. Jeżeli pojedą - oświadczyła to stosunki między nimi się pogorszą. Jastrzębski /och, ta zawzięta podlaska szlachta/ jednak pojechał. Wyjął rysunki, na co cenzor odparł, że nie potrzeba, ma swoje /"Za kogo pan mnie ma?" - E. Kieliszek/. Podzielone były na dwie mniej więcej równe kupki. W kupce niecenzuralnej znajdowały się wszystkie odrzucone przez rodziną Mysią oraz kilka innych. Cenzor powtórzył argumentację pani Kieliszek i namawiał, aby się zgodzić na proponowane rozwiązanie. Twierdził, że już wkrótce cenzury nie będzie, ale nie ma się z czego cieszyć, bo wydawcy będą jeszcze gorsi, oni /cenzorzy/ tacy ostatni nie są /znów ten kompleks/. Kazał się zastanowić. Oczkiem mrugał - jeśli się Jastrzębski zgodzi, to "może coś odpuścić". Natomiast decyzję odmowną - a jakże! - wydać może od ręki.



Niby można się odwoływać do sądu, ale o ile on zna sądy... Podobnie jak pani Kieliszek uchylił się od wydania pisemnej odmowy na część rysunków. Jastrzębski, któremu zależało, aby wystawa odbyła się niemal coute que coute, mając nadzieję, że może da się jeszcze coś zrobić, decyzji odmownej nie wziął i umówił się z cenzorem, że po naradzie z Autorem udzieli ostatecznej odpowiedzi. Autor zgody na "wariant gierkowski" nie wyraził, czego wynikiem było następujące pismo:

Okręgowy Urząd Kontroli
Publikacji i Widowisk w Warszawie
Oddział w Siedlcach
/pieczętka podłużna/

Siedlce, dnia 1 lutego 1989.

Towarzystwo Miłośników Podlasia
Zarząd w Siedlcach

Okręgowy Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk w Warszawie Oddział w Siedlcach odmawia przyjęcia do kontroli wstępnej wystawy rysunku Mirosława Andrzejewskiego zgłoszonej do kontroli wstępnej 16 stycznia 1989 r., ponieważ była ona przedmiotem kontroli wstępnej w tut. Oddziale i zakończona została decyzją /ustną/ o zakazie rozpowszechniania w dniu 10 stycznia 1989 r. Dodatkowo informuję, że wydania zakazu rozpowszechniania dokonano w związku z naruszeniem dóbr chronionych art. 2 pkt 2, 3, 6 ustawy c.k.p. i art. 178, 236, 237 § 1 k.k.

Starzy Radca OUKPiW
Ełżbieta Kieliszek
/podpis nieczytelny/

Powyższe pismo przytoczyłem bez zmiany przeliczka. Jak ma się ono do opisanych faktów, P.T. Czytelnicy mogą ocenić sami. Aby pocieszyć tych wszystkich, którzy chcieli obejrzeć wystawę, informuję, że o ile mi wiadomo, Wydawnictwo Metrum zamierza wydać książkę zawierającą zebrane rysunki Mirosława Andrzejewskiego. Sama wystawa ma być niebawem prezentowana w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Cezary Kaźmierczak

PS. Już po wszystkich okazało się, że wśród zwróconych przez cenzurę rysunków 5 to znakomitej jakości kserokopie. Pomylili się chłopaki /"Za kogo pan mnie ma?!" - E. Kieliszek/.

x x x

Autorem wszystkich rysunków jest Mirosław Andrzejewski.

Półka Metrum

Agata Zalewska

DIAGNOZA

W dość obfitej literaturze "szpitalnej", a więc takiej, która za miejsce akcji obiera szpital bądź sanatorium, instytucje te najczęściej traktowane są jako odcięte od reszty świata enklawy. Formują się w nich specyficzne normy etyczne, sposoby zachowania, stosunki między ludźmi. Bo i warunki szpitalne są przecież odmienne od "normalnych", codziennych. Tu ludzie rodzą się i umierają, tu szukają ucieczki przed bólem. Szpital jest bowiem miejscem "nigdzie", miejscem zawieszonym pomiędzy życiem a śmiercią, gdzie sprawy ostateczne człowieka są sprawami codziennymi dla lekarzy, pielęgniarek i salowych. Śmierć pozbawiona jest tu swego majestatu, radość ozdrowienia nie ma wymiaru eschatologicznego. To kwestia trafnej diagnozy, pewnej ręki chirurga - a więc kwestia zawodowej rutyny. W zamkniętej przestrzeni szpitalnych murów tłamsi się i miesza strach i ból, nadzieja i rezygnacja, poświęcenie i obojętność, uprzejmość i ordynarne chamstwo. Dlatego sceneria szpitala jest doskonałym tłem dla ukazania postaw ludzkich w krańcowych sytuacjach, napięć nieznanych lub nie odczuwanych tak ostro w zwyczajnej, szarej codzienności. I dlatego szpital najczęściej traktowany jest jako symbol pewnych postaw, jakiejś filozofii, czy też jest próbka rzeczywistości. Rzeczywistość zewnętrzna, pozaszpitalna rzadko jest przywoływana, najczęściej są to wizyty krewnych, którzy opowiadają, co się zdarzyło TAM.

"Stan po zapaści" Jacka Bocheńskiego opisuje dwie rzeczywistości: szpitalną i pozaszpitalną. Miesza je w sposób dość wyrafinowany, jakkolwiek powieść na pierwszy rzut oka pozbawiona jest wszelkiego wyrafinowania. Napisana jest w formie dziennika chorego przywiezionego do jednego z warszawskich szpitali po ataku serca, w szpitalu zaś stwierdzono "stan po zapaści". Chory, by /w życiu pozaszpitalnym pisarz, lecz nie uotożsamiamy go z autorem/ zapewnić jakoś nudę szpitalnej wegetacji, spisuje dokładnie dzień po dniu: rozmowy, czyny, refleksje, opisuje innych chorych, lekarzy, pielęgniarki, salowe. Opisuje dźwięki i zapachy. Wizyty żony i przyjaciół. Opisuje ludzi przychodzących w odwiedzinę do innych chorych. Słowem opisuje WSZYSTKO. I robi to bez specjalnej dbałości o kompozycję. Kompozycję narzuca tu opisywana rzeczywistość: opisuje "jak leci" i to, co zdąży zapisać. Stąd chaos, wyrwykowość, czasem przewaga nieważnego szczegółu nad głęboką refleksją. Twórca dziennika szpitalnego nie ma bowiem możliwości dokonania selekcji faktów. Chce to tylko u t r w a l i ć. Widzi to - jak się zdaje - po raz pierwszy. Ale próżno oczekiwalibyśmy tu, jakichkolwiek ocen i sądów nad szpitalną rzeczywistością i nad ludźmi, którzy ją tworzą. W opisie uderza obiektywizm, a nawet, rzec można, beznamietność. Autora dziennika niby nic nie dziwi, nic nim nie wstrząsa. Powstrzymuje się od komentarzy, gdy pan Heniek kradnie kółka od wózka inwalidzkiego, by sobie po powrocie ze szpitala zrobić z nich wózek do wozenia trawy dla królików. Nie komentuje odzywek salowej "Ptyisia", które kwalifikują ją raczej na pensjonariuszkę burdelu, a nie pracownicę

szpitala. Nie komentuje dziwnego systemu leczenia, polegającego na tym, że chory zmieniając miejsce z korytarza na salę przechodzi również do innego lekarza, czyli nie jest prowadzony przez jednego, lecz wędruje jak przedmiot z rąk do rąk. Nie komentuje braku lekarstw, niskich kwalifikacji personelu, obojętności na cierpienie ludzkie /"dziadek" umierający w sali obok cierpi bardzo, jego córki czuwają w nocy, przeskupując w tym celu pielęgniarki, bo inaczej "nikt nie poprosiłby poprosić o zastrzyk przeciwbólowy"/. Umierający, cierpiący człowiek jest de facto pozostawiany samemu sobie i - nie budzi to niczyjego sprzeciwu. Rodzinę, która chce pomóc, usuwa się ze szpitala. Przykładów można by przytoczyć mnóstwo, na każdej niemal stronie jest kilka tego rodzaju kwiatków, ale wówczas wyszedłby mi paszkwil na służbę zdrowia, a tego nie zamierzałem pisać Bocheński, więc i mnie nie wolno.

Obojętność opisu w dzienniku jest prowokacyjna, zmusza bowiem czytelnika do oceny. A czytelnik zdaje sobie sprawę, że ocena nie może być tu jednoznaczna. W rzeczywistość szpitalną ingeruje bowiem raz po raz rzeczywistość pozaszpitalna. Rzeczywistość stanu wojennego i kryzysu. Od spraw drobnych i czysto materialnych /motki zagranicznej wódeczki czy te nieszczęsne kółka od inwalidzkiego wózka; nota bene, gdyby pan Henio mógł je kupić w sklepie, czy musiałyby kraść ze szpitala???, poprzez problemy zawodowe lekarzy /brak leków, brak odpowiedniego personelu niższego, brak pomieszczeń, łóżek, sprzętu medycznego, brak po prostu w s z y s t k i e g o / do spraw o wymiarze politycznym; ważnych dla całego kraju. Wędrujemy, przyglądając się, jak w każdej sferze życia niszczeni jesteśmy przez system. Nie, nie, stwierdzenie "wszystkiemu winien jest system" jest uproszczeniem, choć jest ono złusznym. Ale ani Jaskowi Bocheńskiemu, ani stworzonemu przez niego autorowi dziennika nie chodzi o ocenę systemu politycznego. Robiono to już zbyt wiele razy. "Stan po zapasach" jest diagnozą nie tylko autora dziennika. To diagnoza chorego społeczeństwa, chorego kraju. Szpital nie jest tu symbolem, jest chorą częścią chorej całości. Jest wynikiem chorej, nienormalnej, zangrenowanej rzeczywistości. Nie ma tu podziału na szpital i nie-szpital. To wszystko razem jest zniszczone, beznadziejne i wszystko służy do niszczenia ludzi. Specyficzna moralność, jaką opisuje Bocheński, moralność jakiejś w zasadzie nic nie można zarzucić - lekarze są sumienni i uprzejmi, salowe klną, ale jednak sprzątają, pielęgniarki mierzą temperaturę - przanika z zewnątrz. Nie zapewnia psychicznego komfortu chorym. Jak to się dzieje, że są oni samotnikami, że nie mają komu się pożalić, że nikt nie pamięta, iż atmosfera ciepła i życzliwości jest tak samo ważnym czynnikiem w leczeniu, jak zagraniczne lekarstwa czy sprzęt. Ale spóza szpitala wkracza brutalna rzeczywistość: dochodzą wiadomości o strajkach i demonstracjach, o pobitych na komendach MO, których wozi się do szpitali, gdzie pilnowani są przez milicjantów lub esbeków. Pozostaje troska o najbliższych, wiadomości o represjach i rewizjach. Do szpitala dostarczana jest bibuła. Na sali razem z autorem dziennika leży ktoś, pobity przez MO, uratowany przez lekarzy, którzy przeniesli go tu z chirurgii. Autor dziennika podejrzewa, że ktoś z lekarzy musi donosić esbecki. Kto donosi? Atmosfera podejrzliwości. I dlatego lepiej jest nic nie mówić. Nie sądzić. Nie oceniać niczego głośno. Poza szpitalem i w szpitalu lepiej siedzieć cicho. Knuć. Dopracowywać kontakty z ludźmi, o których można powiedzieć, że są pełni. No dobrze, ale co poza tym? Życie w tym kraju jest jak szpitalna asystencja, ale jak ją zmienić w życie normalne? Można uciekać od rzeczywistości we wspomnienia, można snuć refleksje, wadzić się z Bogiem, osądzać historię - ale ciągle tkwimy w szpitalu. "Jesteśmy zamknięci w szpitalu i komunizmie" - mówi w którymś miejscu autor dziennika. I niepokój, ciągły, potęgowany przez hałas, krzyki salowych, brzęki naczyń - "coś hucały po piętrach, otchłaniach", rażące światło, jęki chorych. "Słyszę. Hucała głowa. Kroki. Krzyki. Szmer aparatów elektrycznych zlewają się ze stukiem obcasów i echemi klatek schodowych. Taki jednostajny szum." /Po przywiezieniu do szpitala autora dziennika umieszczono na korytarz - brak łóżek na sali. Normalna. / "O, jak szumi, jak szumi... Teraz dopiero czuję zaduch. Mdlący, ciepły. Pachnie wydzielinami, potem, kałem, spirytusem i etarem. I jeszcze czymś. Na przykład miekim. I amoniakiem. I jeszcze. Nie wiem czym. Płynę. Słyszę. Dudni w chorych głowach. Na różnych piętrach. Płynę." To nie jest jedynie opis doznań chorego. To opis stanu całego społeczeństwa. I wieszane w to wypowiedzi chorych dotyczące rzeczywistości. Skape, półowiadliwe. Proste. "Dzisiaj, to oni mają, proszę pana, społeczeństwo w dupie". Zaduch, hałas, jęki. To cała nazwa rzeczywistość. A później, gdy już chorzy na sali poznają się bliżej, zaprzyjaźniają, toczą się

rozmowy, wspomnienia, snują się refleksje. O wojennej przeszłości. O tym, jak było za Gierka. O Żydach i Ukraińcach. O Bogu. O stanie wojennym. O emigracji na Zachód. O Rosji i "polskim analfabetyzacie politycznym". O komunizmie. "Ale komunizm polega właśnie na tym, żebyśmy nigdy nie wiedzieli i nie mieli kogo zapytać. To jest najważniejsze. Żeby tak było. To jest alfa i omega ustroju, istota jego potęgi i najświętsza świętość. Tego podkopać nikomu się nie pozwoli. Nie wyszuka człowieka przez człowieka, tylko podejrzenie człowieka przez człowieka. Tak musi być". Więc my wszyscy, spętani wedle umowy społecznej powszechnym milczeniem - milczymy wobec faktów, o których należy krzyknąć. Co ma tutaj do roboty Bóg? Obalane zostało tradycyjne p.jęcie grzechu. "Może chodzi o grzechy, które nie są ani moje, ani pana Rucia, tylko czyjeś. ale są nam obu wiadome, i przemilczane? Więc nasze? Może do wypowiedzania jest grzech taki: ja, właśnie ja, żyłem, widziałem, słyszałem i milczałem. Teraz na przykład milczę. Bo nie wiem, co mówić, nie mam do kogo, nie mogę, bo spętany jestem, jak wszyscy"... Może mam się wypowiadać w powszechnego szumu w chorych głowach? Nad powszechnym, szpitalnym chaosem, wśród powszechnego "szumu w chorych głowach" Bóg jednakże istnieje w jakiś sposób. Autor dziennika przygotowując się do spowiedzi, której zresztą nie odbył, szuka Boga, próbuje określić sposób jego istnienia. "W to, że Bóg jest o tyle, o ile musi być, żeby człowiek mógł się spowiadać, w to, że Bóg w tym zakresie jest zawsze, ponieważ dlatego jest, choć nie tylko dlatego, w to wierzę. Jeszcze mi chodzi po głowie myśl, że skoro ja Go swoją wiarą stwarzam, to On jest, owszem, ale chyba nie byłbym zdolny do stwarzania Go, gdyby Jego także przedtem już jakoś nie było i gdybym się o Nim skądś nie dowiedział. I tu dopiero się gubię i w tym gubieniu się moin jest On".

Od przekleństw salowej "Ptyśla", od szpitalnych, drobniogowo opisanych realiów peerełowskiego szpitala, przez zapis codziennych rozmów, urywanych, chaotycznych, szpitalnego bełkotu, pseudo-sądów, prymitywnych ocen /czyż nasz język nie jest kształtowany przez rzeczywistość, a z kolei czy to nie my tę rzeczywistość ukształtowaliśmy?/ do rozmów spokojnych, refleksyjnych, prowadzonych ot, tak, dla zabicia szpitalnej nudy /a przecież - pomimo zmywu milczenia ludzie p r a g n ą mówić, dzielić się swymi spostrzeżeniami i przeżyciami z innymi/, ale w swej prostocie i bezpretensjonalności głębokich, choć całkowicie odintelektualizowanych /patrz powyższy cytat o Bogu/ autor dziennika szpitalnego, a może dziennika piekielnego, bo te huczące otchłanie jakos kojarzą mi się z Dantem, porządkuje swoje życie wewnętrzne. Pomaga mu w tym podjęty zamiar odbycia spowiedzi, pomagają też rozmowy z chorymi, ludźmi, ludźmi, zwykłymi, szarymi. Każdy z nich pochodzi z innego środowiska. Żaden z nich nie jest postacią ważną w powieści. Stanowią tło, szare i tylko wywoływani są z tego tła, by wypowiedzieć swoją kwestię. Autor dziennika poprzez konfrontację ich sądów ze swymi, poprzez obserwację szpitalnego życia nie dochodzi może do rozwiązania polskich problemów, bo też nie o to w tej powieści chodzi. Jest ona z założenia a- czy nawet antyintelektualna. I nawet nie chodzi o samą diagnozę rzeczywistości polskiej lat 80-tych, choć sugeruje to tytuł i obecne na każdej niemal stronie symboliczne odniesienia oraz zakofczenie. Chodzi w niej o prezentację pewnej postawy. Stworzony przez Jacka Bocheńskiego autor dziennika to nie intelektualista, mimo że jest od pisarzem. To jakby nowy gatunek polskiego inteligenta. Bez pretensji do wielkości. Bez marzeń o zbawieniu świata w ogóle, a Polski w szczególności. Ale z "całkowocią labilną" i stąd skłonny do zapaści. Ktoś, kto zdawałoby się wyłączenie biernie obserwuje. Przez obserwację i refleksję dochodzi jednak do diagnozy. A trafna diagnoza jest warunkiem wyleczenia.

Jacek Bocheński: "Stan po zapaści", NOWA, Warszawa 1987.

c.d ze str. 106

Istnieją w świecie zweryfikowane praktyką dobre i skuteczne systemy ekonomiczne i nie widzimy potrzeby wymyślenia innych. Pragniemy także dodać, że próby takowe niemal zawsze kończyły się katastrofą.

Notausz, Sielice: Listu nie wydrukujemy. Przypominamy ponadto, że nie drukujemy żadnych nie podpisanych własnym nazwiskiem złośliwych ataków.

Jest rok 1602. W Europie trwa kontrreformacja a na Jamestown, w stanie Wirginia, przybywają Michał Lewicki z Łowicza, Stanisław Stefanowski z Włocławka, Jan Mąta z Krakowa oraz Stanisław Sadocan z Kadzina i Jan Bogdan z Gdańska. Najprawdopodobniej są to pierwsi Polacy, którzy przybyli do kraju będącego odąd celem podróży bardzo wielu naszych rodaków, dla których Stany Zjednoczone były ucieczką przed niedzą, ciemnością i policją, nadzieją na pieniądze i siawę, miejscem wyzstępstwa lub klęski.

Jedenaście lat później "naszych" było już pięćdziesięciu, oczywiście zaraz zrobili strajk, wywalczając sobie prawa wyborcze. Od tamtego czasu nieprzerwanie do dzisiaj przybywają do USA Polacy polityczni i zarobkowi. Natężenie emigracji stosunkowo dokładnie pokrywa się z kalendarzem polskich klęsk i krzyżów.

Jednak pomimo dużego napływu Polaków do USA powstało niewiele świadectw literackich, które dawałyby nam obraz doli naszych rodaków w nowym miejscu pobytu. Można to tłumaczyć w dwójaki sposób. Po pierwsze - trudną początkiem, który jest udziałem niemal każdego emigranta, oraz - po drugie - chęcią jak najszybszego wtopienia się w wielonarodowe społeczeństwo amerykańskie, stania się Amerykaninem i dorównania mu pod względem materialnym i pozycji społecznej, co zmusza do ciągłej gonitwy. Życia na najwyższych obrotach, imygi sprawiani emigranci nie mieli czasu się zajmować. Nawet wybitne książki Danyły Mostwin musiały szukać wydawcy w Europie, bo na miejscu nie było chętnych.

Ostatnia fala emigracyjna "Solidarnościowa" / nieco zmieniła sytuację. Przybyło dużo osób z wyższym wykształceniem, w tym także ludzi piszących. Część z przybyłych zarazem była już w Polsce zwakogiem czytania i książka dla nich była również artykułem pierwszej potrzeby. Ponadto nie musieli oznaczać swojego emigracyjnego życia w tak trudnych, wręcz spartańskich warunkach jak nasi rodzacy, którzy przybyli tu np. po II wojnie światowej. Polska była w centrum zainteresowania świata, posiadała bardzo dużo sympatii, którą zawiązczała "Solidarności" i Papieżowi. Wiązały się z tym znaczne ulgi i pomoc ze strony administracji amerykańskiej.

Tak oto w stosunkowo krótkim czasie odgrzebiany wrzy godne uwagi książki dotyczące Ameryki: Zofii Mierzyńskiej - "Wakacje" i "Wakacje Redlińskiego" - "Dolorado" i Tomasz Jastruna - "W złotą klatkę". Dwie pierwsze zostały wydane w Stanach Zjednoczonych, ostatnia w Polsce w podziemiu. /fragmenty drukowała "Res Publica" nr 5/87/. /Na książkę Redlińskiego wydała również Nowa, lecz nie sądzę, aby Grzegorz Brzus specjalnie się tym afiszował, bowiem została ona wydana na poziomie pierwszej produkcji powielaczowych "Metrum".

Tomasz Jastrun ani Edward Redliński nie potrzebują rekomendacji, natomiast - jak Boga kocham, starałem się - o Zofii Mierzyńskiej nie udało mi się niczego dowiedzieć, a jej książkę cenię najbardziej. Mierzyńskiej idealnie udało się wtopić w mentalność i język swojej bohaterki, Anieli, wielekroć kobiety wysłanej do Ameryki przez rodzinę po dolary. Autorka uchwyciła typowe sytuacje i perypetie związane ze zderzeniem się w Ameryce: nieufność pólomów, szek socjofobny obfitością sklepów, postawy krewnych, którzy czys przedzj przybywają się przybywają ze swego luksusowego domu załatwiają jej "mieszkanie" w norze, wieloletnią harówkę, bez praw, bo przecież pracować musi ona na czarno, zotknięcia z różnymi oszustami pragnącymi zarobić na bezbronnej kobiecie itd.

Swoją ciężką pracę, ciągłe zagonienie Aniela przynajmo z pokorą. Na świat Polaków "urządzonych", tych, którzy przyjechali tutaj na stałe, a nie po to, aby zarobić na traktor, patrzy z pewnym podziwem i niedowierzaniem. Aniela nie ma wstępu na salony, ale może za to obserwować "bale emigracji" i szatni. Oto próbka stylu: "Panowie w takie czarne fraki poubierane, gorzy jak śnieg białe. Jak pingwiny com ich w ZOF widziałe, wyglądają, a panie? Opuszczają trudno. Szykany aż kipią, a blask taki od nich bije. Ze oczy trzeba mruczyć. Suknie z jakims ogniami, pórnikami. Bal zaczynał polonozem... nawet jak ja polakka, nomy nie zna, z oar taaak choć taki stary pamiętaja... na w sobie sercu. Usadzi szatni dla Polaki, y... a na tym zamienila z saba problem z przeszosc... A hażdy z saba to najzadajazy, to przeszosc tak jakba przez drugą strz wyznac... dla obywatelko to było najpię... w przeszocy, postać wy... sobie aniela... Kawa był taniast."

Tymczasem w miarę jedzenia apetyt rośnie... Rodzina w kraju domaga się więcej, więcej... Aniela zostaje porzucona przez męża. Próba wtopienia się w społeczność polonijną nie udaje się. Postanawia wracać. Na lotnisku oczekuje rodzina, niezupewnie powodowana tęsknotą za "wakacjuszką". "Franuś na powitanie - jak już głos odzyskał zwraca się do mnie:

- A pieniądze ci w drodze nie ukradli? Lepiej daj mi je zaraz, bo baba jest zawsze babą i w tym zamierzaniu może ci kto je wyrwać... Dużo masz tych dolarów?
- pyta Franio. - Byłoby chociaż z czym przyjeżdżać? Musiałaś się to tak śpieszyć? /.../

- Mamo, a kurtki skórzane, takie co mają dużo zamków, przywoziłaś? A Jaskowi dasz dolarów na motocykl?"

Ale był to tylko sen, który jednak wyjaśnił Anieli kilka spraw i pozwolił podjąć ostateczną decyzję: z gasterbaiterki postanawia przeistoczyć się w Amerykankę.

Należy mieć nadzieję, że Zofia Mierzyńska napisze dalszy ciąg tej historii.

Książka Tomasza Jastruna jest reportażem-rzeką. Jest książką polskiego intelektualisty, sceptyka, człowieka chorego na polskość, opozycjonisty. Jastrun wyluszył w podróż po Ameryce i pomimo innej perspektywy wielokrotnie postrzega Amerykę na podobnej zasadzie co "Wakacjuszka". Swego rodzaju wspólnym mianownikiem dla trzech omawianych tutaj książek jest szok i zdziwienie Ameryką. Aniela patrzy na to, co się wokół niej dzieje, oczami prostego człowieka, Jastrun - intelektualisty, natomiast Redliński - łączy niejako te dwa stanowiska obserwacyjne, raz będąc w swoim monologu "Światowcem", kiedy indziej "Wielokiem". Właściwie cały monolog Michała Wielokiego to walka pomiędzy tymi osobowościami. Jastrun obserwując Amerykę, jej życie i obyczaje, nieustannie zajmuje się łowieniem śladów polskich. Oglądając pomnik poległych w Wietnamie, Istry Kowalskich. Będąc u Indian Hopi, z nieukrywaną satysfakcją notuje, że upadły wodz tego plemienia każe mu pozdrowić tego "waszego wodza z wasami". Większość spotkań autora "W złotej klatce" to spotkania z Polakami amerykańskimi albo Amerykaninami polskimi. Jastrun nie ma o nich najlepszego zdania. Potwierdza obserwacje, które przywozi zła oceanu większość powracających: Polakom na Zachodzie brak solidarności, a w dodatku są jeszcze rasistami. Pierwszej obserwacji nie podejmują się wyjaśnić /Jastrun również tego nie czyni, tylko z niejakim żalem stwierdza, że inne mniejszości - te, którymi Polacy często pogardzają - wzajemnie sobie pomagają/. Jeśli chodzi o rasizm to, jak mi się wydaje, chodzi tutaj o wykazanie przed samym sobą /bo przed nikim innym/, że "są gorsi ode mnie". Jest to także wynik konkurencji, co w pewnym stopniu wyjaśnia również fenomen braku solidarności wśród Polaków. Słabo mówiący po angielsku Latynos, Arab lub Murzyn, nie posiadający odpowiednich kwalifikacji lub dyplomu renomowanego uniwersytetu amerykańskiego staje się rywalem w walce o dolary.

Temat ten pojawia się wielokrotnie na łamach reportaży. W Nowym Jorku L., w kraju "serdeczny, miły, uczynny, a przede wszystkim mierny ludziami i sprawie", oświadcza, że chciałby mieć karabin maszynowy, aby wystrzelać wszystkich Latynosów, "powystrzelać to tażajstwo". Według niego to Latynosi są nieszczęściem tego kraju, nie Murzyni. "Niechże do czarnych zostawia prostaków". Nie uszyscy jednak tak sądzą, w Now Britain kobieta będąca tutaj już 20 lat przybyła na łowczych /acz niezbyt przyjemną pogawędkę/ zdenerwowana, wykrzykuje: "Namnożył się tych czarnuchów, o mato nie patrzychałam jednego!". Podobne przykłady można mnożyć.

O emigracji polskiej Jastrun jest wielkiego uniemia. Jeśli chodzi o emigrację najmniejszą, tych, z którymi Jastrun nie tak szano Autor "rozwoził książki Nowej od Żoliborza po Ursynów", to ma do nich wyraźny żal, że opuścili "pole walki". Nie jest to nigdzie powiedziane wprost i autor unika łatwych osądów, niemniej z kart książki przebija przekonanie, że ludzie ci w jakiś sposób nie sprawdzili się, co po części zapewne jest słuszną. Zresztą, jego rozmówcy sami tworzą tego typu surowe tłumaczenia /nierazko dość miłomie, czasem wręcz kłamliwie/ swoje decyzje o emigracji. "Czasem - w sprawie - pyta: "Jed. w kraju?". Słuchają niby uważnie, ale w rzeczywistości niebada. Niespokoją się, gdy w malowanym obrazie za male cieżych barw. Waha się - wrócić, nie wrócić?, ale utępcy w tym kobietom nie przewidują zamiarów.

Nowi emigranci walczą przez dwa, trzy lata, by utrzymać się na powierzchni, potem wyciąg do końca życia by wspiąć się wyżej. /.../ "Za wolność trzeba płacić krwi" - to częsty refrain pieśni, którą tu słyszałem. Wzilli to ludzie, którzy

z reguły nie przeżyli stanu wojennego. I którzy najwyraźniej nie mają ochoty za cokolwiek płacić własną krwią".

Amerka Jastruna dziwi i przeraża. Nowy Jork jawi mu się jako dżungla /tak w istocie jest/, przeraża go burdel z prostytutkami, które są w ciąży, klasa dla nieleitnych homoseksualistów, nikt mu nie potrafi powiedzieć ile można odbierać programów telewizyjnych /podobno około 300!/, etc. Jednocześnie buntuje się przeciwko swoim znajomym, którzy każą mu nosić tylko 8 dolarów przy sobie /jeśli nic nie będzie miał i napadną młodociane oprychy, mogą zabić ze złości, że nie starczy na narkotyki/, zabraniają wchodzić do metra, siedliska nowojorskiej przestępczości, przestrzegają przed wejściem do Harlemu. Jastrun jest wnikliwym obserwatorem. Z podanych przez niego faktów, spostrzeżeń, niby oderwanych od siebie znaków, czytelnik może ułożyć sobie barwną i bogatą mozaikę amerykańską.

Na deser jeszcze dwie ciekawostki. W "Solidarności" było dwóch nietypowych działaczy: Joho, Japończyk, w wieku 12 lat pchnięty do Polski wolą ojca, i Murzyn Majewski, który był nawet delegatem "S" na Krajowy Zjazd. Po wprowadzeniu stanu wojennego Joho wydalono z kraju, a Majewski wyjechał. "Joho przyjechał rok temu na chwilę do Chicago. Spotkał się z ciemnoskórym Majewskim. Poszli do polskiej knajpy, a polska kelnerka widząc Murzyna i Japończyka zapytała po angielsku czego sobie życzą. A oni jedyną polszczyznę zażyczyli sobie "kotlety schabowe z kiszoną kapustą i dwie seteczki, pani rozumie". Nieszczęsna kobieta, podobno długo nie mogła dojść do siebie". Ponadto czy ktoś wie, że obywatel amerykański, polski poeta i prozaik żydowskiego pochodzenia, Henryk Grynberg jest żołnierzem armii izraelskiej?! W Ameryce można mieć kilka ojczyzn.

"Odważyłem się napisać "Dolorado" - pisze Redliński - bo jest w Nowym Jorku pewne miejsce i pewna sprawa, na której nikt - żaden amerykański historyk, socjolog, psycholog ani pisarz - nie zna się tak dobrze jak ja.

Co to za miejsce? Co to za sprawa? Moja głowa i to, co się w niej dzieło, kiedy zwalił się na nią Manhattan. Moje trzęsienie ziemi, trzęsienie głowy opisakem". Wszyscy autorzy po przybyciu do Ameryki dostają porażenia na widok sklepów. I intelektualista Jastrun, i "wakacjuszka"; nie ominęło to również Redlińskiego: "wszystkiego dużo razy za dużo. Jak magnetofony - to aż magnetofomania. Jak kawa - pół hektara szafek, półek z kawą. Jak chleby - to kwadrans wybierania i aż męka decydowania się... A tu szampon dla kotów, dla psów, och furda nasze sklepy... Sklepy bezmięsne. Magazyny antyhandlowe. Domy beztowarowe. Stacje bezbenzynowe. Jezu."

Michał całymi dniami pokera miasto i usiłuje dociec, dlaczego Polacy zgadzają się na niemal niewolniczą pracę i liczne upokorzenia. Zastanawia się, czy poniżyła nas Ameryka, czy też Polska Ludowa? Dlaczego wolimy być pariasami w USA niż Polakami w Polsce? W końcu Michał dochodzi do wniosku, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest fakt, że w Ameryce można żyć zachowując jasne reguły współżycia. W Polsce Ludowej jest inaczej: "... tysiące przepisów. Do przepisów przepisy. Nadpisy. Spisy. Wypisy. Podpisy. Zapisy. Labirynt. Nie wiadomo, co wolno, czego nie wolno - przestępca czujeć się nawet, gdy śpią. Wszzechokacność państwa. Chorobliwa wścibskość państwa... Polacy gran, głuźpacych niż jesteśmy. Mrugamy więc do siebie. Aluzjami gadamy."

Michał zastanawia się co robić, stacza ze sobą walkę wewnętrzną: zostać czy wracać? Perspektywa przyłączenia się do emigracji nie wydaje mu się interesująca. Michał Wieloistny postanawia wracać. Sentymentalny Wasiak bierze górę nad Świątówcem - Michał wraca. Każdy, kto na Zachodzie był i do Polski powrócił, wie jak smutne jest to przeżycie. Wszechtronny nacisk mass mediów, ten chór wypychający w epację, bezradność i beznadzieja, szarość ludzi i ulic, rozdrażniony tłum kolejkowy... I smartwienia: "... co, za ile, ile czekania, ile w łapę... Ile na kartce gatunku pierwszego... Czy smalec już bez kartek? O, cytryna! Jakim cudem? I ananas... w puszcze - skąd to? Z Pewexu?". Ucieczka w życie duchowe także okazuje się trudna: Michał nie przystaje ani do komunistów, ani do Kościoła - "albo fałsz czerwony albo fałsz purpurowy".

Podobnie sytuacja wygląda w rodzinnej wsi, w Taplarach. Słowem: wszędzie beznadzieja, parafianśczyzna, wiocha, wiocha, wiocha...

Reasumując należy stwierdzić, że prezentowane tutaj trzy książki to w zasadzie jedna książka tylko pisana przez trzy różne osoby /co w niczym nie umniejsza Autorom/.

Zamiast zakończenia. Gorąco zachęcam wszystkich Czytelników "Metrum" do

Tomasz Jastrun, "W złotej klatce", Oficyna Wydawnicza "Pokolenie", Warszawa 1988.
Zofia Mierzyńska, "Wakacjuszka", Z L Song Publishing Co., Chicago 1983-84
/2 części/.

Edward Redliński, "Dolorado", Contemporary Int'l., Chicago 1984 oraz NOWA, Warszawa 1985.

Marian Zubek

PODKOPYWANIE PALMY PIERSZSZEYSTWA

Piszący o pisaniu innych dzielą się na kilka kategorii. Jedną z nich jest kategoria "dowalaczy" /dowalić dla samej radości dowalenia/, drugą - kategoria "nieodblokowanych" /dowalić za to, że ktoś w ogóle pisze/, trzecia kategoria to wieczni malkontenci, którzy nic się nie podoba i wszystko i wszystkich ustawicznie krytykują, wynajdując z podziwu godną zręcznością zawsze jakieś "ale", które chyli szalę na nie dobrą stronę. Wymienione kategorie są kategoriami radykalnymi, wszakże istnieją jeszcze inne. /przykładem kategoria pt. Stefan Treugutt, któremu właściwie wszystko się podoba/, ale do tych pozostałych ja się nie zaliczam, wobec czego pomijam. Zaliczam się natomiast skwapliwie do kategorii radykalnych wymienionych wyżej. Do wszystkich wraz. Chętnie wobec tego sięgnąłem po narzędzie pracy, by podzielić się z Państwem kilkoma "dokopami" dotyczącymi naszego siedleckiego rynku wydawniczego reprezentowanego przez Wydawnictwo in. Grzegorza Przemyska, SODK "Linca" przy WSR-P /Grupa Artystyczno-Literacka FEDERACJA/ i wydawnictwa na prawach rękopisu.

Dokopywanie, wbrew pozorom, to zajęcie bardzo trudne. Przyzwyczaiłem się bowiem oceniać już w trakcie czytania i to wychodzi mi najprawniej. "E, bez sensu" - to jest tekst mojej najbardziej wyczerpującej recenzji, którą udało mi się sformułować kilkakrotnie podczas lektury rzeczonych wydawnictw. Ale żeby teraz wymyślić kilkanaście argumentujących zdań to jest doprawdy robota mordercza. Bo, jak przystało na radykała, moje poglądy na tzw. poezję są również radykalne, tj.: albo coś powala natychmiast i bez dyskusji, albo coś powala, ale nie wiadomo dokładnie, dlaczego powala i trzeba się wysilić, żeby struna wrażliwości zdrząła, albo też coś nie powala, choć powinno powalić, wreszcie - coś nie powala bez dyskusji.

Dlaczego poezja Stanisława Jastrzębskiego, Edwarda Kopówki, Karola Izdebskiego, Wiesława Maliszewskiego, Witolda Bobryka i Jarosława Sokołowa mnie nie powaliła? Bo to jest poezja, której brak autora, poezja pozbawiona indywidualności. Poezja, która niczego nowego nie odkrywa tak w światopoglądzie, jak w metaforyce. /O! Metafory tych panów! Można im poświęcić osobny rozdział./

Po lekturze tych toników dowiedziałem się, że penowie ci na pewno gdzieś się uczyli - jest tam miejsce odniesień tzw. kulturowych /np. wątki biblijne/, że mają wielu przyjaciców i duchowych przywódców, którym poświęcają co drugi wiersz, w końcu - że nie mają tak do końca pojęcia o pisaniu wierszy. Bo na czym polega jakkolwiek sztuka? Myślę, że na szukaniu odpowiedniej formy dla wyrażenia, przekazania doznania; formy możliwie najbardziej własnej. A tego warunku, przecież elementarnego, nie spełnia żaden z wymienionych tu poetów. Używają metaforyki cudzej, wymyślonej przez rzesze poetów albo tworzą obrazy, które są niespójne i przez to zaciemniające. Przykład: "Zgraja drzew opadła

mnie łaskawie". Słowa "zgraja" i "opadła" są nacechowane ujawnie, sugerują niepokojący impet - a "łaskawość" ten impet rozbiła i bełta wszystko. Zresztą, żebrany jest też sam autor, któremu "włosy skracają się ze śmiechu"...

Wiersze są bardzo nieprecyzyjne, nieklarowne. Ujawniają nieumiejętność autorów, ujawniają także ich brak świadomości twórczej. To ogromne poczucie "ból świata", które i mnie także czasami przepełnia, mimo że nie jestem poetą, nie jest warunkiem bycia nim. Trzeba wiedzieć jeszcze, jak to się robi.

Zastanawiam się, czy potrafiłbym określić w jakiś sposób odrębność i specyfikę każdego z nich. Przykro mi - nie. Zdarzący okładki i sięgnąwszy po pierwszy lepszy tomik, czytam kilka wierszy. Czyje są? Równie dobrze mogą być i Maliszewskiego, i Jastrzębskiego, Kopówki i Sokołowa... "szyscy piszą tak samo. Może Sokołów jest w jakiś sposób wyraziście, bo używa barokowej retoryki, nie służącej zupełnie niczemu, nadymającej nieprawdopodobne balony absurdu. Oto oni - pokrzywdzeni pielgrzymi, usadzeni w "dołkach" bojownicy, pogniewani na świat idealistów, którzy nie chcą dojrzeć i ciągle nazywają świat przez ZAWSZE i NIGDY.

Na osobny akapit zasługują notki o autorach, których maniera nie jest jednak winą naszych panów. To się urodziło w Polsce chyba dzięki Stachurze, zostało wzmocnione przez Himilbacha i kilku innych. Czyli - określanie siebie dziesiątkami dziwacznych zawodów, im dziwniejszych, tym lepszych. I lepszych, jeśli jest to niebanalna praca fizyczna. W tej konkurencji zwycięża zdecydowanie pan Kopówka: "Pracował jako młodszy archiwista, malarz-konserwator, strażnik urzędów wodno-melioracyjnych /popularna nazwa "obserwator rowów"/, poze tym miał się różnych prac dorywczych. Przez pewien czas przebywał w zaciszu klasztornym. Chciał zostać pielęgniarzem i podjął naukę w Medycznym Studium Zawodowym. Zrezygnował ze względu na dość specyficzne warunki psunące w służbie zdrowia". Konic cytatu. Na Bogal Podobnie pan Jastrzębski. A potem wszyscy grzecznie leżą na siedleckiej uczelni.

Następną konkurencją może być wyścig na okładki, bo tymi zdecydowanie się różnią. Prymat w tej dziedzinie /i tu bez żartów/ należy się Wiesławowi Maliszewskiemu, bo okładka jego tomiku pozabawiona jest szczególnie bohemsu. Ostatnie miejsce zajmuje książeczka pana Bobryka, której okładkę wprowadza w poetycki świat autora przez dno przewróconego kalamarza, wypływającego krzywe literki.

Sumując obie konkurencje - faworyt się nie wyłania, wobec czego nie przyznaję palmy pierwszeństwa żadnemu z autorów, żeby nie powiększać istniejących już animozji w siedleckim środowisku twórczym.

Naprowadzony przez młodych twórców na biblijny trop, przypomnę na zakończenie cytując z Objawienia św. Jana /3, 16/:

"Znam uczynki twoje, żeś ani zimny, ani gorący: obyś był zimny albo gorący. A tak, żeś letni, nie gorący ani zimny, wykluję cię z ust moich". Przykro mi, to nie ja powiedziałem.

Marian Zubek

P.S. Nierozumnie Frontu Artystycznego SIEDLICE pt. "Kamunaja" nie został przecze-
nie poruszony, bo szkoda na "wirygii i koty" i Państwa.

- Witold Bobryk, "Próba Słowa", Wydawnictwo im. Grzegorza Przewyżki, Siedlce 1988.
- Leszek Karol Izdebski, "Wierszyki", SODK "Lines", WSR-P Siedlce 1986.
- Stanisław Jastrzębski, "Tyko róża...", Wydawnictwo Grzegorza Przewyżki, Siedlce 1986.
- Edward Kopówka, "Memento mori", Wydawnictwo im. Grzegorza Przewyżki, Siedlce 1986.
- Edward Kopówka, "Wędrowniki neofity", Wydawnictwo im. Grzegorza Przewyżki, Siedlce 1988.
- Wiesław Maliszewski, "Nawet", /wydanie na prawach rękopisu/, Siedlce 1986.
- Jarosław Sokołów, "Siadaj na twardej krześle!", SODK "Lines", WSR-P Siedlce 1986.



Rys. Mirosław Andrzejewski

ZABIĆ PISARZA

W ostatnich miesiącach cywilizowanym światem wstrząsnęła sprawa Salmana Rushdiego, którego książka "Szatańskie wersety" spowodowała poważny kryzys polityczny. Doszło nawet do odwoływania ambasadorów. Wbrew obawom świat zachodni nie ugiął się przed pogrózkami zwariowanego ajatollacha i nie przehandlował sprawy za petrodolary jak to już nieraz miało miejsce. Po początkowym strachu spowodowanym szokiem po wyroku i groźbami wobec wszystkich tych, którzy pomagają w rozpowszechnianiu "błędziństw", kiedy to wydawcy zaczęli się wycofywać z zawartych wcześniej umów, a księgarze odmawiali jej sprzedaży, nastąpiła zdecydowana akcja pisarzy, intelektualistów i polityków. Sytuacja powróciła do normy tzn. świat nie uległ presji szalonego starca.

Jak twierdzi wielu komentatorów Chomeinemu nie chodziło wcale o książkę, lecz o wywołanie oburzenia irańczyków, którzy jakby tracili swój entuzjazm dla "rewolucji islamskiej". Wcześniej Chomeini w podobny sposób wykorzystał sprawę nieudanego odbicia przez komandosów amerykańskich zakładników, inwazję iracką czy też wydarzenia w Meksce. Ten "akt międzynarodowego terrorku przeciwko myśli ludzkiej" - jak to precyzyjnie określiła Susan Sontag - był obliczony także na wykreowanie siebie na przywódcę świata islamskiego, co się nie udało, gdyż inni przywódcy muzułmańscy, aczkolwiek potępili książkę, nie przyłączyli się do wezwania zabicia Rushdiego. Jak się zdaje Chomeini chciał upiec przy tej okazji także trzecią pieczęć: od dłuższego czasu w łonie najwyższych władz Iranu rośnie opozycja wobec poczynań szaleńca. Przyływ fundamentalizmu islamskiego miał być ciosem przeciwko Rafeandżanemu i innym zwolennikom bardziej liberalnego kursu. Fundamentalizm islamskiego nie należy nie doceniać. Należy pamiętać, że na świecie żyje aktualnie 900 mln muzułmanów. Można śmiać się z Chomeiniego i z jego kolejnych wymysłów, nie można zapomnieć jednak, że z Hitlera i Lenina także na początku sobie drwiono.

Rzekomą przyczyną ogromnego wzburzenia ajatollacha jest liczący 30 stron rozdział z tej 500 stronicowej książki zatytułowany "Mahound" /tj. Machomet/. Jednemu z bohaterów książki śni się, że jest archaniołem Gabrielem, który przeka-

zuje Prorokowi słowo Boże. W tej fantazji senniej arcanioł Gabriel może także przypominać diabła, który ma podziękować w głowie Nachoseta. To wszystko. "Satanic Verses" to szeroko zakrojone i wysmakowane opowieść - piasek na lenkach "Observateur" Bernard Genies - w której Rushdie porusza swe ulubione tematy, jak imigracja, relacje między Wschodem a Zachodem, sprawy moralne i stygmaty. Wszystko to przyprawione sporą dawką pikanterii filozoficznych. Wszystko, króci neologizmów, nie stroni od cynizmu, ale nigdy nie popada w siofiflowość.

Salman Rushdie urodził się w 1947 roku w Bombaju. Mając 16 lat wyemigrował do Anglii, gdzie ukończył studia. Nie załamął się po pierwszej nieudanej książce. W roku 1981 za książkę "Midnight Children" /Poleci północnej godziny, otrzymał prestiżową nagrodę Booker Price /odpowiednik francuskich Goncourtów/. W 1983 roku ukazała się książka "Shame" /Hańba/, która spotkała się znowu z splemiem krytyki i znowu o mały włos /zabrakło 1 głosu/ strzymała by Booker Price. Przed wydaniem firma Penguin zakupiła prawa do książki "Szatańskie wersety" za chwałką szukę 850 tys. dolarów. Tuż po wydaniu książki trafiła na angielską listę bestsellerów. Bomba wybuchła dopiero później...

Prasa polska początkowo zachowywała się wobec tej sprawy przyswoicie. Dopiero na początku marca pojawił się tzw. "zapis cenzorski" na tę sprawę. Redakcje, które wcześniej miały przygotowane materiały na ten temat /m.in. fragmenty "Szatańskich wersetów"/ musiały je wycofać. Wolno podawać informacje tylko za PAP-em. Uważnym czytelnikom gazet natomiast nie ujdą fakt, że do Polski przybył tankowiec z irańską ropą.

Przeciwko "wyrzuci" zaprotastował polski PEN-Club, a także na Łódzkiej placy zachodniej Adam Michnik.

/cz/

GDZIE SPOCZYWAJĄ PROCHY WITKACEGO?

Kilka pism /m.in. Tygodnik Powszechny/ oskarżyło władze, że spowodowane z szumem do kraju prochy Stanisława Ignacego Witkiewicza są w istocie prochami innej osoby. Min. Krawczuk postanowił odpowiedzieć na te zarzuty w kabaretowym tonie na łamach "Polityki" /nr 9/88/. Po prostu: przewarzył jedno oko i zaczął naigrawać się z adwokatami jako naiwniaków, tak jakby zupełnie nie miał znaczenia kogo pochowano w Zakopanem. Na początku żartobliwym tonem zasugerował, że Witkacego w ogóle nie powinno się pochować na katolickim cmentarzu, bowiem wiara katolicka nie zezwala na to samobójcom, potem zaczął przekonywać się ze swoimi znajomymi, następnie nazwał się "delikatnym ministrem" by oświadczyć, że "sprawa ma niewiarygodnie witkacowską aurę". Coś w rodzaju "dowcipu Witkacego", bo uroczystości takie mają "symboliczny charakter". Ujawnił także, że strona polska otrzymała zwłoki w zalutowanej trumnie i zasugerował, że władze nie zamierzają nic w tej sprawie robić /"grzebalna awantura"/ ze względu na utrzymanie dobrych stosunków z władzami Ukrainskiej SRR. Pozostawiamy te fakty bez komentarzy.

/jff/

NAGRODY

Austriacka Nagroda państwowa w dziedzinie literatury europejskiej za rok 1988 otrzymał Andrzej Szczypiorski. Nagroda wynosi 200 tys. szylingów austriackich. Przynależność do tej od 1988 roku. Jej uhonorowanego laureata była m.in. Wacław Havel. Właścicielami Nagrody byli: Sławomir, Bogdan Konecny, Edlaard Duerrsmatt.

x x x

NAGRODY KULTURALNE "SOLIDARNOSCI"

"Związek Kultury i Sztuki" przyznał książkę Nagrodę Solidarności laureatami za rok 1988 zostali:
- redakcja "Almanachu Wamnisjanskiego",
- redakcja Biblioteki Wierzyńska Politycznego "Wędrzyn" za wydanie książki "Marian R. Poppera "Społeczeństwo strachu i jego wrogowie",
- Marian Brandys za książkę "Generał Artur",
- Kazimierz Dąbrowski za książkę "2200 lat temu, dzisiaj polskimi".

- Michał Grynberg za opracowanie książki "Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i rejestry".
- Andrzej Jagodziński za książkę "Barcel. Rozmowy z czeskimi pisarzami emigracyjnymi".
- Jerzy Jarocki za inscenizację sztuki Sławomira Mrożka "Portret" w krakowskim Teatrze Starym.
- Marcel Łoziński za film "Świadkowie".
- Halina Mikołajska za monodram "Śmierć Cwiatajowej" oparty na esejach Anny Bojarskiej.
- Wojciech Młynarski i Jerzy Derfel za recital "Róbmy swoje" /wersja 1988/.
- Grzegorz Moryciński za wystawę malarstwa w warszawskim Teatrze Powszechnym.
- Kazimierz Orłoś za książkę "Cudowna melina. Historia cudownej meliny".
- Jacek Petrycki za film "A może o tym nie wolno mówić?".
- redakcja studenckiego miesięcznika mówionego "Przełom" z Krakowa.
- Andrzej Roman z zespołem za książkę "Komedianci. Rzecz o bojkocie".
- Jerzy Ryba za prowadzenie galerii sztuki "Na Ostrowie" we Wrocławiu.
- Marian Terlecki za dokumentację video ze strajków gdańskich.
- Mieczysław Tomaszewski za twórcze inicjatywy edytorskie i muzykologiczne.
- Mirosław Wujas z zespołem za prowadzenie Przeglądu Kabaretów Amatorskich "PAKA".
- Barbara Zurek za twórczość rzeźbiarską.

x x x

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznać swe roczne nagrody za działalność w sferze kultury i sztuki za rok 1988. Lauretami zostali:

Piotr Bikont, Leszek Dziurawicz i Marian Terlecki za filmy video o majowym i sierpniowym strajku w Stoczni Gdańskiej.
Piotr Szczepaniak za to, że śpiewał polskim robotnikom, kiedy tego najbardziej potrzebowali.

x x x

Nagrodę Andrzeja Wajdy dla autora najciekawszych wydarzeń artystycznych roku otrzymał twórca "Pomarańczowej Alternatywy", Waldemar "Major" Fydrych. Jest to kamera video, która umożliwi "PA" rejestrację swoich działań.

x x x

Nagrodę Jiri Lederera otrzymał twórca "Solidarności" Polsko-Czechosłowackiej, Mirosław Jasieński. Nagrodę przyznają redakcje "Zeszytów Literackich" i "Świadek". Jiri Lederer był wybitnym dziennikarzem i wielkim polonofilem. Zmarł w 1983 roku.

x x x

Nagrodę za najlepszą książkę wspomnieniową, ufundowaną przez Marię Ginter otrzymali: Adam Bień za książkę "Bóg jest wyżej, dom jest dalej" /Wydawnictwo Przedświt/ i Józef Kuropińska za książkę "Nieprzewidziana przygoda" /Wydawnictwo Literackie/. Nagrody wynoszą po 150 tys. zł. Oceniało jury w składzie: Tadeusz Drewnowski, Michał Radgowski i Wacław Sądowski.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy!

LITERATURA POLSKA NA ŚWIECIE

Andrzej Szczypiorski - książka "Msza za miasto Armas" na targach Frankfurckich zajęła czwarte miejsce /pośród 368 tys. zgłoszonych tytułów/. W 1987 roku wydawnictwo "Diogenes" w Zurychu odkupiło światowe prawa tej książki. Już w kilka tygodni po wydaniu sprzedano 40 tys. egzemplarzy. W przygotowaniu tłumaczenia w USA, Szwecji, Hiszpanii, Japonii i Wielkiej Brytanii. Książki "Z notatnika stanu wojennego" i "Z notatnika stanu rzeczy" w jednym tomie również mają

się okazać w przekładzie angielskim, francuskim i niemieckim. Powieść "Początek" święci triumfy w RFN /niemiecki tytuł "Die Schöne Frau Seindenman" tj. "Piękna Pani Seindenman"/. Sprzedano już 120 tys. egzemplarzy i książka od wielu tygodni znajduje się na pierwszym miejscu listy bestsellerów rozgłośni "Suedwestfunk" /w pierwszej dziesiątce znajduje się też "Msza za miasto Arras"/. Powieść wyszła już po francusku i wózku a wkrótce wyjdą wydania: brytyjskie, hiszpańskie, duńskie, amerykańskie, norweskie, szwedzkie, portugalskie, katalońskie, greckie i japońskie.

Gratulujemy!

Witold Gombrowicz - wydane w RFN "Dzienniki" znajdowały się w listopadzie na pierwszym miejscu listy bestsellerów rozgłośni Suedwestfunk wystansowane potem przez "Początek"/. Powieść "Opętani" drukuje w odlinkach Frankfurter Allgemeine Zeitung.

Marian Brandys - w RFN ukazały się "Wariacje pocztowe" zyskując na ogół bardzo dobre recenzje.

W SKRÓCIE: Sześć opowiadań Sławomira Mročka po raz pierwszy wydrukowano w Czechosłowacji w piśmie "Svetova Literatura" +++ Rzymskie wydawnictwo OZZDA wydało powieść Juliana Strykowski "Tomaso del Cavaliere" +++ W Jugosławii ukazał się wybór wierszy Zbigniewa Herberta pt. "Gaspodin Cogito" /łącznie z utworami z "Raportu z obłąkanego miasta"/ +++ "Świat opery żebreczej" Bronisława Geremka wydało mediolańskie wydawnictwo MONDADORI +++ W Kanadzie ukazała się książka Bogdana Czaykowskiego "Polish Writing in Canada", która stanowi krótki przegląd polskiej twórczości w Kanadzie.

Nie popadajmy jednak w smacowielbienie, nasza literatura na zachodnim rynku wydawniczo-czytelniczym nie cieszy się aż tak dużym wzięciem.

CZY BĘDZIE PROCES?

Finansowo czas obecny jest trudny dla wszystkich. Jak nie wplajtować, mając do zaoferowania odbiorcom tylko chłam i tandetę? Dylemat ten nurtuje wielu, ale redaktorów pism w pierwszym rzędzie. Przecież oni z dnia na dzień się nie zmieniają, nie zaczynają raptem pisać tekstów wspaniałych i spokojnie nośnych, gdy przez całe dziesięciolecie podpierali swoim bełkotem donosy "Trybuny Ludu" i "Żołnierza Wolności". Dlatego kwitnie dziś piractwo wydawnicze. Kupić ludzi fragmentem tego, co chcą czytać, a całej reszaty zbyt wiele zmieniać nie ma potrzeby - oto najnowsza recepta na czytelniczy sukces.

W tym piractwie prym wiodzie nie kto inny jak sam Władysław Machejek. /Niegdyś w Galicji mawiano: Krekus jak młody, to jeszcze ujdzie, ale jak stary - to już tylko świnia./ Ostatnio w swoim prywatnym organie "Życie Literackie" rozpoczął druk "w kręgu pierwszemu" Sołżenicyna, nie mając na to, rzecz jasna, zgody posiadającej prawa autorskie i całej "Polity". Tym razem Jerzy Giedroyc nie wytrzymał i wystosował do Machejki ostrą listę protestacyjną, w którym czytamy m.in.:

"Nie mamy wiele do dodania do naszej depechy, w której się zgodziliśmy się na druk "w kręgu pierwszemu" w tłumaczeniu Michała Kaniłowskiego w "Życiu Literackim". Zresztą przedstawił Sołżenicyn zażądał przerwania druku tej książki, a Pomianowski nie zgodził się na wykorzystanie jego tłumaczenia.

Nie jest to pierwsze ze strony Pana naruszenie naszych praw autorskich. Drukował Pan "Doktora Żywago" Pasternaka nie pytając nas o pozwolenie i wykorzystując tłumaczenie Pawła Mostowca /Jerzego Stempowskiego/ maskując to dwoma nieznanymi nazwiskami nieznanymi tłumaczy.

Innym naruszeniem naszych praw był druk książki Stanisława Wygodzkiego pt. "Zatrzymano do wyjaśnienia" fałszywie informując, że Wygodzki zostawił w redakcji "Życia" przed laty swój manuskrypt. Listu St. Wygodzkiego, który temu zaprzeczał, nie uważał Pan za właściwe zamieścić. Tak samo nie zamieścił Pan, że książka już dawno ukazała się w Bibliotece "Kultury".

Wreszcie przedrukował Pan Marka Hłaski "Piękni dwudziestoletni", mimo że prawa autorskie należały do nas i że ta książka niedawno została wznowiona. Nie mamy zamiaru godzić się na takie pirackie metody i będziemy występować na drogę sądową. /.../

Machejek kaja się, płacze, udaje, że o niczym nie wiedział, że drukuje,

bo tego chcą czytelnicy. Ale mimo protestu Jerzego Giedroyc'a, druku Solżenicyna nie wstrzymał. Chyba więc proces będzie konieczny.

KILKA SMUTNYCH LICZB O KSIĄŻCE

W ub.r. produkcja książek spadła o 11 mln egzemplarzy. Wzrosły natomiast zapasy w Składnicy Księgarskiej z 18 do 26 mld zł. O 72% w stosunku do ub.r. wzrosły ceny. Ministerstwo Kultury i Sztuki otrzymało w tym roku o 15,5 tys. ton papieru mniej, a na modernizację przemysłu poligraficznego nie przeznaczono nic, ani jednego dolara /gdyż ten przemysł korzysta z importowanych urządzeń i surowców/. Wg danych Komitetu Społ.-Polit. RM wskaźnik zużycia papieru na głowę 1 mieszkańca wynosi w Polsce 35 kg /dla porównania: NRD - 81 kg, CSRS - 75 kg/. 10 lat temu na jednego mieszkańca naszego kraju przypadało 100 egzemplarzy prasy rocznie, obecnie 85. W krajach rozwiniętych produkuje się 30 kg papieru gazetowego na mieszkańca rocznie, w innych krajach socjalistycznych - ok. 4 kg, w Polsce niespełna 3 kg. Pod względem liczby czasopism i gazet przypadających na 1 mieszkańca zajmujemy 50 miejsce na świecie.

/NAI/

PRAWIE KLASYCY

Kto w roku ubiegłym zachodził do księgarń, ten bez trudu spostrzegł, jakim powodzeniem u wydawców cieszy się złotousty minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk. Jednocześnie na ladzie leżały 3-4 jego książki.

Przeglądając plany wydawnicze na rok 1989 zobaczyłem, że królują w nim dwa nazwiska. Zbigniewa Nienackiego powitamy przynajmniej cztery razy, w tym tylko raz przy okazji książki nowej, w pozostałych przypadkach będą to wznowienia /6-te wydanie "Księgi strachów", 4-te "Niesamowitego dworu" i drugie "Skarbu Atanaryka"/. To jeszcze daje się jakoś wytłumaczyć - Nienacki chodzi znakomicie. Wysokie nakłady jego książek to spory zysk dla wydawców. Każdy ratuje się jak może. Od kiedy dowiedziałem się, że niebawem otrzymamy "Trędowną" w nakładzie półmilionowym, nie dziwię się już niczemu.

Ale Krawczuk zdecydowanie góruje nad Nienackim. W tym roku planowane jest wydanie co najmniej sześciu jego książek /same n-te wydania/. Sprytny ministerek opanował już nie tylko firmy renomowane /Wydawnictwo Literackie czy Ossolineum/, teraz szturmuje "Iskry", "Wiedzę Powszechną", a nawet "Sport i Turystykę". Kto chciałby nabyć książki najlepszego naszego znawcy antyku Tadeusza Zielińskiego, ten ich nie znajdzie. Lepszy, jak to widać z planów, jest Krawczuk i jego będzie w nadmiarze.

Słusznie, panie ministrze, tak trzymać. U nas nikt nie potrafi przewidzieć, ile jeszcze posiedzi na wysokim stołku. Skoro więc jest okazja dorwania się do dużej kasy, trzeba z niej korzystać. Ale bżagam: tylko bez kreowania się na klasyka, niechaj to pozostanie tym, czym jest - małym, brudnym interesem.

/PE/

KONKURS im. TOMASZA PETRLIVEGO

"Solidarność" Polsko-Czechosłowacka ogłasza konkurs na esej poświęcony stosunkom polsko-czechosłowackim w latach 1918-1988, ze szczególnym uwzględnieniem spraw I okresów trudnych: 1918-1938, 1945-1946 i 1968. Objętość prac nieograniczona.

Tomasz Petřilivý był gorącym zwolennikiem współpracy polsko-czechosłowackiej, należał do organizatorów zlynnego spotkania Karty 77 i KORu pod Śnieżką, działał w czechosłowackiej opozycji antytotalarnej. 22 maja 1986 znaleziono go martwego w jego bratysławskim mieszkaniu.

Nagrody: I - 300 tys. zł lub 4 tys. koron; II - 200 tys. zł lub 2 tys. koron; III - 100 tys. zł lub 1 tys. koron.

Prace w 3 egzemplarzach opatrzone godłem można wysyłać m.in. na adresy:

Jarosław Broda; Wrocław, ul. Buska 8 m 13 lub Mirosław Jasiński, Wrocław, ul. Kozanowska 73 m 11.

Zamknięcie konkursu nastąpi 31 sierpnia 1989 roku.

W DRUGIM OBIEGU

Zmienił się w br. skład Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych w miejsce wydawnictw Krąg i WSKOS weszły Myśl, Pokolenie i PoMost. Przypominamy, że oprócz nowych członków w Konsorcjum zasiadają następujące wydawnictwa: CDN, IW "Aspekt", NOWa, Oficyna Literacka, Przedświt i Wola. Tymczasem sprawująca kontrolę nad Konsorcjum Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych ujawniła czterech swoich członków. Są to Andrzej Drawicz, Kazimierz Dziewanowski, Zofia Kuratowska i Wiktor Kulerski. Delegacja SRWN i Grzegorz Boguta /szef NOWej/ przekazali 15.XII. ub.r. Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego 300 książek stanowiących roczną produkcję ok. 20 oficyn wydawniczych dyrektorze BUW-u.

W serii "Archiwum Solidarności" Oficyna Literacka wydała niemal benedyktyńską pracę Józefa Gajewskiego "Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury, 1962-1986". Rejestr, zapewne niekompletny, obejmuje łącznie 2349 pozycji. W pierwszym okresie stanu wojennego wydawnictwa opublikowały 295 książek a rok później już 616. Wydanie tej książki jest poważnym wydarzeniem edytorskim i jest bardzo znaczące zarówno dla naukowców, jak publicystów i redaktorów.

FUNDACJE...

Fundusz Inicjatyw Prasowych "S" powołała KKW przeznaczając na to niezbędne środki. Celem Funduszu jest wspieranie inicjatyw na rzecz rozwoju prasy wydawanej przez NSZZ "S" i związane z nim organizacje i środowiska. Zainteresowanym podajemy adresy członków Rady Funduszu z Warszawy: Wojciech Adamiecki, W-wa, ul. Capri 4/9, tel. 42 08 85; Jarosław Szczepański, W-wa, Al. Jerozolimskie 121/123, tel. 21 56 12.

Rozpoczęła działalność Fundacja im. Stefana Batorego, której założycielem jest George Soros, amerykański finansista pochodzenia węgierskiego. Jej celem jest sponsorowanie nauki, oświaty, kultury i życia społecznego w Polsce. Obszerną informację o możliwościach korzystania ze świadczeń Fundacji zawiera wydanie Serwisu Informacyjnego Społecznego Komitetu Nauki z 15 stycznia br.

MACHEJEK RONI ŁŻĘ

Zmarł Józef Cyrankiewicz. Z tej smutnej /bo majestat śmierci uszanować należy/ okazji redaktor naczelny krakowskiego "Życia Literackiego", Władysław Machejek pomieścił w swojej rubryce "Z mojego obserwatorium" /tytuł ten nie bez racji wielu przekreśla na "Z mojego obserwatorium"/ następujący fragment:

"W tramwajach i w kolejkach ludzie serdecznie, przyciszonym głosem wymawiają imię wielkiego Polaka, "naszego premiera", Józefa Cyrankiewicza, który szczerze pasował do atmosfery pierwszej stolicy Polski - grodu podwawelskiego."

Szczerze to on pasował, ale nie do atmosfery Krakowa, tylko do mentalności Machejka i ludzi jemu podobnych. Niech więc pan redaktor naczelny swojego rozrzewnienia i łez /cóż za styl!/ nie wmawia Bogu ducha winnym krakowianom. Niech lepiej przynajmniej raz w swoim życiu posłucha, o czym oni tak naprawdę rozmawiają i szepczą. Pomyśl jest z gwarancją - będzie okrzyk "eureka!"

WIADOMOSCI POWIATOWE

ODRODZENIE SIEDLECKIEJ "SOLIDARNOSCI"

Już po sierpniowych strajkach 1988 r. wiadomo było, że trzeba coś zrobić. Punkt wyjścia był w Siedlcach ani gorszy ani lepszy niż w wielu innych rejonach kraju. Od wiosny 1983 r. działała pod tradycyjną nazwą Oddziałowej Komisji Wykonawczej NSZZ "S" w Siedlcach grupa ludzi starająca się zapewnić ciągłość Związku w konspiracji. Jej skład zmieniał się, ludzie przychodzili i odchodzili, ale działacze sprzed stanu wojennego /Biały, Musiej, Zajączkowski/ zapewniali jej ciągłość i legitymizację. W 1988 r. OKW zajmowała się już tylko kolportażem i organizacją demonstracji, raczej symbolicznych, przed pomnikiem Kościuszki. Oprócz tego działało Radio "S" jako instytucja na poły autonomiczna. Znaczną też autonomią cieszyła się "Gazeta Podlaska", formalnie organ OKW w Siedlcach, a później również OKW Biała Podlaska. Natomiast podstawową słabością pracy OKW był całkowity niemal zanik jej łączności z zakładami pracy. Od 1985 r. praktycznie ustała działalność Tajnych Komisji Zakładowych w siedleckich zakładach. Najdłużej przetrwały zresztą ognia "S" w "Mostostalu" i niektórych oddziałach węzła siedleckiego PKP, w tych ostatnich przynajmniej prasę "S" rozprowadzano nieprzerwanie przez cały czas. Wiadomo jednak, że związek zawodowy bez organizacji w zakładach traci swą tożsamość, grozi mu przekształcenie w zwykłą partię polityczną.

Przełomowym momentem w organizacji od nowa "S" w Siedlcach było zebranie, zwołane przez OKW w gościnie udostępnionym lokalu KIK-u przy ul. Kościuszki 10. Przybyło, zwołanych "pocztą pantoflową", około 20 osób, ale byli to przedstawiciele największych zakładów /m.in. "Mostostal", "Stalchemak"/, no i było to pierwsze półjawne zebranie siedleckiej "S" od stanu wojennego. Sam fakt, że jego uczestników nie spotkały żadne represje miał duże znaczenie psychologiczne.

Następne spotkanie miało miejsce 5 listopada 88, przybył na nie z Warszawy prof. Tadeusz Kłopotowski, utrzymujący łączność OKW z regionem "Mazowsze". 19 listopada natomiast przyjechał do Siedlec Zbyszak Bujak, przewodniczący regionu "Mazowsze". Ludzie bardziej poczuli, że są częścią wielkiej, ogólnokrajowej organizacji.

Następne spotkanie z Bujakiem odbyło się 28 listopada i, pomimo braku szerszej akcji propagandowej, przybyło na nie ponad 50 osób, a niektórzy musieli odejść z powodu braku miejsca na sali.

Ale prawdziwym przełomem w odradzaniu "S" w Siedlcach było powstanie pierwszej, jawnej organizacji zakładowej w "Mostostalu". Nastąpiło to w połowie listopada 88, najbardziej przy organizacji napracowali się Janusz Niedziółka i Karol Chajewski. Reakcją władz był nerwowo najazd kilku grup esbeków na "Mostostal" i wezwanie działaczy "S" do prokuratury, na które nie zareagowali. Po złożeniu wniosku w sądzie i to ucichło.

11 grudnia 88 powstał komitet organizacyjny "S" w "Stalchemaku", a w styczniu następny, w PKP, gdzie zjednoczyły się dwie powstałe niezależnie organizacje. 2 lutego br. zainicjowano tworzenie "S" w Podlaskiej Spółdzielni Inwalidów. Wzmocniona w ten sposób OKW wydała 10 lutego uchwałę o przejściu do jawnej działalności, a 17 lutego odwiedziła z własnej inicjatywy wojewodę siedleckiego, płk dr Janusza Kowalskiego, który przyjął do wiadomości fakt istnienia i działania "S" w mieście i województwie. Fakt ten był ostatnim ogniewem w procesie przechodzenia do oficjalnej działalności. Powstają też następne organizacje zakładowe, m.in. w "Karo", FSO, WSRP, "Merpolu" i SPBO. W zebraniach tymczasowego Zarządu Regionu Mazowsze uczestniczy sześciu członków z Siedlec. Obecnie "S" w Siedlcach działa już we wszystkich większych zakładach miasta, chociaż w żadnym nie przekroczyła jeszcze 50% zakłogi /inf. z 21.03.89/.

Największe organizacje zakładowe, liczące ponad 300 osób, to "Mostostal", PKP, "Karo" i FSO. Stosunek dyrekcji do "S" raczej wyczekujący, chociaż w kilku zakładach /PKP, PSI/ udostępniono tablice ogłoszeniowe i sale na zebrania. W mieście działa też w poniedziałki i czwartki w godz. 14,30 - 18,00 punkt

konsultacyjny OKW mieszczący się w starej dzwonnicy przy ul. Świercowskiego, obok kościoła św. Stanisława. W sumie zrobiono już sporo, chociaż główna praca siedleckiej "S" - dalsza organizacja związku, wybory, jeszcze przed nią...

x x x

Tekst otrzymany od członka OKW NSZZ "S" w Siedlcach.

KOMITET OBYWATELSKI "S" W SIEDLCACH

16 kwietnia br. przedstawiciele NSZZ "S", NSZZ RI "S", NZS, KIK i Diecezjalnego Komitetu Charytatywno-Społecznego utworzyli Wojewódzki Komitet Obywatelski. Przewodniczącym Komitetu został wybrany Janusz Wodzyński. Podczas zebrania ustalono, że z województwa siedleckiego kandydatami "S" na posłów będą: Wiesław Zajączkowski /prawnik/, Stanisław Dąbrowski /sędzia/, Krzysztof Szymański /rolnik/, a na senatorów osoby spoza województwa - prof. Tadeusz Kłopotowski i Gabriel Janowski.

NZS

8 marca br. na WSR-P w Siedlcach zawiązał się jako jeden z ostatnich w kraju 18-osobowy Komitet Organizacyjny NZS. Delegacja Komitetu udała się do rektora prof. doc. dr hab. Jana Trentowskiego, który przyjął przedstawicieli NZS herbatą. Rektor przyjął do wiadomości fakt istnienia NZS i zgodził się na umieszczenie tablic informacyjnych na wydziałach.

W TOWARZYSTWIE MIŁOŚNIKÓW PODLASIA

W ostatnim okresie TMP nieco osłabiło swoją aktywność /miejmy nadzieję, że gorsza kondycja jest przejściowa/. Ponadto zaczęło wchodzić we flirtiki z miejscowymi aparatczykami, co jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. Szczególnie żenujące było wystąpienie przewodniczącego ChSS w Siedlcach na współorganizowanej przez TMP wystawie z okazji rocznicy odzyskania niepodległości, gdzie z przesadną uległością i służalczością witał pronowskich kacyków, przedstawiciele wydziału kultury i sztuki UW etc. /część przybyłych w tym momencie opuściła salę/. Należy przypomnieć, że osobnicy ci jeszcze rok, dwa lata wstecz obchody tej rocznicy traktowali jako wystąpienia wręcz. Ich przyjaciele ze Służby Bezpieczeństwa ścigali tych, którzy obchodzili tę rocznicę "nielegalnie" pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki. Następnie TMP zaczęło organizować imprezy do spółki z ChSS /wystawa ikon Tamary Bołdak-Jankowskiej, wystawa Budreckiego, Nowaka i Żulińskiego/. Przypomnieć należy, że ChSS został powołany do życia przez komunistów dla rozbijania Kościoła i Episkopat nie uznaje za "katolickie" pism tej organizacji. Na szczęście /dla działaczy TMP/ w obecnej sytuacji politycznej droga ta nie jest aż tak niebezpieczna, choć nie zalecamy aby nią podążać.

x x x

W ostatnich dniach 1988 r. Radio Polonia /program PR na zagranicę/ wyemitowało audycję poświęconą społecznej akcji odbudowy kopca usypanego pod Siedlcami w 1936 r. na cześć Józefa Piłsudskiego. Pracom patronował Klub Tow. Miłośników Podlasia przy WLKS "Mostostal". Audycję nagrało i nadało ponownie w swoim programie Radio Wolna Europa. Redakcja PR odpowiedziała na to zawieszeniem w czynnościach reporterki Elżbiety Goławskiej, która audycję przygotowała. Władzom najbardziej nie podobało się zdanie kierownika Koła, J. Niedziółki, mówiące o tym, iż "kopiec uszanowali okupanci hitlerowscy, zniszczyła go zaś władza ludowa". Program uzyskał zgodę cenzury, p. Goławska musiano więc zatrudnić ponownie. Wkrótce nagrała ona kolejną audycję o TMP. Wywiad z prezesem P. Maksymlikiem i członkiem zarządu C. Welikiem nadano w lutym br. w II programie PR. Powiedziano

w nim o niebywałych w obecnych czasach odwilży kulturalnej i politycznej szykach, z jakimi spotyka się działalność Towarzystwa. Stwierdzono m.in., że "tamowanie propagowania najnowszej historii Polski czyni z Siedlec enklawę stalinizmu w skali całego kraju".

Audycję trafnie podsumował spiker: "Miejmy nadzieję, że 'jawność' dotrze wkrótce i do Siedlec".

Oto relacje z kilku imprez:

Koncert Państwa Kobylfińskich

Dnia 18.XI.1988 roku w siedleckim ratuszu miał miejsce koncert małżeństwa Iwony i Jerzego Kobylfińskich, zorganizowany przez Towarzystwo Miłośników Podlasia. Państwo Kobylfińscy na brak miłośników skarżyć się nie mogli - sala była pełna. Ten blisko godzinny występ przerywany był recytacjami Andrzeja Meżeryckiego, szefa Teatru ES.

Klimat wieczoru uległ w kilku miejscach pomarszczeniu - dobrze postawiony głos p. Meżeryckiego z wiaściwą mu bogoojczyźnianą tonacją nijak się nie miał do tego, co czytał i nijak się nie miał do nastroju, który p. Kobylfińska zdołała stworzyć swoim lepiej postawionym głosem. Publiczność jednak - i Bogu dzięki - nie dała się zwieść bylejakości przerywników i oddała Kobylfińskim, co należne. A były to - ogromnie skupienie, wzruszenie i duże podziękowanie za ten świat wrażliwości, w który, za sprawą poezji, została wprowadzona.

Ci młodzi ludzie zasługują na duże uznanie - dysponują bardzo dobrym warsztatem. Można im zarzucić, że nie bardzo jeszcze wiedzą, o czym chcą śpiewać. To, co przedstawili /Miłosz, Herbert, Nowak, Faber, Kulmowa/ jest, niestety, bardzo typowe dla wielu śpiewających. Te teksty po prostu bardzo dobrze śpiewają się same - i tym chyba zdeterminowany był ich wybór.

Iwona Kobylfińska na za sobą niewiele scen, w każdym razie na pewno takich, gdzie śpiewało się tylko poezję. Śpiewała kiedyś zupełnie inną muzykę - bluesa, rocka - i to niekiedy daje się ażeyszeć. Ta łatwość w interpretowaniu poszczególnych wierszy jest bardzo żłudna - kilkakrotnie Iwona Kobylfińska chybotaa się niebezpiecznie na granicy nierozumienia utworu - takie przynajmniej odnosilo się wrażenie.

Ale to przecież dopiero początek ich wspólnej drogi - i bardzo obiecujący.

/z/

Cezary Kaźmierczak o Izraelu

W listopadzie ub.r. Cezary Kaźmierczak wygłosił prelekcję pt. "Współczesny Izrael". Niekonwencjonalna forma - prelegent nie posługiwał się kartką - oraz przyrodzone poczucie humoru p. Kaźmierczaka sprowadziło do sali Archiwum Państwowego w Siedlcach dość liczną publiczność. Prelegent zaprezentował swoją dużą wiedzę na temat Izraela, zdobytą w czasie dwumiesięcznego pobytu w tym kraju oraz będącą wynikiem jego wcześniejszych zainteresowań. Dyskutowano na temat wewnętrznych problemów Izraela, konfliktu palestyńsko-izraelskiego, a także o chasydach i pejsachówce...

Wieczór autorski Iwony Pokory

W dniu 15 grudnia ub.r. w TWP odbył się wieczór autorski młodej poetki, mieszkanki naszego miasta, Iwony Pokory. Pokora w roku 1987 wydała tomik wierszy pt. "Dla ciebie otwarte drzwi", za który otrzymała nagrodę im. Kazimierza Iżłakowiczówny za najlepszy debiut poetycki roku. W ub.r. wygrała niezwykle prestiżowy konkurs "Dla twórców Podlaskich" organizowany przez studencki klub "Limes" i kogoś tam jeszcze. Jej wiersze publikowaliśmy w 5 numerze "Metrum".

Autorka czytała swoje najnowsze utwory, a następnie odpowiadała na w większości niezbyt mądre pytania, co w znacznej mierze uatwiło jej konfrontację z publicznością. Niektórym pytającym jakby zależało na tym, aby nie dopuścić, żeby autorka powiedziała coś mądrego. Z kuriozalną krytyką wierszy poetki wystąpił pewien gentelman, który twierdził, że wiersze poetki są "złe, bo niezrozumiałe dla ludu". Osobnik ten jest ponoć członkiem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

Nie miejsce tutaj na analizę wierszy Iwony Pokory, dość powiedzieć, że w większości poświęcone są problemom egzystencjalnym oraz potrzebie miłości w życiu człowieka.

Ogólnie spotkanie należy uznać za udane.

Wystawa x 3

TMP zaprosiło w styczniu do galerii im. Brata Alberta ChSS trzech malarzy, którzy przedstawili tam swoje prace. Są to: Andrzej Budrecki, Tomasz Nowak i Wojciech Żuliński - studenci kierunku pedagogicznego WSR-P w Siedlcach. Prezentacja obejmowała obrazy olejne, grafiki, rysunki kredką i ołówkiem. Każdy z autorów to inna osobowość twórcza, każdy posiada inną metodę obserwacji świata. Jednak ekspresjonistyczny Budrecki, taszystyczny Nowak, realistyczny Żuliński wcale tak bardzo od siebie się nie różnią. Żaden z nich nie przyswoił sobie umiejętności posługiwania się technikami artystycznymi w takim stopniu, żeby przekazywana treść była klarowna i jednoznaczna. Zbyt często prace te ocierają się o kicz, którego i bez działalności galerii im. Brata Alberta - mądzo.

/z/

x x x

Ponadto w TMP odbyła się wystawa ikony współczesnej i wieczór autorski Tamary Boidak-Janowskiej /13.12.88/, prelekcja prof. Jerzego Skowronka "Powstanie styczniowe na Podlasiu" /7.2.89/.

W video klubie TMP po feriach zimowych wyświetlono następujące filmy: "Dzwonek niedzielny" - rejestracja z comiesięcznych spotkań w podziemiach kościoła św. Jana w W-wie /17.02./, "Ostatni cesarz" Bernardo Bertoluccio /24.02. - przybyły istne tłumy/, filmy autorskie Andrzeja Titkova i "Pola śmierci" Romana Joefe /3.03./, "Wieczór z Jackiem Fedorowiczem" /10.03./, "Imperium słońca" S. Spilberga /17.03./.

/red. jf/

POMNIK PIŁSUDSKIEGO

10 marca br. powstał Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Józefa Piłsudskiego w Siedlcach przy Towarzystwie Miłośników Podlasia w Siedlcach /dalej SKOPJPwSpTMP wS - gratulujemy!/. Pomnik Marszałka stał w centrum miasta, a po wojnie został zniszczony przez komunistów. Celem SKOPJPwSpTMPwS jest restauracja pomnika, który odtworzyć ma ze zdjęcia Marian Gardziński. Obelisk ma liczyć 7 m wysokości. Pragnieniem SKOPJPwSpTMPwS jest, aby pomnik stanął przy ulicy Piłsudskiego /tymczasowo Świerczewskiego/. Szefem Komitetu jest Krzysztof Tchórzewski /tel. 43-370/. Podajemy numer konta, na które można wpłacać pieniądze: Bank Spółdzielczy w Siedlcach, Nr 371124-2903-132-3, Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika J. Piłsudskiego w Siedlcach przy Towarzystwie Miłośników Podlasia w Siedlcach.

NOWE PISMA

W styczniu br. ukazało się nowe pismo, które wydają studenci WSR-P pt. NOS /Niezależna Opinia Studentów/. Pierwszy numer nie przypadł nam do gustu - zażaliśmy się /ostre błędy ortograficzne!/. Numer drugi również nas zażamał, ale w drugą stronę: poziom znacznie wzrósł. Pismo to w odróżnieniu od np. rodzimej "Gazety Podlaskiej" nie zajmuje się rozstrzygnianiem problemów stosunków Wschód-Zachód, lecz problemami uczelni i studentów. Kolejne numery są utrzymane na tym samym poziomie. Gratulujemy!

Natomiast w listopadzie 88 Mirosław Andrzejewski w astronomicznym nakładzie 12 egzemplarzy wydał "Siedlecki Szept Łudu - Informator Lekko Satyryczny". Winiętka przypomina "Trybunę Łudu". Pismo jest "organem" Polskiej Organizacji Harcerskiej i wypełnione jest w całości tekstami i rysunkami /znakomitymi/ wydawcy. Również gratulujemy!

HAPPENING

Dotychczas Siedlce były jednym z niewielu miast, w których nie odbywały się happeningi - pierwszy miał miejsce 13 kwietnia. Grupa młodzieży określająca się jako Ruch Wywołania Zwierząt zebrała się pod "Jackiem", a następnie ruszyła z transparentami pod przybryły wówczas do Siedlec cyrk. Transparenty głosiły: "Człowiek też zwierzę", "Nie daj Boże cyrku ni ZOO". Milicjanci pytali, co się dzieje. Uczestnicy happeningu rozdawali ulotki w obronie zwierząt i apelowali o bojkot cyrku. W cyrku zamknięto wcześniej kasy.

SAME FAKTY

Podczas spotkania siedleckiej "S" 11 lutego br. w klubie KIK sprzedawano książki wydawnictwa Metrum. Jeden z księży zwrócił się do organizatora spotkania, że nie życzy sobie sprzedawania Metrum jako pisma lewicowego i antykościelnego w budynku należącym do kościoła. Tydzień później miało tam miejsce kolejne zebranie, a po jego zakończeniu pewien osobnik wyłożył do sprzedaży żydożercze wydawnictwa, głównie Unii Nowoczesnego Humanizmu. Gdy działacze "S" próbowali nie dopuścić do sprzedaży, oświadczył, iż ma na to zgodę odpowiedzialnego księdza. Następnie działaczom "S" zapowiedziano, że Kościół nie życzy sobie sprzedaży Metrum także w tymczasowym punkcie konsultacyjnym OKW. Wobec tego działacze OKW podjęli decyzję, że w tej sytuacji nie będą rozprowadzać żadnych wydawnictw drugiego obiegu. Fakty te pozostawiamy bez komentarza. Chcielibyśmy jedynie poinformować Czytelników o działalności grupy określającej się jako Unia Nowoczesnego Humanizmu. Cytujemy za paryską "Kulturą" /wrzesień 1986, ss. 43-44/: "Pewien działacz podziemia, który badał sprawę UNH, zauważył: "UNH oferuje do kolportażu 40-45 pozycji równocześnie, posiada łatwość dodruków. Grube książki /np. Giertycha szyte są profesjonalnie w dużej drukarni... Kolporterom oferuje się 20-25% rabstu, zamiast przyjeżdżać 10%. To ostatnie świadczy o trudnościach ze zbytem. W 40 gotowych tytułach zamrożone jest szacunkowo 20-25 milionów złotych. Pozycje żydożercze są zawsze na akładzie, a wspomnień, historii czy innych uczciwych książek zwykle "chwilowo" brak, lub jest ich bardzo mało... Wydawnictwo korzysta też w kolportażu z usług poczty PRL". Autor tej notatki dotarł zresztą - jak pisze - bez trudu, do szefa firmy, który oświadczył mu w rozmowie, że prowadzi z SB i Grunwaldem "sprytną grę" i że wygra ją przy pomocy Boga i duchów /jest z nimi w kontakcie/, a przy tym "dołoży" masonom, Żydom, KOR-owi i "Tygodnikowi Powszechnemu".

Wynikałoby więc, że chodzi o maniaka, działającego przy czyjejs pomocy finansowej, najwyraźniej za wiedzą i zgodą policji".

Ostatnio siedleccy "nowocześni humaniści" niespodziewanie znaleźli sobie sojusznika. Oto bowiem całe miasto pokryło się napisami "PFN" co znaczy "Polski Front Neofaszystowski". Napisy te w odróżnieniu od napisów "S" nie są prawie w ogóle zamalowywane przez policję.

POCZTA METRUM

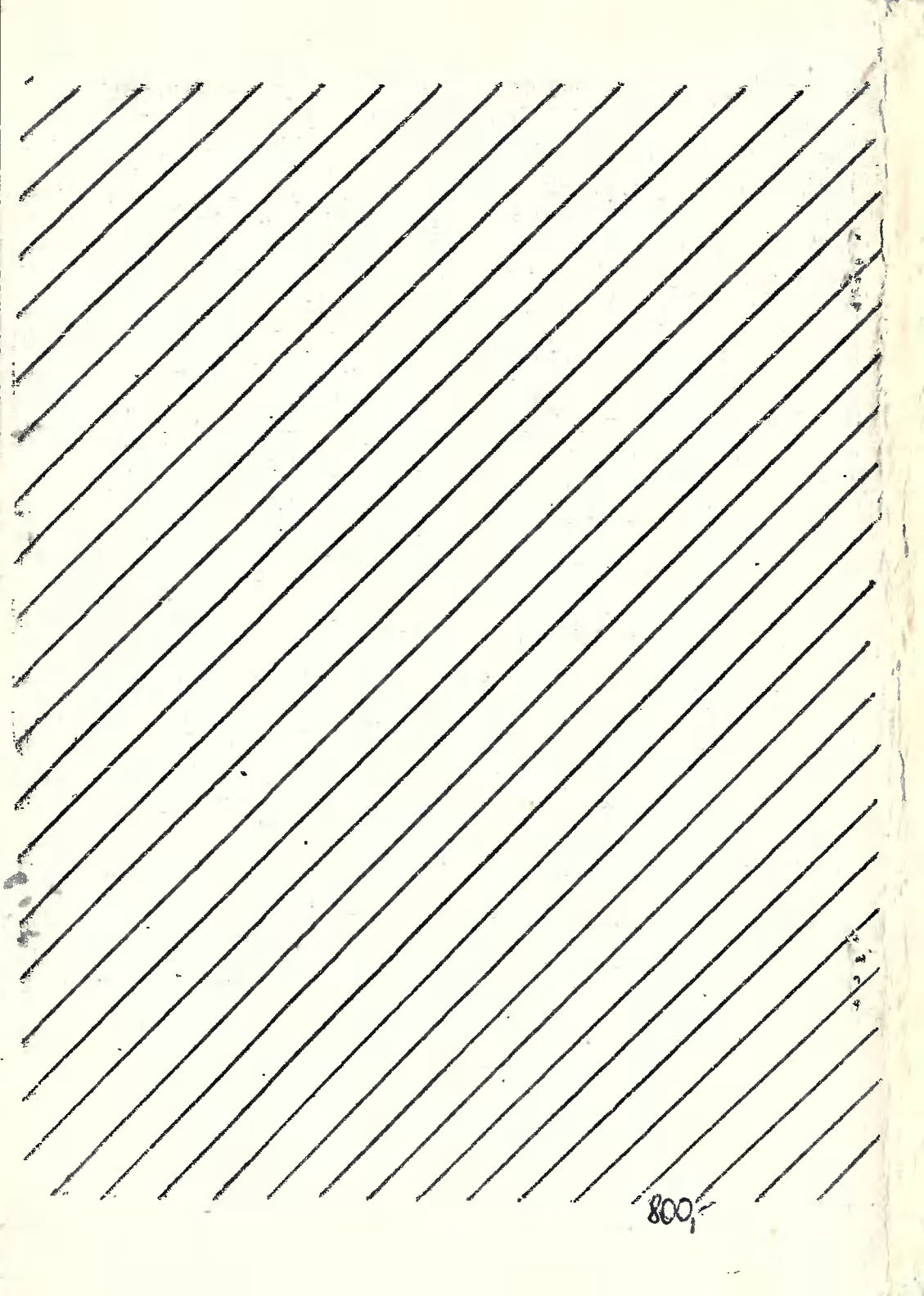
Szanowna Redakcjo,

gratuluje wam świetnego wprost pomysłu na przeprowadzenie ankiety "Czy PRL jest państwem totalitarnym", którą zamieściliście w poprzednim numerze. Brawo! Czy ankieta będzie kontynuowana? Myślę, że warto ponieważ aktualnie krwawa dyktatura komunistyczna dopuściła do dyskusji telewizyjnej członka politbiura i szefa opozycji...

pozostają z szacunkiem
Jerzy Iwanicki

Odpowiedzi redakcji:

Jan W., Siedlce: Pana "Propozycji zmian systemu gospodarczego" nie wydrukujemy.



800,

1
2
3
4